

NOWELE.

RÓŻA RAWICZ DEMBIŃSKA.



NOWELE.

NA BŁĘDNEJ DRODZE. — SZUKAJ KOBIETY.
NIE ŁADNA.



INSTYTUT
LITERACKI PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat No 72

00-730 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-81 w. 42

KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA

WARSZAWA — E. WENDE I SKA

1902.



I-45.644

„JEST U MNIE KRAJ, OJCZYŻNA MYŚLI MOJEJ,
FANTAZJI ŚWIATY, TO MOJE RODZEŃSTWO:
PIĘKNIEJSZY KRAJ, NIŻ TEN CO W OZCACH STOI,
RODZINA MILSZA, NIŻ CAŁE POKREWIEŃSTWO“.

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

I.

Granica... Młoda dziewczyna, której wiek na pierwszy rzut oka trudno rozpoznać, stoi na peronie. Wygląda ona prawie dziecinnie — biała, różowa — z delikatnymi rysami — budową ciała nierozwiniętą. Kapelusz zakrywa większą część jej twarzy, suknia krótka, z pod której wysuwa się mała nóżka, wykwiłtnie obuta. Torbeczka popodróżna rzucona przez ramię — i mały kuferek, ogromnym lśniącym zdobny monogramem, leży obok panienczki na ziemi.

Współczucie budziło to biedactwo samotne, opuszczone — z czego korzysta żandarm, i brutalnie zaprzecza jej przejazdu granicy. Paszport nielegalny — rysopis niedokładny, wiek, 25 lat, niemożliwie nieprawdopodobny.

Panienka przekłada swoją sprawę — konieczność dostania się do Kielc, gdzie ma interes niecierpiący zwłoki.

Żandarm jest bezwzględny: — To mi nic do tego — mówi po rosyjsku.

Sprzeczkę słyszy dokładnie, jakaś pani jadąca z córeczką 15-letnią. Zdjęta litością nad losem

panienki, która jej się wydaje prawie dzieckiem — przysuwa się do żandarma — i rozpytuje o powody zaprzeczenia przejazdu za granicę. — Żandarm przedstawia się groźnie — ofiara jego płacze. Lecz łzy ociera obca pani wsunięciem kilku rubli w elastyczne ręce żandarma, który nie tylko od razu zezwala na przejazd, ale nawet nie patrzy już w tę stronę, gdzie stoi panienka. I choć za chwilę, po służbie, potrzebuje przejść tuż koło niej — to patrzy w przeciwną stronę — lub w niebo, jakby gwiazd szukał — choć słońce wysoko jeszcze przyświeca.

Osoba która się zajęła losem biednej dziewczynki, jest właścicielką rozległych dóbr w Królestwie. Obeznana z wszystkimi możliwymi sekreturami, w tej części Polski, nie wątpiła, że jej protegowana, będzie jeszcze nieraz potrzebowała jej opieki, mając ważne i niecierpiące zwłoki interesy — z urzędami nie da sobie rady niedoświadczone dziecko. Przeto wcale nie wiedziona ciekawością — lecz w celu pomocy, zapytała towarzyszkę podróży o jej losy.

Panienka opowiedziała bardzo szczerze i najwinnie, bez żadnych wybiegów, że jest sierotą — oprócz brata jedyne go nie ma więcej nikogo na świecie. Lecz ten jest w podróży — i nie może prędko powrócić do kraju — a tu trzeba się zająć interesami — bo opiekun testamentem ojca wskazany, okazał się nieuczciwym, i chce ją, i brata skrzywdzić — zatem ona musi się dostać do

Kielc — gdzie sprawa ma się rozstrzygnąć — i poszukać sobie adwokata, żeby ich obronił przed łajdactwem opiekuna.

Tu biedna sierota zaczęła na nowo płakać. Pani Amelia Łuczyńska i córka jej Cesia pocieszają jak mogą rozżaloną dziewczynę.

— Mamo, my jej nie możemy opuścić, ona pojedzie z nami do Łużyc — wszak to nie daleko Kielc, nalega Cesia.

A że pani Amelia sama miała już tę myśl dania przytułku w swym domu sierocie — przeto cała rzecz prędko zdecydowaną została, że panna Kazimiera Z. pojedzie do Łużyc, a ztamtąd pod opieką kogokolwiek ze starszych będzie dojeżdżać do Kielc w swojej sprawie.

Gdy rzecz ta została już ubitą, pani Amelia znużona drogą i gorącem w wagonie zasnęła — a po przebudzeniu, zdziwiła się tak rychłej przyjaźni córki z nieznajomą — panienki mówiły sobie „ty“ i często się całowały — przypisywała to wyłącznie nadzwyczaj serdecznej z natury Cesi, która na każdą niedolę ludzką była nader czułą. —

Chociaż więc nie badana — panna Kazimiera nie myśląc się okrywać jakąś tajemnicą — zaczęła znowu mówić o sobie. Gdy straciła ojca — bo matki nawet niepamiętała — upomniała się o nią jakąś daleka krewna mieszkająca w Galicyi — ta nie chcąc mieć nieustannych paszportowych kłopotów — postarała się o wyrobienie poddaństwa dla dziesięcioletniego dziecka, jakim wtenczas była

Kazimiera — sprawa ta tak się przedstawiała mało znaczną dla obu rządów — że nie było przeszkód żadnych. Wydobyć metrykę i inne w takim razie formalności łatwo się dały przeprowadzić.

Tu objaśnia dlaczego Kazimiera potrzebowała paszportu jadąc w interesach spadkowych do Królestwa polskiego.

Po dwudniowej podróży, panie stanęły nareszcie w Łużycach — słynnych z gościnności. Było tam dużo osób przybyłych dla spędzenia lata w tym obszernym domu. Park przepyszny, stylowo urządzony, a raczej umiejętnie, nęcił cieniem rozłożystych platanów, drzew tulipanowych, akacyi kwitnących różowo, katalpy — oraz różnych niezwykłych krzewów. A więcej jeszcze dodawało uroku tej pięknej rezydencji to, że park łączył się prawie z rozległym nieopisanej piękności lasem — jakich mało już się teraz spotyka. Smukłe olbrzymie sosny — dęby stuletnie — buki nieknięte od niepamiętnych czasów ludzką ręką, Te skarby prawdziwe, odziedziczył po ojcach i pradziadach pan Łużycki. Dostały się w godne ręce — gdyż obecny dziedzic był rozmiłowany w tym uroczym borze — czuwał sam nad porządkiem — i znał każdą ścieżynę — każdą parcelę — ochraniał stare drzewa od upadku. Zdawało się mu, że tam duchy błędzą przodków — i szelestem liści przemawiają do niego, „szanuj nas — bo my już ostatki.“

W tem pieśczeniu — jeśli się tak wyrazić mo-

zna i pielęgnowaniu tego rozległego lasu był mu pomocą szkolny kolega Wiktor Leski — który z powodu słabego zdrowia nie mógł kończyć studyów, wymagających mieszkania w mieście i ślęczenia po nocach nad księgami, przy bardzo skromnych warunkach materialnych. Zastał go tak raz pan Aleksander Łużycki, pracującego intensywnie przed egzaminem — wynędzniałego i chwiejącego się na nogach. Więc rzekł mu stanowczo, widząc, że tu idzie wprost o życie przyjaciela:

— Rzuć to wszystko do dyabła i jedź ze mną.

— Ależ ja muszę koniecznie zdobyć sobie stanowisko, byt niezależny — tłómaczył ochryplym głosem Wiktor. — Wszak wiesz, że mam matkę nad wszystko ukochaną — staruszkę prawie, która niema inkogo na świecie oprócz mnie.

— Więc chcesz umrzeć — zamęczyć się pracą? — rzekł porywczo Łużycki, to dopiero zgotujesz matce życie w nędzy i opuszczeniu. —

Na te słowa oprzytomniał Wiktor.

— Robię cię moim nadleśniczym — rozumiesz — stanowczo zawyrokował pan Aleksander.

— Mieszkając w lesie i nie ślęcząc nad książkami — które wrzucić do pieca — odzyskasz zdrowie i siłę, i dopiero-będziesz pomocą matce.

Wtajemniczona w ten układ pani Leska rzuciła się w ramiona pana Łużyckiego, dziękując — widziała ona z każdym dniem niksące siły syna i z trwogą patrzyła na wybladłą twarz jego

i wychudłe ręce. A tu Bóg zesłał jej niespodziewany ratunek.

Właśnie wśród lasu na obszernej polanie kończyła się budowa domu w stylu szwajcarskim — o pięciu pokojach z kuchnią pod jednym dachem, piwnicą, strychem i wszelkimi wygodami w gospodarstwie niezbędnymi. Pan Aleksander, który nic nie lubił odkładać i pod względem energii był niezrównany, a dotego kochał Wiktora jak brata dla jego niezwykłych przymiotów i charakteru — zabrał zaraz matkę wraz z synem do Łużyc.

Wiktor miał doglądać wykończenia mieszkania, a obydwaj postanowili zakładać równocześnie ogród w około domu i sadzić drzewka owocowe. Do tego zajęcia miała im być bardzo pomocną sama pani Leska, która całe życie spędziła na wsi i nadewszystko lubiła gospodarstwo.

Pani Amelia nie posiadała się z radości z tej całej kombinacji — gdyż bardzo ceniła i kochała panią Leskę i jej syna, którzy często wakacje spędzali w Łużycach, w tych wygodnych gościnnych pokojach w dwóch oficynach tworzących jakby ramiona nieodłączne od pałacu.

W czasie, gdy się rozpoczyna niniejsza opowieść upłynęło już pięć lat od objęcia leśniczówki przez Wiktora i jego matki. Odrodzili się ci ludzie w tej atmosferze, tak im pod wielu względami sprzyjającej.

Wiktor całą duszą przyłgął do tego zajęcia, które mu wróciło cudownym sposobem zdrowie

i siły. Matka nie mogła się napatrzeć temu czerstwemu zdrowemu chłopczynie, którego uporczywie tak nazywała mimo 26 lat skończonych. Przyjęty wdzięcznością dla przyjaciela pracował ochoczo Wiktor — i sam pokochał ten las cudowny — poprzecinany w szachownicę ścieżkami równymi jak pod linią, był ten las podziwem dla innych właścicieli i sąsiadów — zapraszanych kilka razy do roku na polowania. Choć zwierzyne ogromnie szanowali obydwaj panowie, lecz sami zapraszani, musieli czasem odwzajemnić się wzorowo urządzonemi łowami.

Wiktor na kilka zawodów był wzywany w okolicy dla urządzenia lasów i gospodarka lasowa zrobiła mu sławę. Pan Łużycki był dumny z tego, że przyjaciela prawie przymusił do tego zawodu, tak zgodnego z jego zdolnościami — i że młody Leski bądź co bądź, był jego dziełem.

Matka Wiktora szczepiła drzewka owocowe wytwornego gatunku, — szkółka, szparagarnia i inspekta pochłaniały ją całą. Odmłodziła w tem zajęciu ulubionem i ze zdziwieniem się przekonała, że nie była jeszcze ową staruszką, za którą uchodziła w swojej opinii i u drugich — pochylona przed pięciu laty pod ciężarem życia i troską piekącą o zdrowie syna.

II.

Z tego, co się już powiedziało o Łużycach, i dziedzicach tego majątku, łatwo w to uwierzyć, że przybycie całkiem obcej osoby z panią Amelią i Cesią, nie zadziwiło nikogo. Pan Łużycki wyjechał na stację kolejową po żonę, i widok panny Kazimiery zaraz mu przedstawionej, zrobił na nim jak najlepsze wrażenie. Cesia zużyła masę słów, żeby przedstawić w barwnych kolorach, jak się to wszystko stało.

— Ten brzydki żandarm — mówiła — tak dokuczał biednej Kazi — niecierpię go!

Panna Kazimiera okazała jak najlepszy humor — wesoła jak ptaszek biegała po całym pałacu w Łużycach, chcąc wszystko zobaczyć. Zabytki starożytne ją zachwyciły — pięknym rycezzom w sali jadalnej przypatrywała się z pewnym pietyzmem. Uchyliła drzwiczki tapetowe w ścianie i znalazła się nagle, najniespodziewaniej, w małej prześlicznej kapliczce pałacowej. Uklękła natychmiast, a raczej rzuciła się do stóp ołtarza, przed którym płonęła lampka, i w tej postawie przebyła tak długo, aż pani Amelia wzruszona jej pobo-

żnością, przyszła ją podnieść i namówiła do przechadzki po parku wraz z Cesią. Sama powróciwszy do salonu, rzekła do męża:

— To dziecko jest dla mnie nie do określenia interesujące — jej szczerą modlitwa mnie zachwycała, i ostatecznie utwierdziła w mem przekonaniu, że ta sierota pod naszym dachem, to prawdziwy dar Boży.

Pan Łużycki był tego samego zdania, również jak wszyscy domowi. Jedną tylko panną Sylwią guwernantką francuską, patrzącą z boku na przybyłą — wzruszając ramionami rzekła :

— Qui sait — ce que c' est...

Ale po kilku dniach uległa czarowi młodej dziewczynki, która widząc jedyną antagonistkę w osobie francuzicy, starała się formalnie o jej względy — nie chciała stanowczo mieć ani jednej nieprzyjaciółki. Prześlicznym szczebiotem francuskim pozyskała sobie i tę istotę — zbadawszy jej słabe strony, unosiła się nad jej tualetami i wytwornym gustem, nad kunsztowną fryzurą, nad wcięciem figury i t. p. — To ją tak mało kosztowało takie niewinne pochlebstwo — a tak nie znosiła tego, żeby jej kto niesprzyjał.

Cesia formalnie za nią przepadała — lekcye z francuską stały się jej wstrętne, bo nie mogła być z Kazią w ciągu tych godzin, przeznaczonych na naukę.

Stary jakiś kuzyn pani domu wraz z dwoma dorastającymi synami — na wyścigi starali się

o względy panienki, wszystkich trzech tak umiała ładnie oszukać, że każdy miał się za faworyzowanego.

— Wiesz Kaziu — mówiła raz Cesia, gdy stary pan Franciszek przyniósł do pokoiku panny Kazimierzy olbrzymi bukiet z wytwornych kwiatów, artystycznie ułożony — ten mój wujaszek zakochał się w tobie.

— Co znowu za myśl, moja Cesiu — ty jeszcze nie powinnaś nic wiedzieć o kochaniu, jesteś za młoda, twój wujaszek mógłby być moim dziadkiem a takie żółtodzioby jak jego synowie, nie zwracają nawet mojej uwagi — ja mam takie ważne sprawy na głowie, fraszki mnie nie zajmują, ale mieszkając pod jednym dachem z tymi panami, trudno nie żyć w zgodzie.

— Tak, prawda Kaziu, ty masz jakieś interesa wielkiej wagi, słyszałam już o tem, a nawet tatko mówił, że pojedzie z tobą do Kielc.

— Nie tak rychło — rzekła spokojnie Kazimiera — pierwaj listownie muszę się dowiedzieć jak sprawa stoi.

Rzeczywiście, że korespondencye często załatwiała, ale nigdy za pośrednictwem poczty, lecz przez posłańca, którego już kilka razy widziano w Łużycach. Był to człowiek około 40-tu lat, w szarym surducie i tegoż koloru czapce silnie nasuniętej na oczy i wysokimi butami — nie zwracano szczególniejszej uwagi na tę postać dość pospolitą.

Panna Kazimiera nie była w domu nieużyteczną — owszem stała się nawet na razie potrzebną. Śliczne roboty ręczne wykonywała — najpiękniejsze makaty wyszywała z przedziwnym gustem i szybkością niezrównaną — malowała na materyach jedwabnych i na pluszach — gobelinowe małe dywaniki do pokrycia mebli wykończone jej drobnymi paluszkami były prawdziwymi arcydziełami — miała kilka gotowych w swoim małym kufierku, z którego wydobywała tak wiele rozmaitych rzeczy, że to podziw wzbudzało w Łużycach — nieraz śmiejąc się mówiono: jak to? jeszcze z kufierka zaczarowanego to wyszło.... nie to niepodobne.

Najważniejszą zaś rzeczą było to, że wzbudziła chęć do tych robótek w Cesi, którą dawniej do żadnej ręcznej roboty nie można było nakłonić. Obecnie by tylko z Kazią posiedzieć z godzinę w dniu, z zamięłowaniem uczyła się.

Co prawda w lecie, to jest w czasie, kiedy przybyła do Łużyc panna Kazimiera, mało było czasu na te budujące ręczne prace, bo młodzież używała rozkosznych słonecznych dni — za to obiecywano sobie w zimie wiele pięknych robót wykończyć, zaczętych letnią porą.

Do niezwykłych przymiotów panny Kazimiery zaliczyć się dała jej skłonność dziwna u tak młodej osoby — do przebywania z ludem, gdzie tylko pracowali zarobnicy, czy to w ogrodzie, czy w polu — biegła do nich, i jak mogła najdłużej z nimi

przebywała. Na zapytanie pani Łużyckiej, co mogło ją zajmować w rozmowie z tak prostymi ludźmi, odpowiadała:

— Lubię z nimi mówić, pouczać ich, i nawzajem korzystam z ich prostych, nieskrzywionych pojęć.

Do tego nie było dnia, żeby nie szła do której chaty leczyć chorych — zawsze wyprosiła trochę wina lub jakiej strawy dla pożywienia tych biednych — zbierała zioła, sama je gotowała i przyrządzała najrozmaitsze leki — tem postępowaniem w krótkim czasie pozyskała sobie serca ludu.

— Poczciwe dziecko — mówiła pani Łużycka — choć nie zawsze aprobowała postępowanie Kazimiera. I tak pewnej niedzieli, gdy wszyscy z pałacu poszli po nabożeństwie na plebanię, Kazimiera została na cmentarzu — otoczona ludem, coś im długo prelegowała. Nareszcie powróciła do domu rozentuzyazmowana, z wypiekami na twarzy. Swym słodkim uśmiechem jak zwykle rozbroiła państwa Łużyckich, którzy jej chwilowo wzięli za złe to jej dziwne postępowanie. Nie tłómacząc się, rzekła tylko, że to się więcej nie powtórzy

— Ona jest jakaś ekscentryczna — rzekł raz do żony pan Łużycki.

— Daj jej spokój, ona to wszystko robi z dobrego serca — spokoiliła pani Łużycka. — To nie zwykła istota.

III.

Na leśniczówce nazwanej na cześć Wiktora „Uzdrowskiem“ szło wszystko wzorowo — gospodarka leśna nie pozostawiała nic do życzenia. Wiktor od rana do wieczora zajęty, wpadał tylko na obiad do matki i znowu powracał do pracy.

Pomyślny stan jego zdrowia uszczęśliwiał matkę, która obecnie jedno tylko miała życzenie — aby jedynak wybrał sobie towarzyszkę życia.

— To dobrze — mówiła raz do pana Łużyckiego — póki ja żyję, ma opiekę, i staram się o jego wygody, ale i dla serca człowiek potrzebuje pokarmu — stara matka, choćby najbardziej miłowała, tego szczęścia dać mu nie może, co młoda i kochająca żona.

— Wiktor nie pragnie zmiany — perswadował pan Łużycki — a zresztą niema czasu teraz o tem myśleć, bo mamy ogromne zajęcie w lesie, skorośmy się zdecydowali na wysprzedaż tych starych drzew, które obydwaj oplakujemy gorzkimi łzami, ale cóż, kiedy niestety niektóre odwieczne kolosy zaczynają się walić same i druzgoczą w około młode drzewa. Dotąd tak szanowaliśmy te pamią-

tkowe olbrzymy, że nam się udało ścieżki w całym lesie porobić choć niezbyt szerokie i nie uszkodzić tych kochanych drzew, ale konieczność nas zmusiła do tego. Skoro się więc uporamy z tą pracą to będziemy szukać żony dla Wiktora — mówił śmiejąc się pan Aleksander.

* * *

Był zwyczaj przyjęty w Łużycach, że każdej niedzieli Wiktor z matką spędzali większą część dnia w pałacu. Przyjeżdżali wprost do kościoła, a po nabożeństwie przed obiadem odbywała się mała konferencya z oficyalistami, którym przewodniczył rządca. Wiktor też przedkładał swoje rachunki bardzo ściśle prowadzone i swoje sprawozdanie z czynności w lesie.

Po obiedzie urządzano zwykle jakąś wycieczkę do dalszych folwarków lub do lasu. Ale od dłuższego czasu przerwał się ten porządek z powodu wysprzedaży częściowej starych dębów, Wiktor nie mógł się oddalić ani na chwilę, gdyż ciągle nachodzili go kupcy lub robotnicy. Znaczył sam własnoręcznie każde już widocznie uszkodzone drzewo, niektóre dało się jeszcze klamrami umiejętnie sporządzonemi doratować i uchronić od ścięcia. Tak to szanowano w tej gospodarce te zabytki przeszłości, które, gdyby je zrozumiano, szmerem swych liści całą historję wieków minionych by opowiedziały. Jakże śmiesznem to się

wyda tym, którzy dla dogodzenia swym fantazyom lub wybrykom skazują na zagładę te śliczne lasy i ogoławają całe okolice z najpiękniejszej ich ozdoby. Pan Łużycki nad każdym prawie drzewem tak się rozżalał, jakby rozstawał się z ukochaną osobą. Ale był to człowiek, choć młody jeszcze, ale nie z tego wieku, miał wrodzone instynkta zachowawcze — pamiątki były urokiem jego życia. Nieraz, choć niezrozumiany przez sąsiadów, wyciągał jakiś zapleśniały szpargał i czytał im urywek z tych dziejów odległych, kreślonych ręką, która dawno jest już popiołem.

Słuchano najczęściej obojętnie tych rzeczy, dziwiąc się, jak kto może się interesować takimi nudziarstwami.

Wiktor jeden go rozumiał w tem upodobaniu i często obydwaj w chwilach wolnych od pracy w czasie długich zimowych wieczorów zatapiali się w odwiecznych starych papierach, szukając treści i jakby echa minionych lat.

Ten ustęp wytłómaczył dostatecznie powód tego jakby pietyzmu obydwu panów do zabytków przeszłości i zajęcie się aż do przesady posunięte tym cudownym lasem Łużyckim, który tak zaabsorbował Wiktora, że parę miesięcy nie był w pałacu. Dlatego panna Kazimiera nie знаła go dotąd, również jak pani Leskiej. Ale pierwszych dni lipca miał się odbyć egzamin w szkółce — nauczycielka zaprosiła dwór, który zawsze uczestniczył co roku w tej uroczystości.

Pani Łużycka obmyśliła najrozmaitsze podarki dla dzieci dobrze się uczących, lecz tych darów było zawsze tak wiele, że i nieuki najczęściej zostawały obdarzone.

Tego roku bardzo pomyślnie wypadł egzamin, dzieci dużo uczęszczało i dobrze się uczyły, więc pani Łużycka zaprosiła dziatwę wraz z nauczycielką na zabawę do lasu. Ponieważ z powodu słotnej wiosny nie odbyła się w tym roku majówka, więc teraz choć spóźniona, ta ulubiona rozrywka miała się odbyć.

Panna Kazimiera wraz z Cesią były w swoim żywiole, urządziły zabawę — młodzi panowie, synowie pana Franciszka pomagali z całą gorliwością paniąkom. Starszy Leoś wymyślił bardzo praktyczne huśtawki. Drugi Adaś przysporzył mnóstwo kótek i patyczków do rzucania. Oprócz tego służba urządziła nie daleko od mieszkania w „Uzdrowisku“ stoły długie z ławkami niskimi dla użytku dzieci, a ponieważ pani Łużycka jeszcze w wigilią egzaminu powzięła tę myśl nagrodzenia dzieci zabawą w lesie, więc mnóstwo potraw było już przygotowanych, mianowicie pieczywa. Obwarzanków całe wieńce — placuszków z serem i rodzynkami — pierników całe stosy sprowadzono z miasteczka. Pani Leska przysporzyła kilka garnków mleka ze śmietaną — i też dużo specyałów dla dzieciaków czekało na dobre apetyty malców.

Koło czwartej po południu, by uniknąć wielkiego gorąca rozpoczęła się zabawa. Państwo ze

dworu już byli w lesie, do nich przyłączyła się pani Leska.

Oczekiwano gości — niebawem cała gromada dzieci wraz z nauczycielką stanęła przed państwem, śpiewając jakąś ładną pieśń.

Pan Łużycki zaraz po przywitaniu dzieci poszedł do wzrębu po Wiktora, a panna Kazimiera, Cesia i nauczycielka rozdzielały łakocie między wesółych biesiadników — to jest figi, pierniki i ciastka — posilniejsze potrawy zostawiono do kolacji, którą miała się zakończyć zabawa.

Teraz nauczycielka i panienki ze dworu wymyślały różne gry, huśtawki, rzucanie kólkami i piłką, a najwięcej budziło zajęcia ściganie się do mety, gdzie kto najpierwszy dobiegnie zdobywał koszyczek bardzo ozdobny, napęczniony karmelkami.

Wielkie też powodzenie miała zabawa wymyślona przez pannę Kazimierę. Dzieci utworzyły ogromne koło — a jedna z dziewcząt w środku koła zamknięta starała się rozerwać koło i uciec, lecz obowiązkiem koła było nie dopuścić do ucieczki. Więc ogromne ożywienie i krzyk powstał z tego powodu.

W tej chwili w kole była Kazia, chcąc dzieciom sprawić przyjemność. W białej spacerowej krótkiej sukni z pasem różowym, bluszczem we włosach trochę rozrzuconych z powodu biegania, wyglądała jak jakaś leśna rusałka, fruwająca wśród

tego jakby zaczarowanego koła, z którego się wy-
dostać usiłowała.

Panie starsze i panowie przysunęli się bliżej,
by się przypatrzeć zabawie. Pani Leska, która do-
tąd nie знаła Kazi, nie mogła się jej napatrzeć —
te zręczne ruchy młodej dziewczyny i twarz za-
różowiona zmęczeniem zachwyciły ją.

— Cóż to za urocze dziecko — rzekła do
pani Łużyckiej.

— A widzi pani — mówiłam już nieraz, że
to mała czarodziejka, która nam jakby z nieba
spadła, pokochaliśmy ją też wszyscy, jakby nam
była najbliższą.

W tej chwili pan Łużycki wraz z Wiktorem
stanęli blisko koła. Kazia uśmiechnęła się do pana
Łużyckiego i biegnąc bardzo szybko rozerwała
krępujące ją więzy i upadła wprost w ręce Wi-
ktora, który ją uratował od dalszej katastrofy —
dzieci śmiały się bez upamiętania, uszczęśliwione
z takiego zakończenia zabawy, ale prędko się
opamiętały, gdyż już na nowo w kole biegała
jakaś mała dziewczynka.

Kazia na razie zajęła się poprawianiem uszko-
dzonej cokolwiek sukienki, podczas gdy pan Łu-
życki przedstawiał jej Wiktora.

Podąła mu rękę mówiąc:

— A to pięknie się zaprezentowałam padając
panu w objęcia — przepraszam pana najmocniej,
pewno pana uderzyłam bezwiednie.

— Ależ proszę pani — rzekł bardzo ożywiony

tym wypadkiem Wiktor — to była nadzwyczaj miła niespodzianka.

Pan Łużycki na coato tego zdarzenia dowcipkował — i koncepta sypały mu się jak z rogu obfitości.

Kazimiera ogromnie zmęczona zbliżyła się do pani Łużyckiej — usiadła na ziemi głowę opierając o ramię swej opiekunki.

— Ach! jak mi gorąco — mówiła.

Wiktor przyniósł jej szklanę mleka, którą chciwie wypila. Nareszcie klękla i unosząc w górę swe kształtne, białe ręce, rzekła z zapalem:

— Jak tu cudnie.... cudnie.... cudnie w tym boskim lesie!

Wiktor podał jej rękę, pomagając do powstania i rzekł:

— Może pani chce się przejść trochę w głąb lasu — to panią ochłodzi. Oleś pójdzie z nami.

— A to jest wyborne! — rzekł pan Łużycki — co to za nowicyusz, boi się sam z ładną panienką iść w las.

— Ale, mój Lesiu, złe wyrażenie twoje — broił się Wiktor — nie boję się, ale nie chciałbym robić przykrości, możeby to pani nie dogadzało.

— Owszem — rzekła Kazimierą — jestem gotowa pójść z kimkolwiek, a nawet sama.

— Nie, samej bym nie radził, mogłaby pani się nastraszyć zjawieniem się jakiego drwała, których jest teraz dużo w lesie, albo i zwierzę jakie mogłaby pani spotkać.

— O ja jestem odważna, bardzo odważna. Ale skoro się pan ofiaruje być moim przewodnikiem to chodźmy — i prędko skręcili w gąszcz lasu.

Tymczasem nauczycielka i Cesia przy pomocy młodych panów, kierowały dalej zabawami dzieci. Mało kto zauważył braku Kazimierzy — jedna tylko matka Wiktora widząc ich idących razem, rzekła do pani Łużyckiej pełna wzruszenia:

— Niech pani patrzy jaka to ładna para, ta śliczna dziewczyna musi każdemu młodemu zawrócić w głowie. Ale czy to tylko nie jaka bałamutka.... boję się o Wiktora.

— Otóż to prawdziwa z pani matka. I chciałyby pani, żeby się syn zakochał — i boi się pani.

Już dawno dzieci były po kolacyi i odeszły do domu z nauczycielką a młodej pary nie było widać. Pani Leska poszła do siebie i przygotowała na werandzie herbatę i jakąś przekąskę dla pozostałych gości.

Księżyc zeszedł i oświecił tę przepiękną polanę — przeglądając z poza drzew — i rzucając smugi to świetlane przejrzyste, to migotliwe, chwytające za oczy. Wietrzyk lekki poruszał liśćmi — a cienie drzew w jakieś potwory niekształtne się formowały. Gdzieś tam jeszcze robaczek świętojański zabłąkał się i smugą złotą się przemknął.

Nareszcie z poza drzew biała sukienka jasną chmurką się mignęła i młoda para na schodach werandy się ukazała. Wszyscy ich witali — każdy innym konceptem.

Kazia niosła w ręku olbrzymi bukiet z paproci i wrzosu.

— Szukaliśmy jak w baśni, kwiatu paproci — rzekła — lecz rzeczywistość dała nam same tylko łodygi i liście — to tak, jak w życiu...

— Niech ci Bóg da samo tylko kwiecie w życiu — rzekła pani Leska, całując główkę Kazimierzy pochylonej nad jej ręką.

— Przepraszam panią — mówiła — za to opóźnienie, ale tak nam było dobrze i pięknie w tym cudnym lesie.

Wiktor patrzył na Kazimierę z jakimś dziwnym usposobieniem ducha — nie rozumiał się dokładnie... — To chyba musi być miłość... myślał.

IV.

Pewnego rana pani Łużycka zadziwiła się niepomernie, dowiedziawszy się od służby, że jej ulubienica wyjechała do Kielc najętymi końmi i wózkiem — ekwipażem całkiem prymitywnym chłopskim. Nie umiała sobie tego wytłómaczyć. Opowiadano jej, że jakiś posłaniec, który zresztą już kilka razy był w Łużycach i przynosił listy z Kielc, zjawił się i tym razem i zajął się najęciem koni, którymi panna Kazimiera pojechała. Tem dziwniejszem to się mogło zdawać, że Kazimiera wiedziała o tem dobrze, że potrzebując ekwipażu, na każde zawołanie mogła go mieć i nie potrzebowała najmować. Pani Łużycka policzyła to na karb niesłychanej delikatności dziecięcia i gdy powróciła wieczorem z Kielc, nie robiono jej żadnych wymówek. Owszem ubolewano nad nią, gdyż zauważono ogromne jakieś przygnębienie, któremu zwykle nie podlegała Kazimiera. Zapytana o przyczynę, odpowiedziała jak zawsze szczerze bez ogródek co następuje.

Na wezwanie adwokata pojechała i ten przedstawił jej interes w bardzo niepomysłnych kolo-

rach. Mylnem było jej mniemanie — wyjaśnił jej adwokat — jakoby opiekun wyznaczony w testamencie przez ojca chciał ją i brata skrzywdzić, lecz położenie było bez wyjścia. Brat silnie skompromitowany politycznie byłby skazany z pewnością na Sybir, gdyby nie nadludzkie starania ojca, który cały majątek zaryzykował, byle syna ratować. Udało mu się wprawdzie, za pomocą nieobliczonych łapówek osiągnąć cel — syna wydostać z cytadeli i wysłać za granicę. Jest on prawdopodobnie obecnie w Ameryce, lecz ojca zdrowie i cały majątek stał się w przeciągu kilku miesięcy ruiną. Ojciec przypłacił to życiem. Kazimiera miała wówczas lat dziesięć. Zawiadomiona o tych klęskach jej zimna babka, jedyna krewna jaką miała, to jest ciotka matki, upomniała się o sierotę — odwiózł ją do Galicyi wierny i przywiązany sługa ich domu. Opiekun, stary człowiek, mimo najlepszych chęci nie mógł uratować wioski, gdyż dłużnicy wystawili takową na licytację i rozdarli całe mienie. Obecnie adwokat uproszony przez Kazimierę stara się rozpatrzyć tę sprawę, czyby się nie udało coś uratować — ale lat piętnaście zatarły ślady oszustw i lichwy, jakich się dopuścili dłużnicy — i adwokat niema nadziei zdobyć pomyślnych rezultatów mimo swych usiłowań.

Pan Łużycki przejął się szczerze tym interesem i w kilka dni po wysłuchaniu smutnych zwierzeń Kazimieri pojechał sam do Kielc, by się dowie-

dzieć, czyby on w czemkolwiek nie mógł być pomocnym — i w ogóle jak sprawa stoi.

Powróciwszy, żonie tylko powiedział, że wszystko mniej więcej tak się przedstawia, jak opowiedziała Kazimiera. Mecenas jak najdokładniej mu objaśnił rzecz całą. Prawdą było, że ruina majątkowa ojca chcącego ratować syna, przyczyniła się do jego śmierci, ale główny powód był ten, że syna nie uratował. I dwudziestodwuletni młodzieniec został zesłany na Sybir — o czym Kazimiera nie wie, bo na co się zda zakrwawiać jej serce więcej jeszcze. Niech wierzy w to biedaczka, że brat za granicą i że go kiedyś widzieć jeszcze może w życiu. Gdy to się stało, miała lat dziesięć i nie rozumiała całej doniosłości tych nieszczęść — oplakiwała wyłącznie stratę ojca, którego bardzo kochała.

Pani Łużycka spłakała się nad losem biednej sieroty i tem większą jej okazywała macierzyńską prawie miłość.

To dwudziestopięcioletnie dziewczę, wyglądające na podlotka, miało dziwnie spokojne usposobienie na pozór. Zapomniała prawie o sprawie tak bardzo ją dotyczącej i powróciła do swego miłego, jednostajnego usposobienia.

Nazajutrz była niedziela. Pani Leska z Wikto-rem jak zwykle przyjechała do kościoła i oboje zostali na obiedzie.

Kazimiera była ciągłym przedmiotem do uwag pani Leskiej, która miała już jakąś kiełkującą myśl

ciągle z panią Łużycką coś szeptały i narażały się na żarty pana Aleksandra:

— Oho! — mówił tenże — już panie w swoim elemencie, a niema jeszcze najmniejszego powodu do tych przedwczesnych konferencyi.

— Kto to wie — rzekła z tajemniczą miną matka Wiktora.

Ukończywszy sessyę z oficyalistami — i zdawszy rachunek rządcy, bardzo ścisły ze sprzedaży dotychczasowej drzewa — Wiktor cały oddał się pannom. Bawił się z Cesią, żartował z nauczycielką i cały rozpromieniony wpatrywał się w Kazię, która bardzo spokojnie przyjmowała te aż zanadto widoczne objawy jego admiracyi.

Za to pani Leska od czasu do czasu przechodziła przez pokój, gdzie bawili się młodzi i badała sytyacyę — bez powodu obejmowała główkę Kazimiery i całowała te miękkie jasne włosy. Kazimiera odwdzięczała się za te karesy, łasząc się jak kotka i całując ręce pani Leskiej.

Wiktor zazdrościł matce, że było jej dozwo-
lonem pieścić tę uroczą istotę i serce jego pierw-
szą miłością wezbrane oddawało się uczuciu, które
za pierwszym wejrzeniem powstało.

Nad wieczorem kilka osób z sąsiedztwa przy-
było — między niemi pani Kajetanowa Grzeska
z dwoma córkami, Izą i Stasią. Dwudziestoletnia
Stanisława i ośmnastoletnia Iza przedstawiały typy
panien dobrze wychowanych, według wymogów
wyższego świata — matka mogła się niemi szczy-

cić ze wszech względów. Syn Władysław, z którego też była dumną ta szczęśliwa matka — skończywszy uniwersytet zamieszkał na wsi, by prowadzić gospodarstwo. Ojca w tej rodzinie brakowało. Pan Grzeski zmarł przed kilkoma laty — zostawiwszy majątek w jak najpomyślniejszym stanie. Piękne dwie wsie ze sobą graniczące. Władysławowi zapisał ojciec jedną z nich ze świeżo zbudowanym stylowym domem, który czekał tylko wewnętrznego urządzenia. Ale, że Władysław, mimo swych 27 lat nie myślał jeszcze o żeniactwie, a nadto był matce w domu niezbędnym — więc jego własna rezydencya stała pustką, w zimie piękny ten budynek opalano, w lecie starannie przewietrzano.

Władysław miał do pomocy ekonoma w tej wsi, a sam prawie codzień doglądał gospodarstwa.

Skrytem życzeniem państwa Łużyckich było kiedyś, gdy Cesia dorośnie, wydać ją za tego blizkiego sąsiada, ze wszech miar godnego, ręki ich córki. Lecz obecnie Cesia była piętnastoletnim podlotkiem — Władysław przekomarzał się z nią i dokuczał jej, przywożąc lalki, chcąc ją jeszcze większem dzieckiem robić niż niem była w istocie.

Cesia była ogromnie obrażona tem jego postępowaniem i skarżyła się przed Kazimierą, która jej poradziła wet za wet — i jak kiedyś pojechały we trzy z nauczycielką po sprawunki do

miasta, Cesia przyniosła dla pana Władysława małego konika drewnianego — i zapakowawszy ten dar, wysłała umyślnym posłańcem do Drzewiec z podpisem „dla małego Władzia“.

Pan Władysław zaraz się domyślił, że to koncept Kazimiery — i konika jak mówił, na wieczną pamiątkę postawił w salonie na kominku. Siostry śmiały się szczerze z tego pomysłu — a matka utrzymywała, że kiedyś ten konik przyda się w domu, wcześniej, czy później.

Czasem matki mają pewne przecucia, które w przyszłości spełniają się, a czasem i zawodzą.

Pani Kajetanowa równie, jak panny Iza i Stanisława w krótkim stosunkowo do znajomości czasie, polubiły bardzo Kazimierę i zabierały ją często na dni kilka, a czasem i na tydzień do Drzewiec. Matka zapraszała pod pretekstem uczenia robót, lecz głównym powodem to było podobno, że panny i pan Władysław bawili się wybornie w towarzystwie milej i wykształconej panienki.

— Co to za pyszny nabytek na wsi takie miłe stworzenie — mówiła dobrodusznie pani Kajetanowa — gdzie taki brak towarzystwa, a rodzina, choćby najliczniejsza nie wystarcza sobie i jedni drugim spowszednieją i nie mają o czym mówić.

Zakochany po uszy Wiktor, ogromnie cierpiał nad tym stosunkiem przyjaźni Kazimiery z mieszkańcami Drzewiec. Widział on nieraz to,

czego najbliższe otoczenie nie widziało, że Władysław prawie efrontnie spoglądał na tę panienkę, która w jego sercu obudziła poważne uczucie, widział niemiłą dla jego oka poufałość, z jaką tamten postępował. Ale ponieważ nic, jak dotąd, nie wiązało go z Kazimierą, bo nigdy ani jednym słowem się nie zdradził, nie miał przeto żadnych praw, któreby go upoważniały do bronienia przystępu, choćby bezmyślnego do panny. Po nadto, Władysław uchodził uporczywie w Łużycach za człowieka nad wiek swój poważnego i uczciwości nieposzlakowanej i wszystkich przymiotów rycerskich uosobieniem miał być, więc zarzut, choćby pobieżny z jego strony uważany byłby za coś nadzwyczaj rażącego i niemającego podstawy. Milczał więc biedny młodzieniec — jedna matka była powiernicą jego udręczeń.

— A więc oświadczyć się — prawiała matka, która tego związku gorąco pragnęła — jeśli cię przyjmie, natenczas będziesz mógł ją prosić, by nie bywała w tym domu, choć Bogiem a prawdą, ona ani nie patrzy na Władysława, wie o projektach tych dwóch rodzin co do Cesi — gdy dorosnie — a zresztą mój Wiktorze nie jestem znów tak bardzo zaślepioną matką, ale mając was dwóch pod oczami, to chyba by trzeba być niewidomą, żeby się jej tamten więcej podobał od ciebie.

— Co też mama kochana mówi — przeczył Wiktor — przecie Władysław stanowiskiem, ma-

jątkiem, wykształceniem daleko wyżej odemnie stoi, a co do powierzchowności to zależy od gustu.

— Ot bajesz — upierała się matka — pomówię z panią Łużycką, jeśli chcesz... Co ona na to powie, będzie stanowcze, bo ona ma oprócz złotego serca, jeszcze rozumek niepospolity.

— Nie, nie, moja droga mamó, to jeszcze za wcześnie tłumaczył Wiktor — za parę dni, gdy powróci Kazimiera z Drzewiec, sam wysonduję tę sprawę.

Kazimiera z dziwną obojętnością, nie zwykłą u panien, traktowała te umizgi dość widoczne pana Władysława i westchnienia miłosne Wiktora, postępowała, jakby o niczem nie wiedziała, powróciwszy do Łużyc biegła codzień do tego boru uroczego jak i dawniej, w towarzystwie Cesi i nauczycielki, lub sama wbiegała do pani Leskiej, łąsiła się jak kotka, upieszczona przez matkę Wiktora, spieszyła się do lasu, by użyć cudów przyrody, nie bała się zabłądzić, bo Wiktor porobił znaki na drzewach, podług których mogła się oryentować.

Nie było wykluczonem, by Wiktor jakimś cudownym instynktem wiedziony niekiedy nie spotkał się z Kazimierą — wtenczas pokazywał jej części lasu, które jej były nieznane, zarośla pełne kwiecia leśnego.

Zrywała też z upodobaniem anemony, storczyki, wrzosa i układała z prawdziwym artyzmem

przepiękne bukiety, w jarach szukała niezapominajek, konwalii odnajdywała całe klomby, była jakby w odurzeniu wobec bogactwa roślinności leśnej.

W porębie teraz po uprzątnięciu ściętych, spruchniałych drzew, nowe piękności ją czarowały. Odsłonił się kawał świata, małe moczary jak lustra gdzie niegdzie przeglądały, wikle, zarosła, mchy je otaczały dokoła oraz kępki kaczynicy i rdestu wodnego, były to dla niej planty nieznanne jej dotąd, których nazwy i właściwości wymieniał Wiktor, co bardzo ją zajmowało.

Wśród młodych drzew gęstwiny, które teraz po usunięciu kolosów zgrzybiałych, zaczęły odżywać swobodnie — można było obserwować całe girlandy dzikich powojów i dorodne bluszcze, jakby o lakierowanym liściu pięły się po krzewach, to w górę bujały wysoko, to spadały na dół i wiły się po ziemi, pomiędzy kępami przyłaszczek i sasanek.

Szerokie, duże, płaskie liście grzebienia, okrywające prawie całą powierzchnię moczaru, nęciły Kazimierę i kusily, by zdobyć choć jeden liść wraz z kwiatem dla osobliwości. Wiktor próbował zapomocą żerdzi dosięgnąć ponętnej rośliny, lecz nadaremnie. Kwiaty, jakby cienkimi szypułkami powikłanymi w kłębki trzymały się liści, a dołem włóknami prawdopodobnie dosięgały mułu, gdyż cała ta masa żerdzią poruszona po-

sunęła się cokolwiek, lecz odłączyć choćby parę liści nie było sposobu.

— Czego się pani uśmiecha — rzekł Wiktor — pewno z mej niezdarności w osiągnięciu celu.

— Nie — odparła Kazimiera — ale praca pana bezowocna nasunęła mi porównanie w tej chwili, że gdyby ludzkie myśli i usiłowania tak się ściśle związały ze sobą i tak uporczywą zachowały nierozzerwalność, jak ta na pozór wątła roślina — to chyba cały świat by można zdobyć na tej zasadzie solidarności.

— Takie poważne zagadnienia panią zajmowały wyłącznie? — to dziwne....

— A pan myślał niezawodnie, że ja byłam jak zwykle wszystkie panny, zajęta sobą i... mojem otoczeniem — tu roześmiała się figlarnie.

W dniu słonecznym nadewszystko tu lubiła przychodzić Kazimiera w to urocze ustronie, lecz sama nie mogła się odważyć na tę wycieczkę, była to poręba zbyt oddalona od „Uzdrowiska“ przeto towarzyszył jej zawsze Wiktor — kazał wkopać ławeczkę dla odpoczynku w tej kolebce z zieloności i kwieciami, śpiew ptasząt i woń balsamiczna upajała tę parę młodą, jakby stworzoną dla siebie.

Tu spędzili oboje najpiękniejsze chwile swego życia...

Tu po latach wielu przychodził po wspomnienia biedny Wiktor — tu pierwsze słowa

miłości wypowiedział ukochanej kobiecie — tu marzył o szczęściu. Słodkie to były chwile. Choć gorzka rzeczywistość jest wyłącznie udziałem człowieka, lecz myśl uporczywie powraca do złoty, łudzących, snów młodości.

V.

W Łużycach nareszcie przyzwyczajono się, że panna Kazimiera odbierała zawsze korespondencje za pośrednictwem posłańca, którego nazywano „szarym człowiekiem“, z powodu szarego odzienia i szarego kaszkietu, jakie nosił ten zagadkowy oryginał. Nie zamienił nigdy z nikim słowa we dworze, nawet szcękającemu nań psu się nie odgrażał. Zauważono pewnego dnia, że idąc do panienki na górę, niósł ogromny zwój papieru i wkrótce odszedł. Służba też podpatrzyła, że panna Kazimiera teraz po całych nocach coś pisała — nieraz wydało się pani Łużyckiej ogromnie znużoną bezsennością prawdopodobnie, gdyż i wypalona doszczętnie nafta w lampie, świadczyła o czuwaniu forsownem młodej panny. Pani Łużyckiej zdawało się, że niedelikatnem byłoby wypytywanie się, skoro Kazimiera nie mówiła sama co pisze. To tylko nie uszło oka ciekawych, że szary człowiek po paru tygodniach znowu się zjawił i wyniósł zwój papierów, jak się domyślano zapisanych.

Pewno adwokat — mówiła pani Łużycka — mu-

siał jej dać jakie podania do własnoręcznego odpisu; interes tego wymagał niezawodnie. Wreszcie nie mówiono o tem więcej i zapomniano o tej tak mało znaczącej okoliczności.

Państwo Łużyccy mieli wyjechać na dni kilka z Cesią i nauczycielką do matki pana Aleksandra, staruszki mieszkającej w oddalonym powiecie, gdyż zawsze na imieniny sędziwej matrony cała rodzina się zjeżdżała.

Kazimiera dostała też zaproszenie, lecz mimo nalegań pani Łużyckiej, stanowczo postanowio nie jechać. A że całe towarzystwo z Drzewiec przyłączyło się też do tej wycieczki — przeto pani Leska przyjechała prosić, żeby Kazia ten czas u niej spędzić zechciała.

Wiktor był w siódmym niebie, bo Kazimiera tę propozycję chętnie przyjęła.

Matka jego widziała w tym zbiegu okoliczności jakby dobrą wróżbę dla jej projektów co do syna — zbliżenie się młodych ludzi i pobyt pod jednym dachem dopomogą im do rozpatrzenia się w sobie, do spotęgowania uczuć i łatwiejszego porozumienia wzajemnego.

Co do Wiktora nie myliła się pani Leska. Dom jego obecnie stał mu się rajem, każda chwila spędzona z Kazimierą była mu rozkoszą; poznał on niebawem, że życie z nią i przy niej było mu czemś niezbędnem, bez czego świat stawał się dlań pustynią.

Gdy ją widział krzątającą się około zajęć do-

mowych, w których wyręczała matkę z taką prostotą, uśmiechem czarującym i tą słodczą, jej wyłącznie właściwą — to coraz nabierał większej pewności, że ona stała mu się niezbędną i że zdobyć jej serce musi. Ale jakże był jej niepewnym. Nieraz najniespodziewaniej jednym słowem zniszczyła jego nadzieje — raz podając mu filiżankę herbaty, rzekła:

— No, wolno panu do czasu grymasić — może za słaba — może za mocna? bo dzięki Bogu moje panowanie tu przelotne.

Chciałby odpowiedzieć, że pragnieniem jedynym dla niego było, by tu została pod jego dachem wszechwładną panią, ale to powiedzenie jej, onieśmieliło go do reszty.

Nie była mu wzajemną — to było widoczne, a może jej sercem już kto inny owładnął i znowu postać Władysława stanęła w jego myśli między nim, a nią — i zazdrość nim miotała.

Pewnego dnia nadszedł list od pana Łużyckiego. Wiktor z drżeniem go otworzył — był pewny, że zawiera polecenie o wysłanie koni do kolei, z czem w jego umyśle bratała się myśl powrotu Kazimierzy do pałacu. Lecz mylił się — w miarę czytania listu rozjaśniała się jego twarz i uśmiech zawitał na ustach. Pan Aleksander donosił, że matka jego zaniemogła — i choć nie ma nic niebezpiecznego, ale muszą czekać na zupełne wyzdrowienie staruszki, by powrócić do domu.

— Z czego się pan tak cieszy — rzekła śmiejąc się Kazimiera — to nie dowodzi dobrego serca, że pan się nie smuci chorobą matki przyjaciela.

— Ma pani rację, ale to wypływa jak oliwa na wierzch, że każdy człowiek, nawet przeciętnie nie najgorszy — za jakiego się mam, bo przecież znowu tak bardzo zły nie jestem — ma w sobie sporą dozę egoizmu, otóż otwierając list pomyślałem — oho! panna Kazimiera nam ucieknie.

— W temby nie było nic złego, owszem może byłoby lepiej dla nas obojga — rzekła poważnie Kazimiera.

— Co ona pod tem rozumie — pomyślał Wiktor.

Pani Leska żadnych kombinacji nie praktykowała; z rozkoszą patrzyła na rozpromienionego syna. A jeśli go widziała zamyślonym — ot, kocha się, powtarzała sobie w duchu — według niej wszystko się składało pomyślnie. Już w swej wyobraźni przedstawiała sobie synową, jako miłutką gosposię w tym domu, urokiem swoim zdobiącą wszystko w koło siebie; szła aż za daleko może... widziała się babką kołyszącą i piastującą wnuka, cóż w tem nieprawdopodobnego, wszak to zwykła kolej życia ludzkiego. Dlaczegożby jej Bóg nie dał doczekać tego szczęścia.

Patrzyła co dzień z najwyższem zadowoleniem, jak ta para młoda, tak jej miła, szła na dalekie spacery do lasu. On z lekką strzelbą na ramie-

niu. Ona z koszykami na kwiaty i na jagody, a jak w obecnej porze, na grzyby. Powracali bardzo późno, oczekiwała na nich z kolacją, przyrządzała różne przysmaczki dla swych kochanych.

Zawsze mieli, powracając z takiej wycieczki, dużo do opowiadania, czasem przygody rozmaite się nastęrczały.

Pewnego razu, gdy Wiktor zaprowadził Kazimierę w tę część lasu, gdzie wyrąbano kilka olbrzymich dębów i jeszcze drzewa leżały nie wywiezione, opowiadał z żalem, że mnóstwo gniazd najrozmaitszego ptactwa zniszczono. Gdy to domawiał, zauważyli oboje, że turkawka unosiła się nad temi zgliszczami — pewno szukała swego domu, biedna ptaszyna, lecz wyżej nad nią krążył ogromny jastrząb, chciwy zdobyczy, więc uciekała widocznie przed nim turkawka, szukając tu schronienia, od czasu do czasu słycać było jej żalosne kwilenie, już dosięgał ją nielitościwy krwiożerczy ptak, już nad nią swe szpony rozpostarł — Kazimiera błada, bez tchu prawie patrzyła na te zapasy ofiary bezsilnej z potężnym nieprzyjacielem.

— Panie Wiktorze — rzekła — prędko niech pan obroni tę ptaszynę, niech pan strzela póki czas, patrz pan, już kilka piórek spadło obok nas.

Wtem rozległ się strzał — jastrząb krążył coraz niżej, niżej, wreszcie całym swym ciężarem spadł na ziemię, lecz równocześnie turkaweczka obok niego leżała bezsilna.

Kazimiera pobiegła ku niej, była pewną, że i ją dosięgnął tensam strzał, lecz biorąc ją w ręce dostrzegła, że tylko piórek z boku kilkanaście miała wydartych, lecz rany nigdzie nie było.

— Patrz pan — rzekła — jak wystraszone to biedactwo, serduszko tak się w niej tłucze ze strachu, jakby miało pęknąć. Dziękuję panu, że pan uratował przed przemocą to słabe stworzenie, zaniosę ją do domu — dobrze? — Tu mchem wysłała koszyczek i ułożyła w nim jak w gniazdku swoją protegowaną.

— Widać, że moja strzelba na coś się przydała — rzekł Wiktor — bo już ja myśliwym nie jestem, tak żałuję każdego stworzenia. Poluję wyłącznie na dziki, lisy i jastrzębie, bo to są niszczy-ciele, ale żeby zabijać śliczne takie zwierzęta jak sarny i wszelkie możliwe ptaki, to się po mnie nie pokaże. Ogromnie się wszyscy ze mnie śmieją z tego powodu, ale ja sobie z tego nic nie robię i kochając las, kocham te wszystkie śliczne boskie stworzenia, które nawet instynktowo nie uciekają przedemną.

— Ach! jak to pięknie pan odczuwa, ale z tem wszystkim strzela pan celnie — rzekła Kazimiera. — To jedno drugiemu nie przeszkadza, strzela pan wyłącznie w obronie uciśnionych. Zaczynam sobie pana idealizować, panie Wiktorze.

— To zawdzięczam wyłącznie jastrzębiowi i turkawce.

Tak gawędząc doszli do „Uzdrowiska“. Pani

Leska niecierpliwiać się trochę, że nie powracają, wyszła naprzeciwko nich i dowiedziała się, co zatrzymało dłużej młodą parę. Turkawka była bardzo dobrze przyjętą, napojoną i nakarmioną ziarnem, za oknem przyjęła nocleg i okazała się bardzo spokojną.

Nazajutrz obmyślono jej mieszkanie na przepysznej lipie, w której też gnieździły się turkawki i żyła sobie tam ptaszyna, jakby się jej nic złego nie stało. To było jednak dziwne, że za każdym ukazaniem się Kazimierzy zbiegała z drzewa i przyjmowała pokarm i wodę jej podaną.

Odwdzięczała się tym sposobem za uratowanie życia. Byłoby to ciekawe dla ornitologów, którzy studyjują życie ptaków i tak wiele podają szczegółów prawie nieprawdopodobnych a jednak prawdziwych.

Później, gdy powróciła już Kazimiera do Łuzyc, to codzień prawie odwiedzała swoją wychowanicę, lecz pewnego dnia jesiennego zasmuciła się — turkawki odleciały w krainy słońca, lipa opustoszała, wróble tylko swym świergotem nagradzały ten ubytek dotkliwy, choć przewidziany.

Coraz to jesień zbliżała się wyraźniej, wieczory bywały już chłodne i wycieczki Kazimierzy i Wiktora stawały się niemożliwe o tej porze po zachodzie słońca. W południe jednak odwiedzali jeszcze swój ulubiony gaik. Wiktor już bardzo wyraźnie mówił swej towarzyszce o swych uczuciach — czyż mógł dłużej milczeć.

— Panie Wiktorze, wierzaj mi pan, że pan mnie nie zna, to wszystko, co pan o mnie myśli, to pochodzi z tego, że pan mnie ubiera w swoje ideały. Ja panu powiem otwarcie, że te chwile, które tu przeżyłam z panem i matką jego zaliczam do jedynie pomyślnych w mojem życiu sierocem. Ale niech mnie pan zrozumieć zechce. Ja sobie to wyrzucam, że mam jakieś złote, choćby przelotne chwile — człowiek jak patrzy i studyje ten świat, tę nędzę tak straszną naokoło, przychodzi do tego przeświadczenia, że mu po prostu nie wolno być szczęśliwym, skoro jest taki porządek tu na tej ziemi, że jedni używają dostatków aż zanadto, a drugich miliony całe żyją w ucisku, w nędzy, w ciemnocie — panie, ja dużo przeżyłam, widziałam tak straszną nędzę po miastach, że tego żadne pióro na świecie nie jest w stanie opisać, widziałam całe rodziny umierające z głodu, widziałam ojców odbierających sobie życie, nie mogąc dostarczyć pożywienia dla swych dzieci. A ten ucisk tego ludu na wsiach, to zbydlęcenie niemal pracujących jak woły robocze za lichą nagrodę — nie panie, tego jeśli niepodobna przerobić, to nie warto żyć. Więc jak panu powiedziałam, każdą chwilę szczęścia mam sobie za przestępstwo.

Wiktor słuchał tych niemiłosiernych dla niego słów jakby w odurzeniu.

— Ja jestem wprost przeciwnego zdania panno Kazimiero — każdy powinien dążyć do tego, by

sobie zdobyć szczęście, to jest dozwolonem każdemu, na jakimkolwiek on stoi szczeblu w hierarchii społecznej, czy jest panem, czy wyrobnikiem, a choćby nędzarzem — w tem opuszczeniu rąk i zdaniu się na los, jest właśnie całe zło.

— Więc się nie rozumiemy, panie Wiktorze — ach jak mnie to boleśnie rani, że pan tak piękne, tak podniosłe uczucie miłości marnuje dla mnie. Ja mam inne cele, wskazane mi przez ludzi postępowych, apostołów wolności, mnie żyć dla siebie nie wolno. Ja panu to mówię, bo wiem, że mnie pan nie zdradzi.

— Ci apostołowie, o których pani mówi, wskazywali pani błędną drogę — odezwał się Wiktor — po której kobieta iść nie powinna, za wątłe siły ma, by ponosić takie trudy i porywać się na odwieczne prawa.

— Tak, ja wiem — odparła Kazimiera — ja jestem tym małym robaczkiem nic nie znaczącym, ale i te drobne stworzenia w całej masie przegryzą korzenie wielkiego dębu, że aż runie w końcu. Ja panu powiem jak to się stało, że mnie ten płomień postępu i wyższych celów ogarnął. Miałam dziewiętnaście lat, kiedy ucząc się pod okiem babki bardzo pilnie i z całym zapałem skończyłam szkołę i zdałam egzamin dojrzałości z odznaczeniem. Wyższe nauki mnie pociągały, jakby magnesem, dwie moje koleżanki miały jechać do Paryża dla dalszych studyów, ja do nóg padałam mojej opiekunce, by mi pozwoliła z nimi jechać.

Pocziwa babka moja sądząc, że te nabyte wyższe kursa dadzą mi kawałek chleba niezależny na życie całe, zgodziła się na tę podróż, ale dwa lata tylko uczęszczałam do kollegium, bo później moja opiekunka zachorowała i fundusze jej nie pozwalały na wydatki nad możność. Ale te dwa lata przerobiły mnie na człowieka, odsłoniły horyzonty nieznane — poznałam ludzi, którzy dla swojej wzniosłej idei gotowi byli poświęcić wszystko, przymierali głodem, byle wydać jakąś broszurę, rozświecającą nowe zorze w dziejach ludzkości, przyjęli mnie jako adeptkę i uznali za zdolną do szerzenia prawdy, która ma kiedyś z ucisku dźwignąć upośledzonych. — Panie Wiktorze, czy pan pojmuje tę rzecz doniosłą — ci pracownicy uznali mnie za godną do przystąpienia do tego dzieła wielkiego. I jak Chrystus Pan powiedział apostołom i uczniom swoim: „idźcie i nauczajcie“, tak oni mnie powiedzieli. Ja się ukrywam jak zbrodniarka, bo wiem, że nikt mnie nie zrozumie — potępią mnie będą, ośmieszają i jeszcze być może oddadzą mnie władzy, lecz nic mnie nie zrazi — ja kłamie, oszukuję, byle się nie zdradzić. Panu jednemu głąb serca otworzyłam, bo poznałam pana do gruntu — Wiktorze, bracie mój, ja wiem, że ty nawet matce twojej nie powiesz, co usłyszałeś z ust moich. Niech ta święta niewiasta ma mnie za zwykłą dziewczynę, chcącą iść za męża. Skończyłam — czy nie odtrącisz mnie pan od

siebie. O nie czyni tego, miej litość nademną, lecz... nie kochaj mnie.

Wiktor był blady i wzruszony do głębi duszy — poznał z opowiadania Kazimiery, że stykając się za granicą z ludźmi przejętymi tendencjami dekadence, przesiąkła temi teoryjami zgubnymi, które z tej błędnej drogi stoczyć ją mogą w przepaść.

Po chwili namysłu rzekł:

— Kochać cię nie przestanę nigdy Kazimiero, bo trudno z serca wyrwać uczucie tam głęboko utkwione. Chciałbym cię tylko zasłonić przed niebezpieczeństwem. Lecz ty jesteś panno Kazimiero, jak ta muszka bezwiedna, co leci w ogień, myśląc, że to słońce, a tymczasem ginie w płomieniach. Ach! — rzekł Wiktor, załamując ręce — więc to mnie spotyka cios taki, że muszę patrzeć jak ukochana przezemnie istota gubi się dobrowolnie.

— Nie mów pan tego — ja żyję, żyję nadzieją wielkich zmian w ustroju społecznym, miłością uciśnionych i zgnębionych, wiarą, że Boska sprawiedliwość odniesie wielki tryumf nad przemocą. Niech każdy bierze udział w tej pracy zbawienia, każdy bez wyjątku, a wielkie dzieło zbawienia dokonaniem zostanie. Nie dziś, ma się rozumieć, nie jutro, może po nas. Ale ktoś, coby choć cokolwiek zrobił na początek, będzie miał przynajmniej to błogie poczucie, że nie żył nadaremnie...

Wiktor nie usiłował więcej przekonać jej, wiedział, że to byłoby nadaremne. Lecz jak każdy człowiek, co kocha prawdziwie, postanowił być cierpliwym i czekać. Miał nadzieję, że i w tej kobiecie obalamuconej odezwie się nareszcie serce. Pozyskał jej zaufanie bezgraniczne — to było już wiele, prędzej czy później zdobędzie jej wzajemność — ufał w to i nie chciał nic perswazyą, lub przemocą zdobywać w umyśle Kazimiery i marzył o tej chwili tak może dalekiej, a może i bliskiej, w której mu powie, że go kocha.

Wszystko przypuszczał biedny człowiek — oprócz tego, że ta pożądana chwila dla niego nie nadejdzie nigdy.

Zwątpienie — ten robak gryzący dotkliwie, nie zwykł gnęździć się w duszy młodej — mającej rojenia o szczęściu — toczy on zwykle jak czerw drzewa nie mające już soków żywotnych — odporność mu nie grozi, więc pastwi się i korzysta z niemocy.

Wiktor nie podlegał zwątpieniu. Wszystkie jego władze umysłowe były tak świeże, tak nie zepsute, a serce tak wezbrane pierwszą miłością. Spowiedź Kazimiery boleśnie go zraniła, ale odnośnie do niej samej — bał się o nią, żeby nie popadła w podejrzenie — następstwa mogły być groźne. On sam związany tajemnicą nie mógł wtajemniczyć nikogo — nawet pana Łużyckiego, by się poradzić i jakkolwiek zabezpieczyć ukochaną. Jedną tylko miał myśl przewodnią, która

koila w nim te wszystkie trwogi, że ta dziewczyna pokocha go kiedyś, on się z nią ożeni i uratuje ją. Wiedział, że pośpiechem nic nie zdobędzie, więc postanowił czekać. Kazimiera nie wrywała się z Łużyc — pani Amelia za nic na świecie nie zgodziłaby się na rozstanie z nią, gdyż coraz więcej ją ceniła i macierzyńską opieką otaczała. Babka przysyłała od czasu do czasu małe zasiłki pieniężne na wydatki osobiste Kazi — więc wszystko tak się składało, że nie było powodu szukać zmiany.

Pani Leska była nie pocieszoną po odjeździe Kazimierzy z „Uzdrowiska“. Robiła wymówki synowi, że się nie oświadczył, że nie umiał sobie pozyskać tej słodkiej dziewczyny, która pewno tylko czekała na jego decyzję.

— Czego ty chcesz — mój Wiktorze — jeśli już ta nie ma warunków na żonę dla ciebie — gderała matka — to już chyba nie masz projektu całkiem żenić się i starym kawalerem postanowiłeś zostać, czego się tak boję dla ciebie.

— Niech się mama kochana nie trapi — uspakajał ją Wiktor — niema nic pilnego, jeśli mi Kazia przeznaczona, to mama będzie miała synową. Albo ona — albo żadna! to moje ostatnie słowo.

— Daj Boże, żebyście się jak najrychlej pobrali — każdego dnia szkoda, oderwanego od tego błogosławionego ogniwa, co zwie się szczęściem małżeńskim — prelegowała matka.

Wiktor podzielał w duchu zdanie matki, ale ona nigdy z ust jego słyszeć nie miała o powodach dzielących go — jak sądził do czasu z wybraną jego serca.

VI.

Okolicą całą wstrząsnęła bardzo niemiła katastrofa — robotnicy urządzili formalny strejk — przestano zupełnie chodzić na zarobek — jesienne roboty stanęły — kopanie kartofli i buraków było naglące, ale rąk do pracy brakło. Sąsiedzi pana Łużyckiego mający gorzelnie, przyjechali na naradę, czemby zachęcić robotników, którzy żądali stanowczo potrójnej płacy. Pan Aleksander radził przeczekać przynajmniej tydzień — zmuszeni głodem nakoniec powrócą do roboty. Tymczasem z dalszych, odległych powiatów sprowadzono ludzi, po których trzeba było posyłać wozy i trzy razy dnia gotować dla nich strawę w olbrzymich kotłach. To było niesłuchanie uciążliwe dla właścicieli i kosztowało sumy — ale innego środka nie było.

— To jest formalnie jakaś propaganda — mówił pewien obywatel — jak się rząd w to nie wmięsza, będzie z nami źle.

— Drugi sąsiad opowiadał, że aresztowano w jego wsi jakiegoś włóczęgę, który nocował nżyda w karczmie, a zrana zaraz poszedł na wieś

i roznosił jakieś odezwy po chałupach. Żyd sprowadził żandarma — obcego człowieka wieczorem tego dnia prowadzono okutego — przesiedział parę godzin w kozie i dla braku jakiegokolwiek dowodu puszczono go. Ale to niema wątpliwości — dowodził obywatel zaniepokojony, że się włóczą po wsiach podejrzone figury i szerzą propagandę.

Tak się szamotano dni dziesięć — ale głód i nędza po wsiach coraz się wzmagają i zanim rząd miał czas w to się wdać, wychudzeni biedacy powrócili do pracy i zgodzili się tylko za podwyższoną cokolwiek zapłatą wziąć się do roboty.

Pan Łużycki mimo to, że sprowadził obcych robotników, kazał każdemu ze swoich wsi, kto się tylko zgłosi dać zajęcie. Ale byli tacy panowie, którzy najemników zgodzili aż do końca robót jesiennych i w tych wsiach zapanowała wielka nędza.

Oto są skutki tych środków obmyślanych przez zbawicieli ludu, którzy nowy porządek mają zaprowadzić, lecz czym kosztem? Łzami i krwawym potem tych w przyszłości wyzwolonych!...

Wiktor w ciągu tych zamieszek nie wychodził prawie z Łużyc. W lesie nie miał zajęcia — żaden robotnik nie zjawił się, wreszcie w tych nieustannych naradach brał udział. Dobrym obchodzeniem pozyskał sobie zaufanie ludu i on najwię-

cej wpłynął na uspokojenie tych umysłów zbłąkanych.

Kazimiera była milcząca, ale tak podniecona, z iskrzącymi oczami i wypiekami na twarzy, że wyglądała na chorą, pani Łużycka była niespokojną o nią, chciała posłać po doktora, bo i dreszcze chwilami ją ogarniały. Wiktor był jak na mękach, perswadował pani Łużyckiej, że Kazimiera nie jest chorą, lecz ogromnie nerwową — i nic dziwnego, że te ostatnie wypadki na niej zrobiły silne wrażenie, skoro wszystkich przygnębiły tak bardzo.

Pewnego dnia Wiktor przyjechał wcześniej niż zwykle, z wiadomością niemiłą. Matka jego zaniemogła, leży w łóżku i prosi bardzo usilnie, żeby Kazia przyjechała do niej.

Pani Łużycka bardzo się zatrwożyła tą wiadomością, postanowiła sama odwieść Kazimierę i równocześnie odwiedzić chorą.

Zastała rzeczywiście panią Leską, leżącą wskutek zbytnej troskliwości o syna, lecz miała tylko silny katar, połączony z odrobiną gorączki.

— Niech ona tu zostanie z nami kilka dni — prosiła biedna matka pani Łużyckiej podczas gdy Kazia zajęła się przyrządzeniem jakiejś przekąski. — Ach! moja droga pani, żeby ona już raz namyśliła się być tu na zawsze gospodynią w tym domu.

— Wszystko to się ułoży z czasem da Bóg — i ja tego gorąco pragnę, a więcej od nas wzdy-

cha do tego pan Wiktor — mówiła pani Amelia.

Na tem się skończyła przelotna konferencyja pań.

Kazimiera była smutna i zamyślona, ani nie wspomniała o ostatnich niemiłych zajściach. Wiktor też nie chcąc jej więcej rozdrażniać, nie mówił o tych drażliwych kwestiach.

Pani Leska codziennie była zdrowszą. Samo parzenie na młodą parę uzdrowiło ją. Nieraz, gdy siedzieli oboje na małej kanapie wprost jej łóżka i cicho coś szeptała — patrzyła na nich z pod oka i cieszyła się tą harmonią widoczną między niemi. Wiktor trzymał ją za rękę, której mu nie bronila i było im tak dobrze ze sobą.

— Idźcie na wycieczkę — namawiała matka — jest mi już dobrze, prawie zupełnie, nie chcę was więzić przy sobie, kiedy niema potrzeby.

Dnie jesienne słoneczne nęciły do spaceru. Korzystali z tych może ostatnich dni pogody Wiktor i Kazimiera, odwiedzili jeszcze kilka razy swoje ulubione zacisze.

Wiktora to zastanawiało i dziwiło poniekąd, że ile razy byli w lesie, tyle razy przechodził obok nich, nie oglądając się wprawdzie — pewien człowiek szaro ubrany. Sądził, że to jest jeden z drwalów, zajętych przy 'robocie, gdyż nie wszystkich znał osobiście, ale tego nieraz spotkał zajętego bardzo pilnie przy pilnowaniu kłoców.

Dziś, gdy znowu przechodził, zwrócił na siebie uwagę Wiktora, który rzekł do Kazimiery:

— To jest jakiś zagadkowy człowiek.

— Ponieważ jesteś pan wtajemniczony prawie we wszystkie sprawy mnie dotyczące...

Tu Wiktor przerwał mówiąc:

— To słowo „prawie“ jest uwagi godnem.

Kazimiera się uśmiechnęła i mówiła dalej.

— Chętnie więc panu opowiem, kim jest ta szara postać, tak na pozor pospolita, ciąg jego życia jest jednym pasmem poświęcenia. Urodził on się w dziedzicznej wsi mego ojca z ubogich, ale bardzo poczciwych i pracowitych rodziców, którzy posiadali chatę i mały kawałek gruntu i mieli tego jednego syna Dymitra. Ojciec i matka odumarli go wczesnie i dziecko to osierocone wziął mój ojciec do swego domu, opiekując się nim starannie. Zadaniem mego ojca było wychować chłopca na prywatnego oficjalistę i sam nim kierować, gdy przyjdzie do lat — tymczasem zgodził organistę miejscowego, który udzielał mu nauk.

Dymitr był bardzo sprytnym i pilnym uczniem, nauczył się w przeciągu pięciu lat, więcej, niż mu było potrzeba w jego zawodzie — poczem zaczął się gruntownie uczyć gospodarstwa. Ja byłam wówczas maleńkiem dzieckiem, lecz gdy podrosłam, przypominam sobie tego dorosłego chłopaka gospodarskiego pod ręką ekonoma — a więcej jeszcze doglądał jego roboty mój ojciec — brał go ze sobą na bryczkę, obwoził po polach, po lesie i tłumaczył mu, jak się

grunta uprawia — jak się koło lasu chodzi. Chłopak słuchał chciwie, ale strasznie był ciekawy do strzelby — tej mu ojciec nie bronił, jak już doszedł do 20 lat i pokazywał, jak się obchodzić z bronią. W przeciągu kilku lat nabył takiej wprawy, że strzelcem był znakomitym i na tem stanowisku chciał wyłącznie pozostać, dlatego ojciec oddał mu las pod zarząd i był pewien, że wywiąże się z zadania wzorowo.

W strzelaniu do celu był Dymitr niezrównanym. Często, gdy ojciec miał gości, wzywał swego wychowanka — strzelano o grube zakłady, które zawsze najcelniejszym strzałem wygrywał Dymitr, z czego ojciec był bardzo dumny, gdyż ten zwycięzca był jego uczniem.

W miarę, gdy wzrastał w lata Dymitr, przywiązanie do opiekuna coraz się wzmagало, był tak oddany memu ojcu, że nie było ofiary, której by nie poniósł w usługach swego pana. Miał, co prawda dużo do zawdzięczenia, bo oprócz wychowania, postarał się mój ojciec, by mu zapewnić dobrobyt — co roku do kawałeczka gruntu, który został Dymitrowi w spuściznie po rodzicach — dokupywał mu ten życzliwy opiekun coraz więcej ziemi. Pewien włościanin, przenosząc się dla własnej korzyści w dalszy powiat, sprzedał całą swoją zagrodę wraz z gruntami, skoro mu się trafił dobry kupiec.

Tym sposobem Dymitr wszedł w posiadanie stosunkowo dużego obszaru, a na nowo nabytej

zagrodzie stanął w krótkim czasie ładny domek i kilka budynków gospodarskich.

Ojciec mój myślał, że Dymitr zechce się ożenić i przenieść na swoje gospodarstwo, lecz mylił się. Rozstać się z ukochanym opiekunem byłoby dla niego pogromem, a niepomyślnością — był wdzięcznym za zapewniony mu byt materialny, ale na usługach chciał pozostać jak mówił całe swoje życie.

Jakoż okazało się w krótkim czasie, że pomoc Dymitra stała się dobrodziejstwem. Brat mój Czesław, skompromitowany politycznie, długi czas pozostał w Warszawie w cytadeli. Dymitr popędził za nim i często swą niezwykłą poradnością i przytomnością umysłu uzyskał pozwolenie widzenia się z uwięzionym — przynosił mu białiznę i lepsze pożywienie i ciągle czuwał nad nim. Ojciec nasz był już posunięty w lata i ciągle z tej irytacji chory, Dymitr przeto wszystkim był dla Czesława. Rok był na Sybirze, aż do chwili, gdy się wreszcie udało ojcu wydobyć syna z tamąd i wysłać go zagranicę.

Wtenczas powrócił Dymitr, wynędzniały, spowinowierany. Nie wypoczął jednak, lecz zastawszy ojca mego ciężko chorym, czuwał przy nim dnie i noce, aż na jego ręku życie skończył ten jego ukochany pan.

Poświęcenie dla całej naszej rodziny wziął sobie za cel życia ten szlachetny człowiek — on też mnie w mem sieroctwie nie opuścił i odwiózł

do babki i tam mnie od czasu do czasu odwiedzał. Gdy zostało postanowionem, że pojedę do Paryża, Dymitr zjawił się najniespodziewaniej i czego nigdy nie przypuszczałam, odwiózł mnie do Paryża. Był mnie i tym dwom panienkom, co jechały ze mną niesłychanie użytecznym. Nie raz nie wiedziałyśmy, jak sobie poradzić, gdzie się zatrzymywać, którędy jechać, by nie przedłużyć niepotrzebnie podróży. Dymitr dowiedział się zawsze o wszystkim, choć tylko trochę po niemiecku umiał, ale oryentował się znakomicie. — Gdy przyjechał do Paryża i tam był mi ciągle pomocnym, zawsze mówił, że odjeżdża, bo nie chciałam go zatrzymywać, ale gdzie tam, wkrótce wynalazł sobie zarobek w jakiejś fabryce, bo mu już brakło pieniędzy i ciągle czuwał nademną i dopiero ze mną razem odjechał, choć pewną jestem, że nieraz będę cierpiał.

I tak zawsze najniespodziewaniej znajdzie się koło mnie — choć go nie szukam. Gdy tu przyjechałam zaraz na drugi dzień znalazł się przy mnie, chodził na kilka zawodów do adwokata do Kielc i towarzyszył mi raz, gdy sama jechać musiałam. W Łużycach był już kilkanaście razy, a to krążenie tu po lesie, to jest badaniem mego stosunku z panem. Ma szczególniejszy dar poznawania ludzi, gdy jestem z panem, widzę, że jest spokojny. Ten stosunek podoba mu się widocznie i to mnie czasem aż śmieszy. Pana Władysława z Drzewiec nie cierpi.

— Ach! jak mu za to jestem wdzięczny — przerwał Wiktor — ja chciałbym tego człowieka zbliżyć do siebie, po tem, co mi o nim opowiedziała pani.

— Czy pan słyszał kiedy o takiej abnegacyi, o takim bezinteresownem przywiązaniu, o wielkości duszy takiej prymitywnej jakiejś, nie studyowanej, nie wyrozumowanej, ta dusza taka czysta, jakby dopiero z ręki bożej wyszła — świat jej nie potrafił zbrudzić. I takim będzie ten człowiek całe życie.

Wśród tego spowiadania dochodzili do „uzdrowiska“ nagle Kazimiera stanęła jakby w zachwyceniu przed olbrzymim dębem, który koronę swoją dostojną nachylił ku jednej stronie i tworzył jakby kapliczkę dla świętego obrazu.

— Ach! panie Wiktorze! — krzyknęła — cóż to za cudowny kształt drzewa! — niech mi pan zrobi tę wielką łaskę i przyjemność, by w tej niszy obraz Matki Boskiej częstochowskiej umieścić. Na pamiątkę naszych wycieczek uroczych. Tędy pewno wszyscy robotnicy przechodzą — bo widać ścieżkę wydeptaną, niechby każdy tu przystanął chwilę, by się pomodlić.

— Dobrze. Już jutro będzie to miejsce uświęcone obrazem. Matka moja ma nawet taki, zobaczy go pani, czy będzie się nadawał do kapliczki, — odrzekł Wiktor bardzo zadowolony, że może tę przyjemność wyrządzić narzeczonej,

za jaką uważał już oddawna Kazimierę w swej rozbujalej wyobraźni.

—¹ Jeszcze jeden szczegół muszę dodać o Dymitrze: jest on tym szarym człowiekiem wtedy tylko, gdy — jak sam powiada — nie jest w służbie. Gdy chce przeprowadzić jakąś czynność zdumiewającą, tak się ucharakteryzuje i odmieni, że nikt nie byłby go w stanie poznać; żaden aktor nie posiada nawet tej sztuki. Częstoż kroc żandarmów tak umiał w błąd wprowadzić, że go mieli za szpiega. Przebiegłość w dobrych uczynkach jest jego specjalnością.

Pani Łaska dowiedziawszy się o gorącym życzeniu Kazimiery, oddała swój ulubiony obraz dla dogodzenia jej, nie widząc w tem nic sprzeciwiającego się obrządkom religijnym. Owszem, kapliczka miała pobudzać do modlitwy. „Byłe żandarmi nie upatrzili w tym czegoś niedozwolonego“ — rzekła przezorna niewiasta.

— W takim razie — odezwała się Kazimiera — obraz odniesie się napowrót do domu.

I tak się rozstrzygnęła sprawa, nie przedstawiająca nic nadzwyczajnego.

VII.

Była to zwykła niedziela, wszyscy z pałacu w Łużycach byli już w kościele, Wiktor z matką i jak zawsze dużo inteligencji z sąsiednich wsi należących do parafii, wszyscy zasiadali w dwóch ławkach naprzeciw kolatorskiej — i mniej więcej byli to znajomi państwa Łużyckich, choć z niektórymi nie żyli wcale. Kazimiera знаła tę całą publikę kościelną. Lecz tej niedzieli ukazała się na Mszy świętej niewidziana dotąd osoba, wysoka, całkiem czarno ubrana, welon krepowy osłaniał całą jej postać. Kobieta ta mogła mieć około lat czterdziestu, czarne brwi świadczyły tylko, że musiała być kiedyś silną brunetką, gdyż włosy miała prawie białe, stanowiące uderzający kontrast z twarzą jej młodą, o bardzo regularnych rysach. Równocześnie z tą żalobną damą weszła panienka młodziotka, ubrana ciemno lecz nie na czarno.

— Sarnicka z córką — rzekła półgłosem pani Łużycka do Cesi.

Kazimiera nie spuszczała oka z nieznanym, dziwnie się jej wydała interesującą i jakąś niepospolitą.

Gdy wszyscy po nabożeństwie wyszli z kościoła, pani Łużycka zbliżyła się natychmiast do pani Sarnickiej, i widząc sanie zaprzężone czterema końmi, z walizą z tyłu, zapytała gdzie jedzie i równocześnie zapraszała do siebie.

Pani Sarnicka miała daleką drogę przed sobą, bo jechała odwiedzić swoją krewną, której się obiecała i ta miała wysłać po nią konie dla zmiany na w pół drogi, lecz na chwilę chętnie zgodziła się wstąpić do państwa Łużyckich, dawno jej znanych.

Przedstawiono Kazimierę, mało się mieszającą do rozmowy; wpatrywała się ciągle w żalobną postać, nie chciała ani słówka stracić, wypowiedzianego z takim spokojem, godnością i smutkiem, tym samym, jaki osiadł na życie całe na czole białem tej uroczej kobiety, musiała jakieś straszne nieszczęście przeboleć — i oto co jej z życia zostało... Widocznie, ta szesnastoletnia dziewczynka ją wiązała ze światem, bo o niej wyłącznie mówiła, gdy ta wraz z Cesią oddaliła się w drugi kąt salonu.

Wizyta rychło się skończyła pożegnaniem i konwencyonalną zamianą słów pełnych uprzejmości.

Pani Łużycka jednak odczuwała szczerą życzliwość dla tej pożałowania godnej osoby i rzekła do Kazimiery:

— Ach! biedna, biedna ta Sarnicka, już lat piętnaście minęło od śmierci jej męża, a boleść jej jest tasama, co w pierwszej chwili tego stra-

sznego dramatu, mąż jej zginął w pojedynku we dwa lata po ślubie — odniesiono jej go do domu z piersią przestreloną już konającego; umarł na jej rękę, bronił sławy tej żony, którą nadewszystko kochał, a którą szarpał jakiś nikczemny i podły młokos.

Na te słowa Kazimiera wybuchnęła spazmatycznym płaczem — i zasłoniwszy twarz rękami, wybiegła do swego pokoju.

Przy obiedzie nie pokazała się — silny ból głowy nie dozwolił jej wstać z kanapki, na którą się rzuciła, płacząc na kilka zawodów.

Pani Łużycka na przemiany z panią Leską usiłowały ją uspokoić, lecz wrażenie doznane, było silniejszym nad wszystko.

— To tylko dowodzi — mówiła pani Łużycka — co to za serce bezgranicznej czułości i dobroci u tej dziewczyny; tak się rozżaliła nad losem biednej wdowy, że aż chora z tego. — Poczciwe dziecko!

Wiktor miał przeczucie, że coś nieodgadnionego w umyśle Kazimierzy związało się z losem nieszczęsnej wdowy — nie miał jednak najmniejszej pewności, czy to mu będzie kiedykolwiek wyjaśnionem — gdyż z zasady, nie badał nigdy Kazimierzy, przyjmował tylko wyłącznie to, co mu sama powiedzieć chciała.

Odkąd zamieszkała w Łużycach, Kazimiera nigdy nie okazała tak bijącej w oczy zmiany humoru, silne panowanie nad sobą strzegło ją

od tego, by nie zwracać na siebie uwagi. Pani Łużycka zauważyła słusznie, że w czasie pamiętnego strejku, wyjątkowo okazała nadmiar wrażliwości, obecnie to po raz drugi się powtórzyło.

— Jest zbyt nerwową — odrzekł pan Łużycki. Wiktor był zamyślony, nic nie mówił.

Nazajutrz powróciła już całkiem do równowagi, mówiła ze spokojem o nowej znajomości, choć z wielkim współczuciem.

Mijały tygodnie, zima się srożyła, panowie polowali, panie namiętnie się zajmowały robotami pod dyrekcją Kazimiery.

Władysław Grzeski kilka razy w tygodniu odwiedzał Łużyce; pewnego dnia przyjechał z prośbą do sióstr i matki, żeby Kazimiera na kilka dni pojechała do Drzewiec w ważnej sprawie dywanu, do którego i Łużyce fabrykowały kwadraty — obecnie pasy do połączenia tych części sprawiały ogromne zakłopotanie, które Kazimiera miała wyłącznie uśmierzyć zapomocą swej umiejętnej i wszechmocnej rady.

Rzecz ta nie przedstawiała żadnej trudności ze strony Kazimiery; obiecała stawić się, ale niespodziewana przeszkoda stanęła chwilowo w poprzek tym projektom. Wiktor do najwyższego stopnia był przeciwnym temu projektowi, uważał, że zabiegi Władysława o względy jego narzeczonej, za jaką uważał Kazimierę już od dłuższego czasu, coraz się potęgowały — nie mógł, a raczej

nie chciał sobie wytłómaczyć celu takiego postępowania i otwarcie zaczął o tem mówić.

— Ależ tego wszystkiego nikt nie widzi oprócz pana — tłómaczyła Kazimiera — to jest jedyna rzecz, która cię ośmiesza w moich oczach. Już jeśli o kogo, to o tego Władysława nie masz powodu do zazdrości, to jest tego gatunku indywidualium, które nie przedstawia dla mnie najlżejszego niebezpieczeństwa. Czasem z nim pożartuję i pośmieję się, a najczęściej się na tem kończy, że się na mnie obrazi, i znowu sam się przeprosi, zabawny jest, ot i tyle — niema o czem mówić. Obiecałam tym paniom pomódz im w robocie dywanu, więc musisz pozwolić... pozwolisz?

— To jest doskonałe!... to musisz... więc cóż mam robić? — mówił Wiktor...

— Otóż tak to rozumiem — wierzysz mi? więcej żądać nie mogę! — rzekła z widocznem zadowoleniem Kazimiera. W nagrodę za to ustępstwo ze strony pana, prosto z Drzewiec przyjadę do „Uzdrowiska“ na dni kilka.

Uradowany tą obietnicą odjechał Wiktor całkiem uspokojony co do Władysława; obecnie nie zagrażało mu nic. Owszem upewnił się, rozważając, że serce drogiej mu dziewczyny skłania się ku niemu — i że zbliża się ta chwila dla niego upragniona, w której okaże się wzajemną i nic ich już nie rozłączy.

Tymczasem Kazimiera zamiast kilku dni, jak było w planie, bawiła już tydzień u pani Grzeskiej.

Dostał tylko Wiktor raz kartkę za pośrednictwem Dymitra, w której uwiadomiła go, że bardzo ważna sprawa zatrzymała ją dłużej, niż się spodziewała, ale już teraz niebawem zjawi się w leśniczówce.

Wiktor się zaniepokoił, nie wątpił ani chwili o charakterze tej sprawy tak ważnej dla Kazimiery, truchlał, żeby się ostatecznie nie zdradziła jakim nierozważnym postępowaniem, ale na to nie było rady. Z tej błędnej drogi, na którą weszła tylko tytuł męża mógł ją wyratować. Więc musiał czekać pełen ciągłej trwogi i niepewności.

Dziesiątego dnia po odjeździe Kazimiery z Łużyc, wracając wieczorem Wiktor z lasu do domu — i nagle stanął; najwyraźniej usłyszał dwa strzały jeden po drugim, w kierunku sąsiedniego lasu Drzewieckiego, stykającego się z Łużyckim.

Duże to na nim zrobiło wrażenie, choć nie było powodu, bo przecie nic nadzwyczajnego nie przedstawiało się w tem, że ktoś w lesie strzela. Może Władysław wyszedł ze strzelbą, lub leśny dla postrachu szkodników. Tak sobie perswadował Wiktor, ale mimo to jakiś lęk niewytłómaczony go przejmował. Kazał natychmiast złożyć do sanek i co sił, powożąc sam, popędził w kierunku strzału. Umiał się znakomicie orjentować jako mieszkaniec lasu.

Pociemniało już mocno na świecie. Mijane szybko drzewa, migotały mu w oczach, śnieg syпки prószył, zasłaniał mu wzrok, mało widział

jadąc, postanowił chwilę zatrzymać konie, by móżdź lepiej rozglądnać się dokoła, lecz cisza nie zamacona żadnym hałasem panowała, nawet ptaki pochowały się, jakby przed burzą.

Nic nie widząc niezwykłego, już miał powracać do domu, gdy nagle pośród drzew napoprzek lasu mknęły jakieś maleńkie saneczki chłopskie, zaprężone krępyim konikiem, który na nierównej drodze wpadał chwilowo w zaspę, to znów ukazywał się na wierzchu, łebkiem poruszając strącał z grzywy całe stopy śniegu. Saneczki były tak niskie, że na razie Wiktor nie był w stanie dojrzeć osób siedzących, lecz niemało się zadziwił, gdy ujrzał naraz przed sobą Kazimierę i Dymitra, który porwał natychmiast Kazimierę i przeniósł na sanki Wiktora, poczem nie mówiąc ani słowa, przemknął się szybko w inną stronę lasu.

Na pierwszy rzut oka nie poznał Dymitra, gdyż ten w miejsce swej szarej guni, miał szary płaszcz i kapelusz z szerokimi krezami, wciśnięty na oczy, że mu prawie twazy nie było widać. — Tak się ubierał Dymitr, gdy był — jak sam mówił „po służbie“.

Wiktor tego wszystkiego nie rozumiał, ale uspokoił się, widząc Kazimierę rozśmieszoną prawie tą przygodą.

— Opowiem panu w domu co się stało, teraz mi jest trochę zimno, więc nie mam ochoty mówić.

Miała na sobie krótkie futerko, i czapeczkę barankową, bardzo lekkie ubranie na tak mroźny dzień. Wiktor zdjął swoją burkę i okrył jej nogi, lecz to mało pomogło. Szczęściem już byli blisko domu.

Pani Leska czekała na syna w przedpokoju, w jadalni syczał samowar a na kominku palił się wesoly ogień. Zdziwiła się staruszka i zarazem ucieszyła, zobaczywszy niespodziewanego gościa.

Kazimiera biegała po pokoju, chcąc się rozgrzać, i była całkiem swobodna, nawet wesoła. Gdy zaczęli pić herbatę, opowiedziała swoją przygodę w ten sposób:

Ten mój pocziwy Dymitr ma formalnie jakąś manię w czuwaniu nademną i upatrując wszędzie jakieś niebezpieczeństwo grożące mi. Otóż i dziś porwał mnie najniepotrzebniej. Jak on się tam w lesie zjawił, nie pojmuję. Wyjechałam wieczorem z panem Władysławem na spacer. Sanna była znakomita; ja lubię się sankować. Chętnie przystałam na propozycję spaceru. Miały jechać i siostry pana Władysława, ale jak się zaczęły długo zbierać i marudzić, Władysław zaciął konie i popędziliśmy.

Wjechawszy w las, chcieliśmy się przejść. Furman wziął lejce, a my poszliśmy duży kawałek pieszo. — Cudownie było! Bór w zimie równie piękny, jak w lecie. Zaczęliśmy rozmawiać: z rozmowy przeszło w kłótnię, jak zwykle z Władysławem. Pogniewał się i rzekł na pół żartem:

— No to ja panią tu zostawię na pastwę dzikich zwierząt, a sam ucieknę.

— Nie boję się! — rzekłam śmiejąc się i biegłam w przeciwną stronę. Byłam pewną, że pan Władysław za chwilę wróci i tylko przekomarza się ze mną i byłby pewno powrócił.

Tymczasem usłyszałam dwa strzały i zobaczyłam przy sobie Dymitra, który zaniósł mnie do tych miniaturowych saneczek i krętami jakimiś drogami pędził, jak mi mówił, ku leśniczówce. Kto strzelał? — nie mam pojęcia. Pewno pan Władysław, bo miał ze sobą strzelbę.

— Nie, — przerwał Wiktor — to był strzał rewolwerowy. Jutro się wyjaśni rzecz cała.

Ależ nie ma się co wyjaśniać. Dymitr jest maniak skończony i narobił biedy, Władysław byłby po mnie wrócił niewątpliwie.

— A jakby nie wrócił, to co? Byłaby pani błąkała się po lesie i zaziębiła się śmiertelnie. Temu Władysławowi piątej kleпки brakuje z takimi żartami.

— Że mu brakuje piątej kleпки — to i ja przyznaję, ale że to nie jest zły człowiek, tego jestem pewna.

— To jest człowiek do szpiku kości zepsuty! — rzekł Wiktor podniesionym głosem, obroną Kazimierzy więcej jeszcze podrażniony. — Zasługuje — rzekł, wstając od stołu, żeby go kto rozumu nauczył. Czuję, że tym nauczycielem, to ja będę.

— Ale dajcie że już pokój tej niemiłej rozmowie — prosiła pani Leska, przestraszona gniewem Wiktora, którego nigdy tak usposobionego nie widziała.

Namawiała Kazię, żeby się położyła do łóżka, widząc plamy czerwone na twarzy dziewczęcia, pochodzące najwyraźniej z zaziębienia.

Wiktor zauważył niepokój matki, który i jemu się udzielił — przysunął się do Kazimiery, wziął ją za rękę i długo trzymał w swej dłoni. Tą pieśczętą chciał przeprosić za swój chwilowy gniew i był w tej chwili jakby oszalały ze szczęścia, gdyż zobaczył łzy w ślicznych oczach kochanki. — Och! ona mnie kocha — kocha — myślał w upojeniu — i skończy się wkrótce ta tortura czekania.

Dzień następny był pełen grozy. W leśniczówce Kazimiera leżała w gorączce. Oczekiwano doktora. — Las w Drzewcach był silnie przetrząsany. Wezwano nie tylko żandarmeryą, lecz i wojsko stojące w miasteczku oraz policję. Do pana Władysława ktoś strzelił wieczorem w lesie, ukryty za drzewem. Jednym strzałem nadwerżone było ucho, drugim roztrzaskane ramię. Przy zbadaniu lekarzy i wojskowych orzeczono, że strzał był o dziesięć kroków wymierzony i pochodził z mistrzowskiej ręki. Na razie było ogromnie utrudnione zbadanie sprawy, gdyż pan Władysław zupełnie nikogo nie spotkał w lesie. Ugodzony nader boleśnie, dopadł swych sanek

i wrócił do domu, nadto całonocna burza i zadyмка wszelki ślad stopy ludzkiej zakryła, jakby białym całunem.

Śledztwo bardzo ściśle prowadzone nie wykryło też nic, coby choć cokolwiek wyjaśniało powód tego tak dziwnego zdarzenia. — Pan Władysław Grzeski nie miał nieprzyjaciół — dla ludu i podwładnych był dobrym i wyrozumiałym, równym sobie nie narażał się, gdyż był nadzwyczaj spokojnego usposobienia. Wszystkie sługi wezwano ze dworu, a nawet z leśniczówki, zeznały jednogłośnie, że w przypuszczeniu nawet nie domyślają się zbrodniarza. Z pomiędzy nich było niepodobieństwem dopatrzeć winnego.

Wobec tak ciemnej sprawy, nie było innego wyjścia, jak w tym wypadku widzieć chyba działanie socjalizmu, mającego takie cele i środki, których nikt zbadać nie był w stanie. Tem pewniejsze zdawało się to orzeczenie, że równocześnie żandarmerya śledząca nieustannie za tymi skrytymi agentami, tu i owdzie połapała odezwy do robotników, drukowane ręczną maszynką i wiele aresztowań nastąpiło z tego powodu, które mimo to nic nie wyjaśniły.

Naczelnik żandarmów miał w pugilaresie kilka takich odezw. Jedną z nich rozpatrywano we dworze w Łuczycach z wielkim zainteresowaniem, gdyż właśnie w Drzewcach były pozbierane po chatach włościańskich. Chłopi nie umieli się wytłómaczyć skąd mają te papiery, zawsze zeznawali, że takie

kartki rzucano im przez okna, lub znajdowali takowe pod drzwiami swych mieszkań, lub w sieni. Treść była następująca, obmyślana nawet dość niewprawnie i kulawo, ale cel był aż nadto jasny.

Odezwa do robotników.

Bracia! Chcemy obudzić u was przedewszystkiem to poczucie godności osobistej, że nie jesteście bydłętami roboczemi, jakimi was robią wasi ciemiężcy, ale ludźmi! mającymi duszę nieśmiertelną jak i oni. W niczem nie jesteście niższymi od nich, owszem wyższymi, bo jeśli oni są skończonymi niedołęgami i niepotrafiliby jednej grządki ziemi skopać własnoręcznie, boby ze znużenia pomarli, to Wy waszą pracą całe ich olbrzymie obszary uprawiacie, zasiewacie i zbieracie, tak, że z waszej łaski stają się coraz to bogatszymi. Czyż wy tego nie czujecie! waszej siły! waszej nad ich niedołęstwem przemocy! Weźcie się tylko solidarnie za rękę, a zwyciężycie ich łatwo, choć ani jeden włos z ich głowy nie spadnie. Strzeżcie się okazać im waszą siłę, nastając na ich życie, lub zdrowie, lub mienie. Krzywda, jakąbyście im czynili na ich ciele lub majątku, nie wzbogaci was, i nie wyciągnie was z strasznej nędzy, w jakiej żyjecie, z tego ucisku i strasznej przemocy, lecz weźcie się za rękę i postępujcie roztropnie. Za pot krwawy waszego czoła, za wasze spracowane ręce winni wam płacić, bo wasz ten lichy zarobek dzienny zapłatą zwać się nie może, lecz bez-

czelnym wyzyskiem i obliczeniem, że głodni i nędzni jak jesteście, musicie przyjąć co wam dają, by nie pomrzeć z niedostatku. Ale spróbujcie choć jeden rok nie iść do tego pługą, karku nie dawać pod jarzmo jak woły robocze, jak niewolnicy, wegetując w tem pohańbieniu — lata i lata mijają i wieki całe — z niewolników rodzą się nowi niewolnicy-nędzarze! Czyż już nigdy nie poczujecie się ludźmi? Łącznie wyzwólcie się, postawcie wasze warunki, zgodne z tem, do czego macie prawo. Spróbujcie choć raz nie obsiać, nie obrobić obszarów tym, którzy was wyzyskują bezwstydnie, a zobaczycie skutki. Zubożycie tych wielkich panów zaraz w jednym roku i zmuszeni przyjmą wasze warunki, które im podacie, a mianowicie: Oddanie gruntów na wspólny zarobek, dzielenie się dochodami według umowy. Tym sposobem wzbogaciecie się pracując, a nie ukrzywdzicie nikogo. Niech hasłem będzie waszem solidarność, wytrwałość, wolność i zwycięstwo nad przemocą. Dalej bracia do czynu!...“

— No, to prosta jest propaganda socjalistyczna w najlepszym gatunku — rzekł pan Łużycki po przeczytaniu odezwy. — A na to niema rady, żadne nasze „smotrenia“ na nic się nie zdadzą, bo to tak, jak z kretami, co się kopie tam, gdzie kupka ziemi się podnosi, a szkodnik już jest o kilkanaście sążni dalej.

Wiktor dnia tego nie zjawił się w Łużycach, bo Kazimiera leżała w gorączce — obawiano

się zapalenia, choć doktor uspakajał, radząc tylko największy spokój, twierdząc, że u chorej cierpiałą najwięcej nerwy.

Wiadomości z Drzewiec pogrzyżyły panią Amelię i jej męża w stan nieopisanego przygnębienia. Oboje pojechali odwiedzić rannego Władysława, zastali kilku lekarzy specjalistów, złożono strzaskane kości w ramieniu, lecz orzeczono niestety, że ręka nigdy władzy nie odzyska. Władysław miał zostać kaleką na całe życie. Okropne to były słowa. Matka i siostry były w rozpacz.

Odstrzelony kawałek ucha nie był groźnym, gdyż zręcznie przeszity, z powodu, że trzymał się na skórze, łatwo się mógł zrość i nawet znaku rany nie będzie, ale lewa ręka była straconą. Do tego leczenie kilkutygodniowe, polecane przez doktorów, było nadzwyczaj przykre.

Obie rodziny Grzeskich i Łużyckich tym straszonym wypadkiem były tak przybite, że o uspokojeniu się choćby chwilowem mowy nie było. W zakres niepowodzenia trzeba przyznać, wchodziła i ta okoliczność, że Władysław jako kaleka w projektach matrymonialnych co do Cesi stał się niemożliwym, a była to „idee fixe“ tak pani Łużyckiej jak i pani Grzeskiej. Pan Aleksander nie brał żadnego udziału w tych kombinacjach pań, tylko będąc szczerym przyjacielem Władysława, cierpiał nad tem nieszczęściem bardzo silnie.

Wezwany Wiktor do Łużyc, był w ogromnym kłopotcie, musiał kłamać, albo brać udział w kłam-

stwie, co na jedno wychodzi. Dowiedział się, że Władysław tłumaczył się przed swoją rodziną, oraz przed władzą, że odwiózł Kazimierę do „Uzdrowiska“ i powracając do Drzewiec, taka go przygoda spotkała. Wiktor więc nie zaprzeczał, od siebie żadnych komentarzy nie dodawał, nikt nie sprawdzał autentyczności całego wypadku, chodziło tylko o sprawcę zamachu, lecz usiłowania wszelkie okazały się daremnymi.

Wiktor nie okazywał zbyt dużego wrażenia wobec szczegółów o kalectwie biednego Władysława, choć pani Amelia i Cesia niemogły o tem mówić bez łez. Lecz nadszedł pan Łużycki i zaczął bardzo energicznie dowodzić, że to są wszystko sprawy socjalizmu — agitacje są aż nadto wymowne — propagandy coraz szersze, na dowód pokazał Wiktorowi odezwę do robotników, którą mu zostawił żandarm.

Nikt tego nie zauważył, że Wiktor czytając to pismo, zaczerwienił się, jakby krew go miała zalać, następnie zbladł jak ściana, zasłonięty arkuszem papieru nie mógł być obserwowanym, tego jednak nie można było nie widzieć, że ręka mu drżała jak we febrze.

— A co? — mówił pan Łużycki — widzę twoje wrażenie. Szelmstwo już dalej nie idzie, chcę nas poprostu wyzuć z majątków.

Wiktor nie mógł słowa przemówić, w duchu był aż nadto przekonany, kto rozrzucał za pomocą Dymitra te odezwy. Był tak przybity, tak

zrozpaczony i pełen trwogi, że przeklinał tylko tych, którzy tę niewinną istotę wprowadzili na tę błędną drogę fałszywych pojęć i zabili w niej wszelkie inne poczucia oprócz przewrotnej idei.

— Cóż się tak zamyśliłeś — zapytał pan Aleksander.

— Jest nad czem — odpowiedział na wpół przytomny Wiktor.

— Wypada ci odwiedzić Władysława — rzekł pan Łużycki.

— Tak, ale nie w tych dniach, bo panna Kazimiera mocno słaba — tłumaczył się Wiktor.

— Co, słaba? nic nie wiedziałam — mówiła pani Aniela.

— Zaziębiła się, jadąc z Drzewiec, bardzo lekko ubraną była, zaraz tego samego wieczora wystąpiła gorączka.

— Muszę ją odwiedzić — a może Kazia co wie o wypadku.

— Nie trzeba ją indagować, droga pani, cóż ona może wiedzieć, skoro strzały słyszała, tak, jak my wszyscy w pewnem oddaleniu. Zresztą doktor nas ostrzegął, że u niej nerwy główną rolę odgrywają, nawet prosiłbym najusilniej przy niej nie mówić o tych wypadkach, o odezwie do robotników i t. p., na niej wszystko robi niezwykle wrażenie. Trzeba ją oszczędzać, nie jest ona tak silna, jakby się zdawało.

VIII.

Po kilkodniowej niemocy, Kazimiera opuściła łóżko i czuła się zupełnie zdrową, choć osłabioną. Bardzo się zasmuciła, gdy dowiedziała się dopiero teraz o nieszczęściu, jakie spotkało pana Władysława, zestawiała w myśli wypadki dnia tego, gdy przechadzała się z nim sam na sam po lesie, gdy ją, żartując odszedł i ona kilkanaście kroków za ledwie uszła i usłyszała dwa strzały, a następnie za chwilę spostrzegła obok siebie Dymitra porywającego ją, nim się zdołała opamiętać, na swoje saneczki. Mówiła o tem wszystkiem z Wiktozem, gdy ich nikt nie słyszał. Nie było wątpliwości, że Dymitr, który niecierpiał Władysława, posadzając go o złe zamiary względem niej i który po prostu ją szpiegował, gdy tylko pojechała do Drzewiec, w tym razie wyszedł z cierpliwości, zobaczywszy ich w lesie, mogło się mu zdawać, że ona ucieka przed napastnikiem, więc strzelił, chcąc ukarać śmiałka. Wiktor też zanim miał sposobność pomówienia o tem poufnie z Kazimierą, domyślał się zaraz na razie, kto był sprawcą zamachu,

szło mu o to głównie, by nie wysłedzono Dymitra.

— O bądź pan spokojnym, on jest tak przebiegły, iż nie jest wykluczonem, by żandarmi nie zasięgaliby jego pomocy w odszukaniu zbrodniarza. Nie miał on ani chwili myśli pozbawienia życia pana Władysława, chciał go tylko silnie okaleczyć i tego dokonał. Jest to jeden czyn w jego życiu, który mu mam za złe — nie miał prawa tak postąpić, choćby nawet przypuszczenie jego miało podstawę.

— Przepraszam — odparł Wiktor w uniesieniu — w takim razie powinien go być zabić.

— Nie — nikt nie jest usprawiedliwionym, kto odbiera drugiemu życie, nawet pojedynek w takim wypadku jest zbrodnią. Bogu dziękuję, że przynajmniej pan Władysław żyje, bo nie przeżyłabym takiego nieszczęścia, któreby pograżyło w rozpacz dwie rodziny, tak mi przyjazne.

Wiktor nie odezwał się więcej, bojąc się choćby najmniejszym słowem rozdrażnić Kazimierę, już i tak wzburzoną. Wtajemniczył ją wyłącznie jak ma odpowiadać na zapytania jej czynione, których uniknąć nie mogła, by zgodnie z nim i orzeczeniem Władysława opowieść wypadła, inaczej mogłyby nowe zawikłania powstać.

Kazimiera była przygotowaną na tysiączne nieprzyjemności, które ją spotkają po powrocie do Łużyc. Swobody i wesołości dawnej, już ona tam nie odnajdzie po wyzdrowieniu, nie było wątpli-

wości, że Władysław przyjedzie i będzie musiała z nim się spotkać, zobaczyć go kaleką, tego młodego wesołego człowieka, jakże jej będzie bolesnym. Mimo tych niemiłych wrażeń, jakie na nią czekały w Łużycach, chciała tam powrócić.

Zakochany coraz bardziej Wiktor i przewidujący wszystko, uprosił państwa Łużyckich, by odezwę do robotników nie pokazywano rozdenerwowanej po chorobie Kazi, którą, jak się to już raz okazało, kwestye społeczne zajmowały, jako osobę myślącą i bardzo wykształconą, a do tego do najwyższego stopnia wrażliwą.

Państwo Łużyccy uwzględnili tę uwagę Wiktora i zastosowali się do tego życzenia, pochodzącego z potęgującego się coraz uczucia dla młodej dziewczyny. Pani Amelia, korzystając ze sposobności, podniosła kwestyę, dla czego ta para tak się kochająca, nie myśli o jaknajrychlejszem połączeniu się, czekają właściwie nie wiedzieć na co.

— Szkoda, że nie jest w twej mocy przymusić ich do małżeństwa — rzekł, śmiejąc się pan Aleksander — bobyś była już dawno popełniła ten dobry uczynek. Co do mnie, to uważam za bardzo stosowne, że się nie spieszą, wypróbują swoją stałość i wzajemnie poznają się gruntownie.

W tych smutnych okolicznościach stała się nieprzewidziana rzecz; Cesia, która już zaczęła rok ośmnasty, uważana wciąż za dziecko, wobec nieszczęścia, jakie spotkało Władysława, okazała taką rozpaczą, że na wiadomość o orzeczeniu doktorów

zemdlała i ledwo ją odratowano. Gdy przysła do siebie, błagała matkę, by ją zawiozła do Drzewiec — zobaczywszy Władysława w łóżku bardzo zmienionego i mówiącego o swem kalectwie z rezygnacją, o mało nie powtórzyło się omdlenie, panowała tylko silnie nad sobą i nie chciała powrócić do domu, utrzymując, że będzie pielęgnować chorego.

To dziecięce jej współczucie i tkliwość, jaką okazała, rozrzewniła do łez Władysława i kiedy pewnego dnia znalazł się sam z Cesią, powiedział jej, że ją kocha od dawna i gdyby nie to, że jest kaleką i nie wolno mu myśleć o szczęściu, to prosiłby rodziców o jej małą dobroczynną rączkę, która umie go tak pielęgnować w chorobie.

Na to Cesia bez namysłu odrzekła, że całe swe życie chce poświęcić, by go uszczęśliwić i żeby przy niej zapomniał o swem kalectwie.

Z tego przykładu morał następujący się wyłania, że nigdy młodych dziewczynek nie trzeba uważać za dzieci, bo w ich serduszkach wcześniej się budzą poważne uczucia, łatwo się zmieniające w bohaterstwo.

Starsi, wtajemniczeni w ten spisek dwóch serc sobie oddanych, Cesi i Władysława, odczuli, każde na inny sposób tę niespodziewaną wiadomość.

Pani Grzeska i jej córki, od chwili strasznego wypadku, miały tego im najdroższego młodzieńca za straconego, ich nadzieje co do jego kariery uważały za przepałe — po wyznaniu Cesi tak

stanowczem, tak nieodwołalnym, odżyły biedne znękanе kobiety — jeszcze ten ich ukochany kaleka nie był wydziedziczony ze szczęścia. Zobaczyły pierwszy uśmiech na ustach Władysława, który ciągle od chwili tej do nieopisania okropnej, stał się tak ponurym, że słowa od niego nie można było usłyszeć spokojnego, nie mógł się pogodzić z tą myślą, że stał się naraz niedołężnym człowiekiem.

Ten uśmiech wywołany miłością Cesi był balsamem dla jego zbołałej matki.

Pani Amelia mimo najlepszego serca i chociaż tak sprzyjająca Władysławowi, że kochała go jak syna i było jej marzeniem oddać mu swą wypieszczoną jedynaczkę za żonę, lecz wobec faktu, jak grom wstrząsającego, że młody człowiek jest bądź co bądź kaleką, względy matki przeważyły i obawiała się teraz tego związku dla tej w rozkwicie dziewczynki, nieświadomej życia i obowiązków, jakieby ją czekały.

Ostatniego słowa nie wyrzekła, nie chciała nikogo zasmucić, odkładała dyczyzę aż do wyzdrowienia Władysława — ostatecznie ojciec był tym, od którego wszystko zależało.

Pan Łużycki nie występował jako rozstrzygający sprawę tak drażliwą, powiedział tylko całym spokojnie, że Cesi przed dwudziestym rokiem nie wyda za mąż — po trzech latach ona sama zadecyduje o swoim losie.

Ten wyrok zdawał się wszystkim bardzo racyo-

nalnym. Nawet Władysław poddał mu się bez szemrania. Cesia wolę ojca gotowa była przyjąć, pod warunkiem, że jako narzeczeni te lata chcą spędzić, że nawet dziesięć lat nie wydałyby się jej za długie, gdyż postanowienia swego nie zmieni nigdy — a że i Władysław zamianę pierścionków uważał za najwyższe dobro i prosił jak o łaskę rodziców, by się temu nie sprzeciwiali, więc stało się zadość życzeniu młodej pary.

Trzy lata mogły wiele rzeczy zmienić. Łudzili się rodzice Cesi, zaręczyny nie były ślubem.

Po kilku tygodniach Władysław zdrów zupełnie, z ręką na temblaku przyjechał do Łużyc. Kazimiera ogromnie się obawiała tej chwili. Pierwsza go spotkała, gdyż Cesia z matką była w ogrodzie. Zbladła, zobaczywszy tego pięknego młodzieńca — zawsze śmiejącego się, wesołego — dziś tak zmienionego, podała mu rękę i łzy strumieniem popłynęły po jej twarzy.

— A więc łezki współczucia, tak ładne, tak drogocenne — rzekł Władysław — a więc widać, że ta katastrofa przydała mi się na coś, bom sobie zdobył narzeczoną i te łezki tak piękne.

Kazia nic nie odpowiedziała. Szczęściem nadeszła pani Łużycka z córką i Kazimiera odeszła do swojego pokoju, by wypłakać resztę łez.

Zdawało się jej, że jest winną temu straszному nieszczęściu, choć niesłusznie się obwiniała. Lepiej mi nie żyć — mówiła sama do siebie — skoro każdemu przynoszę ze sobą coś złego, Ach biedny

Władysław, biedny Wiktor, biedna jego szlachetna matka — ona się spodziewa dla syna losu dobrego ze związku ze mną. A ja nie mogę dać szczęścia nikomu... nikomu.

Tak rozmyślała ta zbląkana istota, dobrowolnie wykolejona.

Wiktor dowiedział się natychmiast, że Władysław odwiedził Łużyce, nie wątpił, że teraz jako narzeczony będzie co dzień przyjeżdżał. To mu było bardzo niemiło, że Kazimiera znowu często go będzie widywać — prosił ją, żeby się przeniosła już pod dach jego na stałe mieszkanie, skoro jak się dowiedział, już wkrótce się połączą.

Kazimiera nigdy nic stanowczego nie odpowiedziała na projekta swego przyjaciela, jak go przed wszystkimi nazywała, przyrzekła mu jednak, że cały maj przepędzi w „Uzdrowisku“, chcąc nacieszyć się wiosną choćby raz jeszcze w życiu — nikt nie jest pewnym na tym padole, czy dożyje następnej wiosny — mówiła.

Takie były zawsze zagadkowe przypuszczenia, jakimi się zaślaniała Kazimiera przed natarczywą już teraz prośbą Wiktora o naznaczenie terminu, mającego go zrobić najszczęśliwszym z ludzi.

— Ach! niech się pan nie spieszy, mnie się zdaje, że lepiej nam być nie może jak nam jest teraz. Ludzie gdy im jest dobrze, koniecznie szukają czegoś, żeby sobie zatruć życie.

Wiosna już na dobre się zbliżyła, święta wielkanocne poruszały najzaciętszych domatorów, ro-

dziny gromadziły się pod jeden dach, by spędzić razem te dni uroczyste. Do Łużyc też teraz często jakiś gość dawno nie widziany zaplątał się w przejeździe. Bardzo serdecznie witany był marszałek X., sąsiad najbliższy pani Sarnickiej i daleki jej krewny, który jechał na święta do swej córki, tej samej, którą to kiedyś odwiedzała pani Sarnicka. Marszałek był już w sędziwym wieku, szanowany i kochany od wszystkich, którzy go bliżej znali. Państwo Łużycy nie mogli się nim nacieszyć i zatrzymali go przemocą na noc, prosząc by wypoczął przed daleką drogą. Przed kolacją zaczęli się gromadzić do salonu wszyscy domownicy; Kazimierę przedstawiono marszałkowi, który gdy posłyszał jej nazwisko, widocznie się poruszył i zaczął się przypatrywać jakby ją znał lub słyszał o niej. Kazimiera tego nie zauważyła, gdyż pierwszy raz widziała tego gościa, który za jej bytności Łużyc nie odwiedzał nigdy. Przy kolacyi znowu marszałek nieznacznie obserwował Kazimierę i przypatrywał się jej z pewną ciekawością. Po kolacyi rozeszli się prawie wszyscy, zostali tylko w salonie państwo Łużycy ze swoim gościem.

Marszałek natenczas zapytał raz jeszcze o nazwisko Kazimierzy i rzekł po chwilowym namyśle:

— Państwo nie wiecie kogo macie w domu; brat tej młodej osoby jest skończonym łotrem i zbrodniarzem, zesłany za swe przestępstwa na

Sachalin i prawdopodobnie dotąd tam pozostaje. Stamtąd ludzie już nie powracają na świat.

Pani Amelia powstała blada i trzęsąca, nie wiedziała czy dobrze słyszy, czegoś podobnego nie spodziewała się — czekała jakby wyroku dalszego wyjaśnienia marszałka, który mówił dalej:

— Musieliście państwo słyszeć w jaki sposób zginął biedny Sarnicki lat temu piętnaście.

— Tak — odezwał się pan Łużycki — w pojedynku.

— Takie jest mniemanie przeważnie tych, którzy nie znają całej sprawy. Otóż rzecz tak się miała. Czesław Z. od dziecka okazywał najgorsze skłonności, ojciec nie mógł sobie z nim dać rady; oddany do szkół uczyć się nie chciał, okłamywał wszystkich, mając się za prześladowanego od profesorów i tak wojował, że go po prostu wypędzono z gimnazjum. Przeto uczył się w domu i ojciec go do gospodarstwa przeznaczył, ale za słaby był dla syna, którego nadewszystko kochał. Hulał więc młody zamiast pracować, a nie było z czego hulać, bo była tylko jedna nie duża wieś całego majątku. Napominany przez rodzica, drwił ze „starego“ — jak go zawsze nazywał — a w dwudziestu dwu latach był skończonym cynikiem, dla którego nic nie było świętego. Kobieta według jego zasad była niedołącznym stworzeniem, stworzonym wyjątkowo dla rozweselania mężczyzn. I pewnego dnia dowodził, prelegując młodzieży

licznie zebranej w kawiarni, że ta wyjątkowo kobieta jest cnotliwa, która niema sposobności grzeszyć; — nawet ta świętoszka Sarnicka niby to zakochana w swoim mężu, a byłem tylko chciałem, zdobędę ją — ale ona nie jest w moim guście.

— Na te słowa stała się rzecz niespodziewana; wyszedł z drugiego pokoju jak trup blady Sarnicki i wyzwał zuchwałego młokosa, wypoliczkowawszy go równocześnie.

Czesław Z. do tego był znanym tchórzem jak zwykle ci bohaterowie, odbierający cześć kobiecie i szkalujący bezpodstawnie. Lecz był zmuszonym przyjąć wyzwanie, publicznie wypoliczkowany.

Nazajutrz w umówionem miejscu stanęli przeciwnicy wraz ze swymi sekundantami.

Nie równe były szale tych dwóch ludzi, idących na śmierć. Sarnicki był od dwóch lat żonaty, miał żonę nadewszystko kochaną i dziecię mające rok za ledwie. Nadto choć młody, zasłużył sobie na ogólny szacunek i dobre imię. Czesław Z. był lichą nader osobistością, na pogardę zasługującą.

Teraz gdy stanąć miał do pojedynku, trząsł się cały ze strachu, lecz jako wyzwany miał pierwszy strzał. Gdy odrachowano odległość kroków, nie czekał ten potwór na komendę sekundantów lecz postąpił kilka kroków i wystrzelił w pierś przeciwnika.

Oburzenie było tak straszne, że kto wie czyby go tam byli nie rozszarpali w kawałki obecni

sekundanci i lekarz, lecz jak się zdaje nie przewidziano tego co się stało; był prawdopodobnie donos, bo natychmiast zjawili się żandarmi i dowiedziawszy się o zbrodni, okuli zabójcę i odwieźli do aresztu śledczego, resztę uczestników pociągnięto do odpowiedzialności.

A trup nieszczęsnego Sarnickiego leżał z piersią rozdartą i takiego go odwieziono żonie.

Nie będę opisywał rozpaczyny żony, choć jako najbliższy sąsiad i krewny, byłem świadkiem tego, co się tam działo w tym osieroconym domu. Że nie postradała zmysłów ta kobieta, temu przypisać można wyjątkowo, że miała córeczkę, dla której pasowała się ze swą boleścią. Ta dziewczynka ją też trzyma w tej równowadze do dziś dnia, bo Sarnicka nic mniej nie cierpi teraz, jak w pierwszych chwilach swego nieszczęścia.

— No kto wie — mówił dalej marszałek — czy Sachalin nie za mała jeszcze kara dla tego złoczyńcy. Ojciec jego stracił całe swe mienie, chcąc ratować syna i umarł z desperacji, dowiedziawszy się, że po roku Sybiru zesłano go tam, gdzie najwięksi zbrodniarze pokutują za swoje czyny. Dziesięcioletnią wówczas dziewczynkę, siostrę Czesława Z., wzięła w opiekę jakaś krewna mieszkająca w Galicyi.

— I tą jest ta biedna moja Kazia, której dałam przytułek w moim domu. Przecie ta niewinna istota nie może odpowiadać za zbrodnię brata O! tem więcej będę jej okazywała współczucia —

rzekła, płacząc pani Łużycka. — Jestem pewną, że ona nawet o tem wszystkiem nie wie.

— Owszem — rzekł pan Łużycki — jestem przekonany, że wie dokładnie o czynach i karze swego brata i to mi wyjaśnia dopiero teraz rozdrażnienie i gwałtowny atak spazmatyczny, jakiemu uległa Kazimiera na widok pani Sarnickiej. Biedna dziewczyna! a jest tak szlachetną, tak prawego charakteru, że tylko podziwiać ją trzeba.

Po odjeździe marszałka, obiecali sobie uroczyście państwo Łużyccy ani nie wspomnieć nikomu o odsłoniętej tajemnicy. Wiktor i Kazimiera nie mieli nigdy o tem się dowiedzieć.

IX.

Oczekiwany tak niecierpliwie przez Wiktora pierwszy maja zajaśniał najcudniejszą pogodą. Wiktor od rana był w Łużycach, przyjechał po narzeczoną; prosił ją, by zabrała już teraz ze sobą wszystkie rzeczy do niej należące, nie miała już tu powracać.

— Ależ ja nie posiadam żadnych tłómków — rzekła, śmiejąc się serdecznie Kazimiera. — Przeciwnie — mówiła do pani Amelii — zostawiam u pani moje skarby, biorę tylko co mi niezbędnie potrzebne chwilowo. Kluczyk od biurka, przy którym mam nadzieję pisać jeszcze nie raz, także powierzam mej kochanej opiekunce. Nie dam się tyranizować przedwcześnie i wogóle nigdy — dodała żartując — gdyż wyznaję zasady wolności niczem nie krępowanej. Czy nie przestraszam cię Wiktorze?

— Siadaj już tylko, mój ty drogi strachu.

I po pożegnaniu, z obietnicą powrotu po kilku tygodniach — ale tylko w odwiedziny — popędziła młoda para w najlepszym usposobieniu. Wiktor rósł i marzył jak ten, który kochał pier-

wszy raz w życiu i nareszcie zdobył przedmiot mu nad wszystkie skarby droższy.

Pani Leska, witając ich przed domem, miała uczucie, że już w dom ten wchodzi jej synowa — i obejmując ją, okrywała pocałunkami świeżą i zaróżowioną twarzyczkę Kazi.

Nazajutrz po przybyciu do Uzdrowiska pierwszą czynnością Kazimiery było odwiedzenie tego dęba, na którym się znajdowała kapliczka z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Kapliczka drewniana i oszklona zabezpieczyła obraz od uszkodzenia; trochę zaschłych liści burzą naniesionych, trzeba było zmieść — poleciła to zrobić pewnemu robotnikowi, którego zastała klęczącego i modlącego się u stóp dębu. Od niego też dowiedziała się, że jest teraz w lesie dużo najemników, którzy oczyszczają las, zgrabując suche liście i gałązki w zimie opadłe.

— No, to po robocie schodźcie się tu do kapliczki, przez cały maj będziemy odmawiać wspólnie litanie i pieśni do Matki Boskiej śpiewać. Dobrze? powiecie robotnikom?

— Niech Bóg panienkę błogosławi, że się chce z nami modlić. My tu już nieraz śpiewali i modlili się przed tym świętym obrazem.

W tej chwili nadszedł Wiktor, który zrobił przegląd w lesie i oboje swobodni i szczęśliwi biegli szybko w to urocze ustronie, gdzie zeszej wiosny spędzili tyle błogich chwil.

Natura się ustroiła w swe najpiękniejsze szaty,

by młodych powitać; listeczki drżały swą pierwszą zielenią, nie tknięte jeszcze ni skwarem słońca, ni miotane burzą. Krople rosy błyszcząły po trawach, zapach już przekwitającej czeremszyny dochodził zdala i wiatr unosił białe rozsypane kwiecie, które muskało pieszczotliwie twarz Kazimierzy — całe łąny konwalii odurzały wonią. Młodzi siedzieli przytuleni do siebie, przypatrywali się ptaszkom szczebioczącym, fruwającym z gałęzi na gałęź — te stworzenia malutkie też używały życia, Boga chwaliły i kochały się, ale zazarcie nie biły się, ni przeszkadzały sobie do używania szczęścia — myślała Kazia; w tem przypomniała sobie tragiczną scenę zesłoroczną pomiędzy jastrzębiem i turkawką i idylliczne jej marzenia pierzchły niebawem.

Aż do południa rozkoszowała się Kazimiera wraz z Wiktorem tą cudną panoramą wiosenną, której żaden pędzel na świecie nie jest w stanie oddać. Biedni malarze, jak oni muszą cierpieć nad swoją nieudolnością; przenieść na płótno te barwy, ten koloryt, to życie, czyż może ręka ludzka? Próżne usiłowania!

Wieczory jeszcze teraz były za chłodne, nie miała tu już powrócić młoda para. Kazimiera przed odejściem całe pęki konwalii zerwała i napawała się tą wonią niezrównaną.

Po powrocie ze spaceru nowa czekała Kazię niespodzianka. Lipa przed domem na „Uzdrowisku“ zawrzała znów życiem, turkawki powróciły

do swych gniazd, prawdopodobnie pomiędzy niemi znajdowała się i jej wychowanka, ale zapomniała o swej pani, nie zbiegała już z drzewa na ziemię. Ptaszyny tak były zajęte budowaniem gniazd, że ludzkie sprawy całkiem im były obojętne.

Po obiedzie przyszli pieszo wszyscy z Łużyc i spaceru po lesie trwały cały dzień. Wieczorem powozy zajechały po gości i Kazia uwolniona już od bawienia ich, pobiegła na majowe nabożeństwo; lampa duża kolorowa przybita pod obrazem oświecała dostatecznie i wszyscy prawie robotnicy zajęci w lesie, śpiewali litanię. Kazia ukłękła pomiędzy nimi i w tem otoczeniu czuła się na swoim stanowisku; jakże błachem się jej zdawało wszystko inne na świecie — „z ludem i przez lud“ — myślała, zanosząc modły do Boga.

Tak mijały dni. Jednego rana, gdy znów znalazła się z Wiktorem w tej kolebce z zieleni — jak nazywała Kazimiera to ich schronisko urocze — oparta głową o ramię narzeczonego słuchała jego słów tak słodkich, tak wezbranych uczuciem, musiała bądź co bądź sama przed sobą przyznać, że go kocha; nigdy nie przypuszczała, żeby mogła kogoś pokochać na świecie.

— Nie miałam — mówiła — nic nigdy w duszy, oprócz przyjętego zobowiązania. Wtenczas byłam na prawdę sobą, hartowną na ból moralny i fizyczny, na przeciwność i walki. Dziś stałam się zniewieściałą, łzy, które nigdy nie gościły w moich

oczach, teraz lada' wrażenie płyną mi po licach aż mnie wstydn.

— I dopiero teraz jesteś kobietą w całym podniosłem znaczeniu. Bóg cię stworzył, żebyś kochała i była kochaną.

— To wszystko takie marne... takie zwykłe — mówiła Kazimiera w objęciach Wiktora. — Ale stało się...

Wiktor skorzystał z tej chwili wyznania i uwiadomił ją, że zapowiedź w tę następującą niedzielę wyjdzie.

Uczuł, że zadrżała, ale pozwoliła się pieścić — była zwyciężoną.

Nareszcie rzekła wstając, bo już właśnie mieli wracać do domu.

— Mimo tego cudnego ranka wiosnianego, mimo twej miłości Wiktorze, jest mi tak bezgranicznie smutno, jakby się jakieś nieszczęście stać miało.

— Nie mów tak najdroższa, nie trzeba mieć urojeń, sama powiedziałaś niedawno, że ludzie sobie dobrowolnie zatruwają życie.

— Tak, ale jeśli koniecznie chcą tego, co być nie może i czego im Bóg nie przeznaczył — kończyła swą myśl Kazimiera.

Pani Łużycka i pani Leska były ogromnie teraz zajęte. Matka Wiktora uporządkowaniem domu i przysposobieniem zapasów dla młodej gospodyni. Pani Amelia wyprawą dla Kazimieri. Szwaczki siedziały wciąż przy maszynach, spro-

wadzono płótna i materyały na suknie. Pan Aleksander krzątał się około ekwipażu pokaznego dla państwa młodych. Cesia pracowała gorliwie nad jakimś podarkiem ślubnym dla przyjaciółki.

Słowem wszyscy by radzi byli nieba przychylić sympatycznej parze.

Lecz niestety przeczucia Kazimiery spełniły się prędzej, niż się spodziewać można było.

Był to piętnasty maja, sobota, na majowym nabożeństwie więcej niż zwykle zeszło się robotników, gdyż w ostatnim dniu tygodnia wypłacano zawsze ludzi, pracujących w lesie. Noc była ciemna, nawet gwiazd nie było widać na niebie, lampa tylko migotliwie oświecała śpiewających. Kazimiera klęczała otoczona ludem i razem modliła się. Nagle powstała, zdawało jej się, że widzi jakieś cienie, przesuwające się pomiędzy drzewami, była to straszna i niespodziewana rzeczywistość — krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Uciekajcie! Żandarmi!

Zrobił się ścisk, tłok, ludzie przerażeni jedni przez drugich pędzili w las, nie wszyscy jednak zdołali uciec. Kilkunastu otoczyli żandarmi i powiązali sznurami.

Kazimiera na wpół przytomna biegła ku domowi, bała się rewizyi w domu Wiktora, gdyż nie podpadało wątpliwości, że jakaś czarna dusza zrobiła donos, że tu się zbierają robotnicy.

Jakoż później wyszła na wierzch prawda, że zdrajca podły zaskarżył, iż w lesie dzieją się rze-

czy niedozwolone, śpiewy patryotyczne i socjalistyczne rozbrzmiewają od dwóch tygodni, na które schodzą się tłumy. Że nadleśniczy występki te popiera i odezwy do robotników wychodzą z jego domu.

Kazimiera wszystkiego się domyśliła — w trwodze o Wiktora pędziła z całych sił, by go ostrzedz, a nadewszystko, by usunąć swój mały kuferek, który mógł skompromitować ich wszystkich. Lecz nadaremne usiłowania, zobaczyła z pewnej odległości kilka latarek migocących przed domem i Wiktora stojącego bez kapelusza, otoczonego żandarmami.

Pojęła całą grozę sytuacji. Człowiek ten, który ją tak kochał — uosobiona szlachetność i prawość — zgubiony z jej winy — ach, to więcej było, niż znieść mogła!

Biegła już teraz, sama nie wiedziała gdzie — miała tylko tę groźną świadomość, że nie uratuje Wiktora. Chciała tam się dostać przed dom i krzyknąć, że to ona — ona wszystkiemu winna, ona drukowała odezwy, ona rozrzucała je pomiędzy ludzi — ona.... ona wyłącznie winna. On o niczem nie wie....

Lecz nieszczęśliwa ta dziewczyna wzięła na swe barki więcej, niż znieść mogły wątłe jej siły.

Postradała w tej strasznej chwili zmysły i już nic nie wiedziała, co się wokoło niej dzieje.

Taką ją znalazł nad brzegiem strumienia, gdzie tyle chwil błogich spędziła z narzeczonym —

czarno ubrany człowiek, z kapeluszem nasuniętym na oczy.

Był to Dymitr, którego przecucie zawiodło jeszcze na czas, by uratować od śmierci biedną tę dziewczynę, opętaną przez złe wpływy i działającą na oślep.

Wziął jak dziecko na ręce córkę ukochanego swego pana, poprzysiągł mu kiedyś służyć do ostatniego tchu swego życia jego dzieciom. Nie dozwolił mu Bóg, by zwykłym torem dzieci tego najszlachetniejszego człowieka poszły — tamten wyrzutkiem społeczeństwa, a ta obłąkana.

* * *

W Uzdrowisku rozgrywała się wstrząsająca scena tego dramatu. Wiktor był aresztowany — ścisła rewizya odbywała się w domu.

Pan Łużycki uwiadomiony, pędził jak szalony na koniu. Miał nadzieję uratować Wiktora, który mu tylko tyle zdołał powiedzieć, że rewizya jedynie może go usprawiedliwić, gdyż jak wiadomo, nic znaleźć nie mogą.

Pani Leska, drżąca cała, z wypieczonemi na twarzy kolorami, otwierała wszystkie biurka, szafy, przetrząsano ściśle, nic nie znaleziono. Odeszła do syna, by go zawiadomić, że już prawie skończyli — są obecnie w pokoiku Kazimierzy, więc nie miała tam już co robić, pewno tam nie będą szukać. Uspokoila się biedna matka.

Ale jakże bolesnym był dalszy ciąg poszukiwań policyi i żandarmów. Na ganek, gdzie siedzieli wszyscy przy świetle lampy wraz z dwoma żandarmami, czuwającymi, by Wiktor nie ułotnił się w czasie rewizyi — wszedł tryumfujący urzędnik policyjny, niosąc w ręku kuferek nie duży Kazimiery, już przemocą otworzony, położył go na stole i wydobyl małą ręczną maszynkę do druku i kilkanaście arkuszy wydrukowanej odezwy do robotników.

Wiktor, zobaczywszy to, czuł się zgubionym, pani Leska nic nie rozumiejąc co to być mogło, krzyzczyć zaczęła, że to zdrada, że to ktoś podrzucił i t. d.

— Ależ kuferek był na klucz zamknięty — tłumaczył urzędnik.

Komisya cała przez wzgląd na pana Łużyckiego i jego nieskazitelność w zachowaniu z urzędami i w sprawach policyjnych, tę ulgę przyrzekła, że nie będą w nocy przewozić Wiktora, lecz poczekają do rana. Pan Łużycki nie chciał opuścić przyjaciela i postanowił mu towarzyszyć do Warszawy.

Pani Leska dopiero teraz zrozumiała co zagraża synowi i dostała ataku sercowego — Wiktor więcej cierpiał nad matką, niż myślał o sobie. Wiedział, że pani Łużycka jak córką nią się zaopiekuje, ale myśl o Kazimierze rozdierała mu serce, nie miał pojęcia co się z nią stało, bał się, czy

ją wraz z roboinikami nie aresztowano, błagał Łużyckiego, by się dowiedział.

— Na razie nic mi nie pomożesz, co mnie ma spotkać nie ominie mnie — później przyjedziesz, wiem, że będziesz robił co będziesz mógł. Tę nieszczęsną dziewczynę ratuj, tę serca mego połowę, choćby nie wiem co się stało, nigdy ją kochać nie przestanę.

Jak wszystko przeżyć trzeba i najcięższą katuszę znieść musi każda istota żyjąca tu na tej łąz dolinie, tak pani Leska i ten widok przeżyła, gdy jej syn ukochany w otoczeniu żandarmów opuścił prógi tego domu, w którym mu było tak błogo, tak zacisznie.

Pani Łużycka zabrała panią Leską do siebie, i pod jej opieką miała pozostać aż do powrotu Wiktora.

Zamknięto dom w Uzdrowisku. Cisza tu zapanowała, jakby wszyscy wymarli — rozbite było to gniazdo — gdzież ta, która tu miała rozniecić ognisko domowe? — gdzież to przewidywane szczęście? Wszystko pierchło, minęło bezpowrotnie — zawiodło tych dobrodusznych, co to ciągle czegoś się spodziewają od życia!

Tylko turkaweczki na lipie ożywiają wyłącznie to smutne ustronie. Wiatr huczy żałośnie — sowa trzepocze skrzydłami — gdy księżyc czasem ozłoci szybę, ptak złowieszczy zwabiony światłem zastuka.

* * *

Zakończenie niniejszej opowieści nie przedstawia się wesoło. Ci, którzy za kilka tygodni mieli podać sobie ręce w drogę życia, rozłączeni zostali srogim losu pociskiem. Wiktor w cytadeli szamotał się jak ptak w klatce — Kazimiera odwieziona przez Dymitra do szpitala „Dzieciątka Jezus“ w Warszawie, nic nie wiedziała co się z nią dzieje — ta nieświadomość zupełna sprawiła, że może tak nie cierpiała, jak inni w tym nieszczęsnym domu. Zakonnice ją szczególną sympatją otaczały i w początkach miały nadzieję, że przyjdzie do zdrowia, co też i lekarze przypuszczali. „Szary człowiek“ — jak Dymitra też nazywano w szpitalu — na rękach prawie piastował chorą, ciesząc się myślą, że ją kiedyś odda Wiktorowi zdrową.

Pan Łużycki, który w sprawie Wiktora ciągle przesiadywał w Warszawie, uproszony odwiedzał często Kazimierę, ale nigdy go nie poznała. Przynosił więc wieści Wiktorowi niezbyt pomyślne — do tego żółwim krokiem postępowało przypuszczalne uwolnienie więźnia, sumy kosztował cały ten proces, ale robiono nadzieję uniewinnienia człowieka, za którego ręczył pan Łużycki, że się nigdy do żadnych nie mieszał politycznych ani socyalnych zawikłań — był wyłącznie zwolennikiem pracy i więcej o niczem nie myślał.

Mimo to miesiące mijały i nie było zmiany na lepsze. Pan Aleksander czasem zjawiał się chwilowo w Łużycach, pocieszał matkę, odwie-

dzał rodzinę i znów powracał do Warszawy, był niezmordowany.

Czasem się zdarzyło, że nie był kilka tygodni w szpitalu, bardzo zajęty sprawą Wiktora, więc posłał kogo z hotelu, by się dowiedział — tego nigdy nie dopuszczono do chorej, ale zawsze była wiadomość taka, że jakiś szaro ubrany człowiek krążył wciąż koło domu zdrowia i ten dawał wskazówki co się tam dzieje.

Po kilku miesiącach pobytu znowu sam się wybrał pan Łużycki, by zobaczyć Kazimierę biedną i uderzył go niemiły widok — szary człowiek niósł na ramieniu ku bramie małą, jakby dziecianną trumienkę, otoczoną wieńcem białych róż — wszedł do fiakra i odjechał ku cmentarzowi. Zakonnice opowiedziały tylko, że od tygodnia przestała jeść chora i zgasła jak lampa bez cierpień, przytomność ani na chwilę nie wróciła u chorej. Pan Aleksander miał oczy pełne łez: a więc — myślał odchodząc — tak skończyła ta istota pełna życia, z sercem gorącym, i szlachetna, choć błędną idącą drogą, zbałamucona przewrotnością drugich — a przeto sama niewinna.

Wiktorowi długo nie mówił o śmierci Kazimierzy — wreszcie sam się domyślił i rzekł głowę pochyliwszy w dłoń:

— Przestała cierpieć, ale z nią zaszło słońce mego życia. Obecnie ciemność mnie otoczy, i tak będzie aż do śmierci.

— Pamiętaj, że masz matkę — mówił rozrzucony pan Łużycki.

W Łużycach, wiadomość o śmierci Kazimieri przyjęto płaczem, jakby bliska bardzo im siostra lub krewna zesłała ze świata. Pani Leska utrzymywała, że Wiktor już nigdy nie powróci takim, jakim był dawniej — miała go za straconego. Odczuwała biedna ta matka, że Kazimiera była przyczyną tych wszystkich nieszczęść, jakie ich dotknęły w ostatnich czasach, ale przebaczyła jej z całego serca, siebie obwiniając, że Wiktora nieustannie namawiała do tego związku.

— Ale moja droga pani — mówiła do pani Łużyckiej — któżby się był spodziewał, że ta niewinna na pozór istota była socyalistką, już przed jej śmiercią spodziewała. No i Wiktor o niczem także nie wiedział.

W tem myliła się pani Leska. Wiktor tylko wierzył w to święcie, że jako mąż z tej błędnej drogi ją sprowadzi i uratuje ją. W tem przekonaniu zgubił siebie a i jej nie uratował.

Nareszcie po dziesięciu miesiącach walki pana Łużyckiego z władzami dotyczącymi, przywiózł ten oddany przyjaciel Wiktora do Łużyc.

Zmieniony, zgarbiony, z włosiem przypruszoną siwizną, choć nie miał jeszcze lat trzydziestu, Wiktor — przez wzgląd na matkę zwyciężał się w swym bólu — obiecywał sobie wyłącznie powrócić jeszcze nieraz na grób Kazimieri, której postawił piękny krzyż z odpowiednim napisem.

Czuł, że tej kobiety nie zapomni nigdy, gdyż kochać silnie można wyłącznie raz w życiu.

Powróciła pani Leska z synem do „Uzdrowska“ wdzięcznością przepelniona dla pana Łużyckiego, który po raz drugi oddał jej syna, a którego znowu miała za straconego. Wierzyła w Boga, że mu da, już jeśli nie zapomnienie, to wytrwałość w dobrem i w pracy.

Wiktor codzień prawie w lesie odwiedzał to miejsce pełne uroku, w którym najpiękniejsze chwile swego życia spędził z ukochaną kobietą. Cóż mu zostało? nic oprócz wspomnienia. Ale i to mu było drogie.

Długo pani Łużycka nie mogła się przezwyciężyć na otworzenie biurka Kazimierzy, od którego oddała jej kluczyk odjeżdżając. Nareszcie raz zdobyła się na to — mnóstwo różnych notatek, tłumaczeń autorów wolnomyślnych z dążeniami dekadenckimi, — a więcej jeszcze przewrotnych, znalazła, któremi się karmiła ta młoda istota, nie dojrzała umysłowo dostatecznie, aby mogła rozróżnić zło od dobrego — z tego musiał powstać chaos, którym zgubiła siebie, a mianowicie zatraciła w sobie kobiecość i dla drugich stała się szkodliwą, choć postępowała w dobrej wierze, że spełnia doniosłe posłaniecstwo.

Przetłumaczyła całe ustępy z powieści Zoli — który bohatera swego w ten sposób idealizuje:

„Przedstawił sobie lud wyzwolony z pod opieki państwa, bez pana, niemal bez prawa —

lud szczęśliwy, którego każdy obywatel, zdobywszy za pomocą swobody pełny rozwój swej osobistości — może dowolnie ze swymi współziomkami, naradzać się nad tysiącznemi potrzebami bytu. Z tego powstaje społeczeństwo szczęśliwe.

„Niema ciemieców — niema bogaczy — niema biednych, — tylko jest posiadanie wspólne ziemi, z narzędziami do pracy — i te skarby oddane ludowi, legalnemu właścicielowi, który potrafiłby ich używać logicznie, gdyż nic nienormalnego nie stało by mu na przeszkodzie. Wtenczas to prawo miłości by rządziło — zobaczono by solidarność ludzkości, która stanowi pomiędzy ludźmi formę żyjącej powszechnej atrakcyi — tej potęgi, łączącej wszystkich w ścisłą rodzinę.

„Piękne marzenie — szlachetne, i czyste wiecznej swobody człowieka wyzwolonego w wolnem społeczeństwie.

„Marzenie anarchizmu jest bezwątpienia najwznioślejsze, najpyszniejsze — i co za słodycz oddać się nadziei tej harmonii życiowej, która sama z siebie za pomocą swych sił żywotnych stworzyłaby szczęście!“

Takimi teoryami przewrotnemi karmiona polska dziewczyna — cóż dziwnego, że stoczyć się musiała z błędnej drogi w przepaść.

1511

SZUKAJ KOBIETY.

<http://rcin.org.pl>

„Mały romansik paryski“. Pod tym tytułem, pewien kronikarz paryski, pewnego chciwie czytanego dziennika, opisał skandalik następującej treści:

„Jak mniej więcej wszystkie w ostatnich czasach romanse paryskie, romansik o którym mowa, jest czysto egzotycznym. Paryż należy niezaprzeczenie do cudzoziemców. Jeśli paryżanie, którymi zajmują się powszechnie kroniki, nie są Amerykanami, Rosyanami, Portugalczykami, Anglikami, Rumunami, Chińczykami lub Węgrami, to nie bierze się ich w rachunek — nie są oni prawdziwymi mieszkańcami z nad Sekwany.

Paryżanie dnia dzisiejszego, to są ci, co przybywają z Prateru, z Newskiego Prospektu, z Chicago, z Pekinu etc.

Był więc jednego razu w Paryżu, prawdziwy, najprawdziwszy pan, Mołdawianin czy Włoch, czy też Małowłoch, — mniejsza o to — jednym słowem paryżanin z nad Dunaju, czy z nad Sprei, który zakochał się do szaleństwa w młodziutkiej Georgijce, czy Turczynce, czy Czerkiesce, też paryżance, ma się rozumieć pięknej jak poranna zorza — ciemnej, jak zmrok wieczorny.

Otóż nasz wielki pan był już w pewnym wieku — to jest miał wiek niepewny — i mimo wyniosłej imponującej postawy, — pięknych regularnych rysów — trudno było odgadnąć, czy to był młodzieniec wyglądający staro, czy też starszy już człowiek, wyglądający tak młodo, dość, że zarzucano nieprzezorność, nieroztropność wielkiemu panu, że brał za żonę dziecię to cudne.

Ale co począć, jak się kto zakocha! On nie pojmował szczęścia bez niej, ona przysięgała, że nie może żyć bez niego. — „Żeńcie się — nie żeńcie się“ — mówi Mołier, otóż ci państwo poženili się — lecz... niestety! — ani godziny nie spędzili ze sobą pod jednym dachem.

Ludzie mówią, lecz czegoż ludzie nie mówią, że wychodzącemu z kościoła jakiś lokaj w liberyi oddał paczkę listów opieczętowaną i wyznał z płaczem, że mu tę paczkę pan jego pod karą śmierci kazał oddać dwadzieścia cztery godzin wcześniej, lecz że przyjaciel jego, też lokaj, żenił się właśnie i jemu spieszyło się na wesele, więc się spóźnił z oddaniem — co pewno nie szkodzi tem więcej, że pan odjechał do Ameryki czy Afryki, i nieprędko się dowie o tem, co się z listami stało.

Więc tylko skutek tak błahej rzeczy, jak lokajskie wesele, ślub wielkiego pana z piękną Czerkieską odbył się bez przeszkód. I tegoż samego dnia nastąpiło rozstanie tych dwojga ludzi, na wieki połączonych ze sobą węzłem nierozzerwalnym... bez procesu, bez skandalu, bez hałasu,

te dwa serca sobie oddane, zostały rozłączone na zawsze, za pośrednictwem złowrogich listów.

Jakież z tego skutki i następstwa?

Wielki pan — jak mówią złe języki, pocieszy się prawdopodobnie. Ona zaś w domu obłąkanych życie skończy.

Co jednak zwraca uwagę ciekawych, to ta okoliczność, że równocześnie z temi wypadkami znikł z horyzontu paryskiego pewien młody, będący w modzie „attaché“ przy ambasadzie — tak zwany „serc morderca“.

Mogliśmy ułożyć cały dramat z tych trzech postaci tak interesujących — lecz chcemy dowieść, że kronikarze mają to niepodobieństwo z kobietami, że umieją zachować milczenie w samą porę. Muszę jednak dodać dla zaspokojenia ciekawości naszych zakulisowych piękności, że młody eks-dyplomata widzialnym był temi dniami w pomysłnym stanie zdrowia“.

Tak dowcipno-lakonicznie zredagowany artykuł „Echa paryskiego“ wpadł w ręce najwięcej interesowanej osoby, bo księcia Z., który pod gromem niespodziewanym, jaki w niego uderzył, ledwie że nie postradał zmysłów, jak ta zaślubiona mu kobieta. Do żywego dotknięty jadem i sarkazmem sprawozdawcy, usiłującego kosztem krwi jego serca bawić publiczność — i błazeństwem dramat jego życia ubarwiać — postanowił ukarać tego nikczemnika.

Artykuł podpisany był pseudonimem „Puk“;

może pod tem nędznem nazwiskiem kryje się wspólnik właściciela listów, przysłanych mu po ślubie — rozmyślał książę — w każdym razie nie ujdzie mej ręki ten jakiś pan „Puk“, odszukam go choćby się schował pod ziemię — rzekł sam do siebie.

Zadzwoił na swego kamerdynera i miał wychodzić, gdy mu oznajmiono przybycie jenerała „Y“, jedyne go prawdziwego przyjaciela, jakiego posiadał w świecie. — Ten przeczytawszy w mieście artykuł „Echa paryskiego“, dotykający w sposób bijący w oczy osobę księcia, chciał zabezpieczyć przyjaciela jakimkolwiek sposobem, ażeby mu dnia tego żadna gazeta nie wpadła w oczy, lecz wchodząc, zaraz na wstępie zobaczył na stole leżący dziennik, — przyszedł zatem zapóźno.

— Dokąd idziesz? — spytał niecierpliwie księcia, naciągającego rękawiczki.

Książę za całą odpowiedź podał mu gazetę.

— No wiem — głupstwo — nikt dziennika tego nie czyta, zajmującego się głównie anonsami, giełdą, przemysłem, dla ludzi fachowych.

— Ale nie usiłuj mnie nawet uspokoić, gdyż to jest niemożliwe; gdyby to tylko o mnie chodziło, to mógłbym jeszcze tę bezczelność pominąć, ale wmięszano w ten skandal imię kobiety, której ja dałem nazwisko i tytuł. Muszę odkryć koniecznie, kto to zrobił i dlaczego.

— Bądź pewien, że dla niczego! — Ot, dla przyjemności, dlatego, że ów pan Puk, czy jak

on się tam podpisał, nie umiał nic lepszego wy-
dobyć z swego kałamarza.

— Stanowczo — rzekł ksiązę — jest się wprost
śmiesznym, sądząc, że człowiek żyć może w idea-
łach, gdy realizm brudny życia na każdym kroku
bryzga ci w twarz błotem.

— Dokąd idziesz? — spytał ponownie generał.

— Do biura tego dziennika.

— Nie popełnisz tej niezręczności. Artykuł,
który niezrobił żadnego rozgłosu, podnosić, roz-
mazywać — do czegoż to doprowadzi? do tego,
że dopiero natenczas będzie komentowanym przez
wszystkie gazety zagraniczne.

— Mniejsza o to, — rzekł stanowczo ksiązę.
Ci ludzie robią swoje rzemiosło, ja wypełnię
swój obowiązek, jak to było dotąd moim zwy-
czajem.

— No, to idę z tobą.

— Nie, za nic w świecie, jutro prawdopodo-
bnie będę cię prosił za świadka.

— A więc pojedynek?

— Nie inaczej.

— Z panem Puk? — rzekł, śmiejąc się przyjacieli.

— Z tym, co mnie znieważył — nazwisko jest
dla mnie rzeczą podrzędną — najzupełniej mi
obojętną w tym razie. Ale kiedy „on“ winowajca
wymknął mi się z rąk, a „ona“ tak strasznie
ukarana, więc zemstę moją wyrzucić zamierzam
na tym ich sprzymierzeńcu w hańbie, który rzecz
całą w sposób bezczelny i dowcipkując opisuje

dla rozweselenia całego Paryża. — Nie, tego mi mi już zanadto! — ten artykuł był ową kroplą, która przepelniła kielich goryczy.

Jenerał Y. widząc, że z jego strony przedstawienia na nic się nie przydadzą, uściskawszy dłoń księcia, szybko wyszedł.

Książę Z., wzięwszy do ręki dziennik, wsiadł do powozu, i kazał się zawieźć do biura redakcyi, znajdującego się przy ulicy Halvey, obok opery. Przeczytawszy na tablicy wskazówkę, wszedł na trzecie piętro. Tu niebawem odnalazł czego szukał. W przedpokoju zastał tylko kilku chłopców i pomocników piszących, ci nie mieli — ma się rozumieć upoważnienia do wyjawienia nazwisk ukrytych pod pseudonimami, lub wcale takowych nie znali nawet. Książę, który ich wypytywał, widział w ciągu rozmowy przez uchylone drzwi ogólną salę redakcyjną, z długiem i szerokiem sukniem, z mnóstwem porozrzucanych papierów, wśród kałamarzy i piór. Sala ta była obecnie pustą zupełnie. Dziennik składano dopiero wieczorem, redaktorowie byli więc nieobecni.

— Czy niema kogo, z kim bym mógł się rozmówić?

Jeden z chłopców zapytał, czy to, czego żąda, dotyczy redakcyi.

— Niezawodnie — rzekł książę Z.

— O! jeśli tak, to sekretarz redakcyi pana przyjmie; czy pan raczy dać swoją kartę, albo zechce

pan może napisać swoje nazwisko na kawałku papieru? — co też książę uczynił i chłopak znikł w kurytarzu — za chwilę powrócił i uchylając drzwi rzekł:

— Jeśli pan łaskaw iść za mną, to pan Firmin jest na usługi pana.

Książę stanął niebawem wobec młodego człowieka bardzo ujmującej powierzchowności, piszącego w skromnie umeblowanym pokoiku, który zobaczywszy wchodzącego, powstał spieszenie od biurka i podał mu krzesło.

Książę Z. patrzył na niego spokojnie, i już otworzył usta, by powód swej wizyty wypowiedzieć, gdy na progu drugich drzwi ukazała się postać mężczyzny, jakby zdjęta z żurnalu mód. Mały brunecik, bardzo przystojny, z wąsikiem w górę wykreconym, kapeluszem jasno popielatym na głowie, wciągał rękawiczki koloru drzewa pospieszenie i szedł ku sekretarzowi redakcyi, przechodząc koło księcia, skinął mu głową.

Wielkiemu panu się zdało, że widział gdzieś chwilowo tę figurę — fizyognomia ta nie była mu całkiem obcą, elegancya, szyk, uderzał w oczy, suknie według kroju ostatniej mody, krawatka jasna w kropki błękitne, kamizelka biała, laska z monogramem pod pachą, okrągły monokl bujał na cieniutkim sznureczku na piersiach.

Do tego wszystkiego był on tem, co nazywają „ładny chłopiec“, w całym znaczeniu tego wyrazu.

— A więc kochany panie Firmin, — rzekł do

sekretarza — kiedy niema Turbiliona, to na mnie cięży sprawozdanie z wyścigów w Engien, słodki to zaiste ciężar, bo to bądź co bądź zabawne... co?... Brak tam będzie kompletny wielko-światówek — odpoczną cokolwiek, ale za to demimondki będą się aż roić, będzie się czem pocieszyć.

— Ale panie, niech się pan spieszy — przerwał Firmin, spoglądając na zegarek — spóźnisz się pan na pociąg.

— Niema obawy, mam powóz na dole. Dotknął zaledwie ręki kolegi, raz jeszcze skłonił się nieznanomemu, i znikł jak porwany prądem powietrza, podczas gdy sekretarz redakcyi zbliżał się ku księciu mówiąc:

— Przepraszam najmocniej, czem mogę służyć?

Księżę wyciągnął z kieszeni numer dziennika i rzekł całkiem spokojnie:

— Chciałbym wiedzieć, kogo to usiłowano dotknąć w artykule zakreślonym ołówkiem? — Przy tych słowach podsunął gazetę sekretarzowi redakcyi, który pobieżnie rzuciwszy okiem, rzekł:

— Znam dobrze artykuł, ale najzupełniej nie jest mi wiadomem, o kim ma być mowa, wogóle nie wiem nawet, czy historyjka ta jest wymyśloną czy prawdziwą.

— Tak — dorzucił księżę — ale przypuszczam, że autor artykułu wie o tem dokładnie.

— Prawdopodobnie -- rzekł uśmiechając się Firmin.

— Chcę zatem wiedzieć nazwisko tego człowieka, co to napisał.

— Czy artykuł nie podpisany?

— Owszem, jeśli „Puk“ może uchodzić za nazwisko.

— Pseudonim jest nazwiskiem w literaturze — rzekł Firmin — jestem jednak zdania, że ma się zawsze prawo znać twarz ukrytą pod maską, tylko że do tego trzeba być czemś upoważnionym. Czy historyjka ta, a raczej skandalik, dotyczy pana jakkolwiek?

— Niech pan przypuści — odpowiedział książę — że człowiek wymieniony, a właściwie mówiąc, znieważony, jest moim najlepszym znajomym, honor jego, na który tu napadają, jest narażony na szwank i ja go bronić czuję się obowiązany. Chcę nadto przekonać się, czy to rzeczywiście dziennikarz kreślił te haniebne słowa. Mógłby się znaleźć ktoś, coby miał w tem ważny powód, aby drukowano takie rzeczy; panie, ja muszę wykryć tę osobę koniecznie!

Tu wielki pan zdawał się tracić swą zwykłą zimną krew.

— Masz pan zupełną słuszość, ale tylko jedna osoba mogłaby pana objaśnić, to jest ten, który napisał artykuł.

— O to mi właśnie idzie, chcę wiedzieć jego prawdziwe nazwisko.

— Ależ on go nie ukrywa wcale — rzekł sekretarz redakcyi. — Pseudonim służy tu tylko dla po-

drażnienia ciekawości, a pan Puk jest z kości i z mięsa, jak wszyscy ludzie, posiadając nadto dziób ostry i pazury.

— O tem miałem sposobność się przekonać, lecz proszę o wymienienie prawdziwego nazwiska — nalegał książę.

— Paweł Jacquemin.

Książę znał dobrze to nazwisko podpisywane tylekrotnie pod artykułami, opisującymi uczty i zabawy przedślubne, które urządzał dla swej narzeczonej; zajmowały one cały Paryż, zachwycały wykwintnością i przepychem elegancki świat, a zabawa na łodziach, po Sekwanie płynących, przybranych w girlandy z kwiatów i roślinami egzotycznymi umajonych, dopełniła miary uniesienia, kronikarz miał pole do popisu, jeśliby był w stanie piórem określić to iście czarodziejskie panorama. Trzeba mu jednak przyznać, iż wywiązał się dość zręcznie ze zadania, książę widywał go nawet czasami pod protekcją wielkich pań, wślizgującego się na najbardziej niedostępne dla innych salony; lecz tego nie uważał już, że pod skrzydłami opiekuńczemi baronowej D., kronikarz był na jego ślubie. Baronowa tym, tak ją mało kosztującym sposobem, płaciła mu za to, że on znowu jej rauty i bale opisywał zawsze z niesłychaną werwą, jemu tylko właściwą. Za takie też niezrównane usługi swego pióra, u wszystkich modnych pań Paryża miał łaski nieograniczone, zjadał najlepsze obiadki i kolacyjki, pił wytworne

wina. Panie, które przepadały za reklamą, pochlebiali mu na wyścigi, a on dyktował im prawa, układał obiady, w czym był mistrzem, i wybierał napoje najdroższe; w szyku elegancyi, nikt go nie prześcignął. Znany był w pięknym świecie pod nazwą „milutkiego Jacquemin, dowcipnego Jacquemin, niezrównanego Jacquemin“.

Do uszów tego niezrównanego, chciał się dostać nasz wielki pan — a chcąc jak najspieszniej zdążyć ku temu celowi, zapytał o dokładny adres szermierza literackiego. Paweł Jacquemin mieszka przy ulicy Rochechouart, na rogu ulicy Tour d'Auvergne, objaśnił pan Firmin.

— Dziękuję — rzekł książę zrywając się z krzesła, więcej nic nie miał do żądania od sekretarza redakcyi.

— Tylko ostrzegam pana, — dodał tenże, — że gdyby pan sam zechciał iść do pana Jacquemin, tobyś go pan dziś nie zastał w domu.

— Dlaczego?

— Bo właśnie to jego, pan tu przed chwilą widziałeś, a teraz znajduje on się na drodze ku Enghien.

— Ach! więc to on był, ten wymuskany jegomość, zdawało mi się też, że gdzieś kogoś podobnego widziałem. Będę więc czekał do jutra, choć to nieskończenie długi termin.

Nazajutrz około 11 przed południem po bezsennej nocy zdążył książę Z. ku ulicy Rochechouart. Gniew jego zamiast się uśmierzyć, spo-

tęgował się jeszcze. Rozmyślał, jadąc z ściśniętym sercem, jakim prawem ten młokos z monoklem na piersiach mięszął się do nieszczęsnego dramatu jego życia, biorąc honor, nazwisko, rany serca najskrytsze, pod rozbiór, w celu rozweślenia drugich.

— O nie, nie ujdiesz mej zemsty — powtarzał po raz setny.

Stanął wreszcie pod wskazanym numerem. Lecz czy tu nie zaszła jaka pomyłka, dom był stary, lichy, obdarty, wejście z boku na kurytarz, wzdłuż którego płynął cuchnący rowek, tamujący niemal oddech, łoża portyera istna nora, pod brudnymi schodami ukryta. Mosiężna gałka w murze zielona, zaśniedziała, nigdy nie czyszczona, mokra, wilgocią z ścian ciągle ciekącą polewana, słowem, dom biednych wyrobników i nędzarzy, jakich już nie spotyka się prawie w tych czasach, budowla wysoka, bezkształtna, odwieczna.

Książę zawahał się, czy ma wejść, nie wątpił, że zachodzi jakieś nieporozumienie, przypominając sobie postać pana Jacquemin wyperfumowaną, wycackaną, z miną zdobywcy serc niewieścich. Widział go jeszcze, tego aroganta, jak mówił z pogardą o wyścigach w Enghien, gdzie wielkoświątówki nie pokazują się; czyżby to być mogło, żeby ten losu wybraniec, mieszkał w tym smutnym, strasznym niemal domu. Ale bądź co bądź przekonać się trzeba. Na zapytanie, czy tu mieszka pan Jacquemin, odpowiedziano mu: „tak panie,

na piątym piętrze, drzwi na prawo“. Szedł więc po trzech ciemnych schodach coraz wyżej, doszedłszy na piąte piętro, ukazały się jego oczom potłuczone i odpadające dachówki, połamane mury, czarne kominy. Teraz tem mniej przypuszczał, żeby tu rezydował ten wytworny Jacquemin, którego widział wczoraj, którego baronowa B. trzymała jak w wacie, jako factotum jej zabaw; Jacquemin milutki, Jacquemin dowcipny, Jacquemin sympatyczny...

Mimo to książkę zapukał na prawo, tak jak mu wskazano, nie otworzono mu zaraz, dosłyszał ałoli za drzwiami jakiś hałas, bieganie. Zobaczył drut od dzwonka — pociągnął. Natychmiast jakiś głos z wewnątrz odezwał się i niebawem otworzyły się drzwi, w nich ukazała się równocześnie młodziutka kobieta, bardzo blada, z pięknymi blond włosami, niedbale zaczesanemi, miała na sobie czarną spodnicę i biały kaftanik; uśmiechnęła się machinalnie, ale zobaczywszy twarz nie tego, którego się spodziewała zobaczyć, zaczerwieniła się mocno, zapinając pospiesznie kaftanik pod szyją, szpilką w braku guzika.

— Czy tu mieszka pan Jacquemin? — zapytał przybysz, zdejmując kapelusz.

— Tak panie, tutaj — odpowiedziała młoda kobieta, trochę zmieszana.

— Pan Jacquemin dziennikarz — powtórzył książkę, ciągle myśląc o pomyłce.

— O tak, dziennikarz — rzekła z dumą w głosie, co nie uszło uwagi księcia.

Otworzyła drzwi szeroko, i usuwając się na bok, zapraszała gościa.

— Może pan raczy wejść.

Nie była przyzwyczajoną do gości, mąż jej przyjmował zawsze interesantów w redakcyi, ale każdy nowoprzybyły mógł być dla jej męża kimś szacownym, przysparzającym robotę, jak ona to nazywała — postanowiła go więc niewypuścić, aż póki mąż nie wróci.

— Proszę niech pan będzie łaskaw usiąść — zapraszała uprzejmie — mój mąż lada chwila nadejdzie. Właśnie myślałam, że to on, kiedy pan dzwonił.

Książę postanowił czekać, wszedł więc z maleńkiego przedpokoiku do salki jadalnej, z której drzwi na prost były otwarte do kuchni, gdzie się bawiło troje dzieci. Najmłodsze mogło mieć półtora roku, chodząc czepiało się starszych, mających jedno trzy, drugie cztery lat. Na potarganej ceracie pokrywającej stół, książę zauważył leżące dwie pary rękawiczek męzkich, znoszonych, jedne perłowego koloru, drugie żółte, przy nich leżały dwie krawatki białe, zbrukane. Na krzeselku drewnianem w kuchni widać było przez otwarte drzwi balię napełnioną wodą, w której wydymały się zamoczone koszule, prała je pewno sama młoda kobieta przed chwilą, gdyż malutkie jej ręce były czerwone i mokre; hałas, który słyszał z za drzwi,

był spowodowany niezawodnie płaczem i uciszaniem dzieci, które teraz patrzyły dużemi zadziwionemi oczyma, na nieznanomego pana, i ani myślały o płaczu.

Książę przypatrywał się młodej kobiecie, mała bardzo szczupła, ładna, choć chorobliwie bladej cery, wyglądała na strasznie zmęczoną, usta wąziutkie, anemiczne, bezbarwne, wejrzenie jakieś wystraszone, niepewne, chudość nadzwyczajna, nadawała całej jej postaci pozór dziewczeczki nierozwiniętej.

Wszystko co ją otaczało w tem nędznem mieszkaniu, było obrazem niedostatku, — krzeselka trzcinowe, z sterczącemi strzępkami trzciny na wszystkie strony — na komodzie w rogu pokoju porozrzucone zaprószone leżały bilety z powinnowaniem nowego roku, jakieś pudełka z cukierków, zepstrzone od much i pajaków, obok nowych dopiero z pod prasy wyszłych romansów paryskich, których kartki tu i owdzie poprzedziane były palcem, w braku noża do papieru, po podłodze zabawki dziecinne wały się połamane, wcale już do zabawek niepodobne, w kącie stała kołyska najmłodszego dziecka, podparta stołeczkiem pod nogi, w ten sposób zabezpieczona od wywrotu.

Uczucia księcia na widok tego, rzecz można ubóstwa, nie da się opisać, nie spodziewał się tego wszystkiego spotkać tam, gdzie szukał przedmiotu zemsty. Ta kobieta wysiłona pracą, z nie-

śmiałym uśmiechem na ustach bladych, ta gromadka dzieci źle odzianych, patrzących na niego pokornie, rozstroiły mu do reszty, już i tak rozdrażnione nerwy. Wstał z zamiarem wyjścia.

— O ile się zdaje, mąż pani nie prędko powróci — rzekł.

— O nie panie, co tylko go nie widać, proszę o chwilkę cierpliwości jeszcze.

Tak łagodnie nalegała, z najwyższym niepokojem w głosie, truchlejąc na myśl, że ten człowiek, który niezawodnie coś pomyślnego przyniósł dla jej męża, gotów odejść. Księżę usiadł zniewolony prośbą kobiety.

— Czy też to tylko mąż pani jest tym, który podpisuje się „Puk“ w kronice dziennika — zapytał, znów dręczony niepewnością.

Ten sam uśmiech szlachetnej dumy, już raz dostrzeżony, ukazał się ponownie na ustach wynędzniałej, anemicznej kobiety.

— O tak panie, tak, to on — odpowiedziała pełna zadowolenia.

Nie posiadała się z radości za każdym razem, gdy jej kto mówił o ukochanym, uwielbianym Pawle, lub kiedy sama o nim rozповідаła, był to najulubieńszy jej przedmiot rozmowy, potrzebowała koniecznie nagadać się czasem o nim, — w braku słuchaczy, zbiegała niekiedy do portyerki, do przekupnia owoców, lub do rzeźnika, by trochę pogawędzić o jakim nowym artykule męża, wydrukowanym w dzienniku.

Przyjaciółkom, gdy ją kiedy odwiedzały, odczytywała z dumą jego pisma, a jaki on był poszukiwany wszędzie, rozrywany, opowiadała im, jakie ma stosunki, znajomości, zaproszenia od samych znakomitości w Paryżu, w najpierwszych domach bywa, często się zdarza, że ma kilka obiadów proszonych dzień po dniu i kilka wieczorów, a ona wtedy nie może nastarczyć koszul świeżych; trafia się nieraz, że całą noc pierze i prasuje, byle tylko miał piękną bieliznę, ten jej drogi mąż.

— O tak panie! to on — powtórzyła raz jeszcze, chociaż ksiązę już nie pytał się więcej. Patrzył tylko na nią z podziwem i słuchał.

— Ja bo wyznam szczerze, nie lubię, gdy on podpisuje się pseudonimem; to mi sprawia prawdziwą rozkosz, gdy widzę całe jego nazwisko wydrukowane, które jest zarazem i mojem, ale to podobno robi wrażenie, zaciekawia, gdy czytają podpis „Puk“. Kto to może być, odgadują, robią przeróżne domysły, komentarze.

— Mój mąż podpisywał się też „Gawrosz“ w pewnym dzienniku, który bardzo krótko wychodził. Ale bo pan może także dziennikarstwem się zajmuje?

— Nie — odparł ksiązę.

— To szkoda — rzekła jakby sama do siebie, mając ciągle na myśli interes męża. — Wreszcie może pan ma i rację, ciężki to kawałek chleba, powraca się późno, nigdy prawie w domu pra-

cować nie można, tylko w redakcyi. O gdyby pan wiedział, jaki ten mój biedny mąż zapracowany, (tu westchnęła głęboko), czasem całe noce spędza w biurze, to go tak utrudza, fatyguje, jak pan się może domyśleć. A te przymuszone wizyty... Kronikarz musi bywać w świecie, żeby miał o czem pisać, a to znów ogromnie kosztuje. Oh! przepraszam pana, że te rękawiczki tak rozłożone przed panem, ale wyjęłam je właśnie do oczyszczenia, umiem to robić doskonale, choć mój Paweł tego nie lubi, powiada, że to zaraz znać, gdy rękawiczki nie nowe, ja przecież jestem kobietą, a nic nie widzę, żadnej różnicy; to prawda, że sobie przy tem i wiele zadaję pracy, ale to tak wszystko drogo kosztuje, szczególnie te drobiazgi codziennie potrzebne, że trzeba dokładać starania i rąk, żeby trochę zaoszczędzić grosza. — Guciu! czego bijesz siostrzyczkę — wołała na synka, poszła ku dzieciom, i słodka jej twarzyczka, przybrała wyraz smutku na widok, że się dzieci poczuły.

Gustawek pogniewany na matkę, opuścił dolną wargę i stał się żywym obrazem swego ojca, gdy ten mówił w redakcyi o kobietach z półświatka spodziewanych w Enhien. Obecnie nie wątpił już książkę Z., że przez niego poszukiwany Jucquemin, był ojcem tej biednej dziatwy i lokatorem tego wstrętnego domu.

— To doprawdy dziwne, że mąż nie powraca — mówiła smutnym głosem młoda kobieta, prawie

tłomacząc się z jego nieobecności, — ale to prawda, że on często je śniadanie w mieście, jest to podobno konieczne nawet dla interesu. W restauracji, jak to pan rozumie, słyszy się wiele nowych rzeczy, rozmawia się, a co prawda, to już w domu nie nauczyłby się on tego wszystkiego co umie, i wiedzieć potrzebuje, by odświeżyć umysł, już to ja nie jestem mocna w tem, co potrzebne do dziennika.

Tu uśmiechnęła się naiwnie, stawiając ze swej pokory piedestał dla tej doskonałości, za jaką uchodził w jej oczach ten ubóstwiany mąż.

Księżę czuł się jak na szpilkach, przybył tu w myśli ukarania śmiałka, który ostrzem noża świdrował w ranie jego serca, zamiast spotkać się z nim oko w oko, jak tego pragnął, znalazł tę niewinną kobietę bladą, zmęczoną, pokorną, poświęcającą się dla tego nicponia i mówiącą o nim, jakby był jej dobrodziejem, Bogiem prawie, a która nic nie wiedząc o życiu tego człowieka, kochała go, pielęgnowała, i nie miała innej myśli, jak o nim tylko, wobec tej egzystencji swojej nędznej, okrutnej niemal, będącej przeciwieństwem oburzającym życia zbytkownego, sybaryckiego, jakie pan Jaquemin prowadził poza domem.

— Więc pani nigdy nie towarzyszy mężowi — zapytał księżę Z.

— Ja? — uchowaj Boże — odpowiedziała z przestachem — on by tego nie chciał; i ma

racyą. Bo proszę, niech pan raczy wyrozumieć, jak to jest. Gdy się ze mną ożenił temu pięć lat, nie był on jeszcze tem, czem jest dzisiaj, (taką znakomitością, pomyślała w duchu), był on urzędnikiem przy kolei wschodniej, ja pracowałam, byłam szwaczką. Toteż wtenczas było rozkoszne życie, chodziliśmy zawsze razem na spacer, do lasku. On wtenczas nie znał nikogo, co innego teraz. Może się pan domyśleć, że gdyby taka pani baronowa Dinati, która jest tak rozgłośna w Paryżu, lub inne panie z najwyższej sfery, znajome mego męża, zobaczyły go prowadzącego się pod rękę, toby mu to pewno nie dodało uroku — owszem zaszkodziłoby mu w ich opinii.

— Myli się pani — rzekł już zniecierpliwiony książę — przeciwnie, każdy by panią uszanował, uchylając czoła.

Nie zrozumiała na razie tego, otworzyła szeroko zdziwione oczy. To musiał być prawdopodobnie komplement, którego nie zwykła była słyszeć, zarumieniła się ogromnie. — Nie trzeba tak wiele mówić — pomyślała — a może zanadto już powiedziałam, „napaplałam“, jak mówił jej nie-raz mąż, więc zamilkła.

— Czy pan Jacquemin często bywa w teatrze? — zapytał ją znów książę.

— O tak to jest niezbędne.

— A pani ?

— Ja czasem, wprawdzie nie na pierwszych przedstawieniach sztuk nowych, ale Paweł daje

mi biletów ile chcę, na takie sztuki, które już nie przynoszą dochodu, zapraszam wtenczas przyjaciółki i sąsiadki i idziemy, ale to się nie często powtarza, bo wciąż ta obawa o dzieci, choć zawsze uproszę żonę portyera, lub jaką panią poważną, by posiedziała przy moich malcach, ale już mam taką naturę, że każdą zabawę zatrzyma mi myśl: „żeby im się też tam co złego nie stało“. Gdyby mąż mógł być w domu przez ten czas, to co innego, ale on biedny chłopczyzna ma te godziny zajęte w redakcyi, — wiecznie w pracy i w pracy — czy on może choćby chwilę czasu poświęcić mnie albo dzieciom. To widzi pan jest tak zawsze, jak dziś, ciągle oczekuję, nadśluchuję, spodziewam się, mam nadzieję, że przyjdzie, a on nie przychodzi — rzekła znów smutnie... i dwie duże łyzy brylantowe zatrzymały się na długich rzęsach, zanim potoczyły się po bladej twarzy.

— A on nicpoń, ślizga się po salonach i objada się przysmaczkami — myślał książę do najwyższego stopnia oburzony, — obrzydliwy człowiek.

— No, wielkie rzeczy — mówiła młoda kobieta, łajac się prawie. — Dzieci zjedzą bifsztek przyrządzony dla ojca, to im nie zaszkodzi.

Otworzyła drzwiczki od kredensu, trzymające się zaledwie na jednej zawiasie i wyjęła kilka wyszczerbionych talerzy, nakrywając dla małych.

— Przepraszam, że przy panu daję do stołu, ale to na dzieci czas.

Książę w milczeniu, z rozrzewnieniem coraz większem przypatrywał się tej nieszczęśliwej, pełniającej swe obowiązki ochoczo wśród tak dotkliwej biedy, w jakiej żyła, podczas, gdy mąż jej, szanowany pan „Puk“ ukazywał się ludowi, wyperfumowany i wystrojony, na jakim kiermaszu lub wyścigach, albo też połykał ostrygi tuzinami u baronowej D. lub hrabiny S., popijając Johannisbergerem, ale tylko pieczętowanym lakiem złotym i błękitnym, bo tylko temu warto było dać buzi, jak zawsze mówił; w kronikach zaś opisujących ucztę, dawał formalnie lekcye gastronomiczne.

Pani Jacquemin wśród tego rozmyślania księcia, ujęta jego sympatją, czyli raczej litością dla siebie, którą odczuwała mimowolnie, opowiadała swe życie z całym zaufaniem, jak to czynią osoby nie znające świata i mało obcujące z ludźmi, a korzystające z każdej sposobności, by się wygadać, wywnętrzyć.

Była to idylla czysto paryzka miłostek nie ciekawych szwaczki z młodym urzędnikiem, mającym się z nią żenić, a który ją tak bardzo kochał, że to opowiedzieć się nie da, wymyślał ciągłe zabawy, wycieczki, przechadzki, rozrywki, gdzie tylko była jaka zabawa za miastem, jechali zawsze oboje, jedli podwieczorek siedząc na trawie, oh! jak ją to wszystko bawiło, te namioty, gdzie pokazywano ciekawe sztuki, w innych konie znów biegły jak

w cyrku, albo teatru, w których kłowni mówili takie śmieszne rzeczy, że trzeba było się aż kłaść. A bal, bal, jakże był rozkoszny, tak się wytańczyła zawsze, że przy końcu już dosłownie nóg nie czuła. Wracając w nocy koleją do miasta, tak była zawsze znużoną, że zasypiała na ramieniu ukochanego, mówiąc mu do ucha, że go kocha i że to był najpiękniejszy dzień w jej życiu.

— Ale bo też panie były szczęśliwe czasy, szczęśliwe — ciągnęła dalej swą powieść, — nie byliśmy bogatsi, to prawda, ale byliśmy wolni, nie mieliśmy obowiązków i on do mnie wyłącznie należał. Teraz jestem strasznie dumną z jego pism i talentów, ale cóż mi z tego, kiedy go nigdy nie widzę, a życie bez niego — ah! to takie smutne... o gdyby nie ta ciągła jego nieobecność, o mój Boże! jaką ja bym była szczęśliwą, szczęśliwszą, niż wszystkie na świecie milionowe panie, ale cóż, — rzekła ze łzami w głosie, — wiem, że to być nie może.

Było tyle świętej rezygnacyi w tych ostatnich słowach biednej tej poświęcającej się istoty, bezwiednej swego męczeństwa, tyle miłości bez granic dla tego, który ją okłamywał bezczelnie, zaniedbywał niemiłosiernie, że książę był zbudowany tym ideałem kobiety, porównywał te dwie egzystencye, męża żyjącego w zbytku i rozkoszy — żony w niedostatku i wysilającej pracy. Przedstawił sobie powrót tego wykwintnego małżonka, z czarodziejskiego balu od baronowej D. lub księ-

żnej X. — do tego lichego wyrobniczego mieszkania; wonią kwiatów i blaskiem światła odurzonemu, jakże wstrętnem wydawać się musiało to duszne cuchnące powietrze. Rzucił się, prawdopodobnie kwaśno usposobiony dla żony, na nędzne swe posłanie i zasypiał, a ona niewątpliwie zabierała się natychmiast do czyszczenia sukien i obuwia, do wywabiania plam, do przygotowania świeżej bielizny, potrzebnej na drugi dzień, który miał być podobny minionemu.

Mając przed oczyma ten przykład wzniosłego poświęcenia bez granic, miłości prawdziwej, głębokiej, a nadewszystko pokory iście chrześcijańskiej, czuł, że gniew i pragnienie zemsty, wszystkie te namiętności w nim się kołysły, czuł się ubezwładnionym, jak człowiek, któremu wytrącono broń z ręki.

Gdy to wszystko w myśli komentował, widział tę słodką kobietę sadowiącą dzieci w koło stołu.

— Chce wam się jeść? — mówiła do nich pieścizotliwym głosem — a bądźcie spokojne, zjecie bifsztiek przygotowany dla ojca; — rozdzieliła mięso na trzy części, nakarmiła wszystkie troje, sobie nalała odrobinę kawy z mlekiem, popijając ją wśród zajęcia.

Serce się ścisnęło temu szlachetnemu człowiekowi, — złamany własnymi nieszczęściami, odczuwał prawdziwie niedolę drugich. Nagle jakby żywa stanęła mu przed oczami scena pełna grozy i przerażenia.

Kobieta wynędziała ciągłą pracą i niepowodzeniem, znów czeka jak zwykle powrotu ukochanego męża, nadśluchuje, biega od okna do drzwi. Wtem słyszy kroki, hałas na schodach, otwiera pospiesznie i widzi, że jej odnoszą skrwawionego, a może śmiertelnie rannego, tego ukochanego któremu poświęciła życie. — I to on miałby być, przyczyną tego jej męczeństwa.

Ach! biedna kobieta, nie, on tego zrobić nie może, nie powinien. Teraz między nikczemną figurką pana Jacquemin, a ostrzem jego szpady stanęła ta cicha, smutna kobieta i te drobne dzieci, zapora nieprzeparta. Ruchem gwałtownym zerwał się idąc ku drzwiom i rzekł zwyczajnym głosem:

— Widzę, że już dziś mąż pani nie powróci do domu, więc żegnam panią, nie chcąc jej dłużej przeszkadzać.

— O, pan mi nie przeszkadza, wszak pan widzi, karmiłam dzieci przy panu, przepraszam, że tak wszystkim się zajmuję, jakbym nie miała gości. Ale kiedy pan już koniecznie chce odchodzić, to proszę mi dać polecenie do męża, ja się z tego wywiążę jak najskrupulatniej. Czybym nie mogła wiedzieć, co tu za interes pana do nas sprowadził. Jeśliby to była dobra jaka wiadomość, o mój Boże, jaka bym ja była szczęśliwa mu o niej powiedzieć. Może pan jesteś... ale prawda, mówił pan, że nie — redaktorem jakiego nowego dziennika — mówił mi nawet o tem Paweł, że ma wychodzić jakieś nowe piśmo — chciałby mieć

w niem fejleton, ale sprawozdanie teatralne jeszcze by mu więcej dogadzało, ma pasyą do tego.

— Nie pani, nie jestem redaktorem, a interes mój do męża pani, nie ma obecnie już racyi bytu, ale nie żałuję mej wizyty, przeciwnie spotkałem dzielną kobietę, przed którą uchylam kornie czoło.

Młoda kobieta nie była przyzwyczajona do takich hołdów i uszanowania, zaczerwieniła się znów mocno, niewyraźnie szeptała jakieś podziękowanie, w duchu zrozpaczona, że ten pan, co może przyniósł dla jej męża pomyślne wieści, odchodzi i znowu wszystkie nadzieje rozwiane.

Paryż ma swe tajemnice; myślał ksiązę schodząc ze schodów, całkiem inaczej usposobiony, jak wtedy, gdy niemi szedł przedtem.

Trzebaż mu było aż tu się wydrapać, by znaleźć „kobietę“ w całym znaczeniu tego słowa.

Zeszedłszy na dół, instyktowo czy machinalnie, podniósł oczy do góry, będąc już na ulicy, i spojrział na to okno z kratą żelazną, mocno na zewnątrz wysunięte, okno to pod samym dachem już, wyglądało z tej odległości jak gniazdo jaskółcze. W niem ukazała się wybladła twarzyczka kobiety, otoczonej główkami dziecięcemi, podobna do jaskółki wśród piskląt.

Ksiązę uklonił się raz jeszcze.

Całą drogę między ulicą Rochechouart a swoją rezydencją, myśl księcia zajmowała się wyłącznie zestawieniem dwóch kobiet, żony niegodnej ucziwego nazwiska, która go okłamała i zdradziła i tej

wątlej chorobliwej dziewczynki paryskiej, powolnie niknącej pod ciężarem pracy nadobowiązkowej, biednej, opuszczonej, zaniedbanej przez tego, którego nazwisko nosiła; tak piękne nazwisko „Puk“, a przecież wolałaby umrzeć raczej, niż skalać to imię. I taki Jacquemin znajduje niezasłużenie tę drogocenną jaskółeczkę na poddaszu paryskim, a on spotyka nędznicę, która mu kłamie przed ślubem, i stokroć gorszą jest, niż gdyby nawet była wiarołomną żoną.

Tak rozmyślając, przyszedł do wniosku, że ludzie na tej ziemi obojej płci, są marionetkami w rękach losu, przeznaczonemi do druzgotania się wzajemnie.

Przejeżdżał właśnie koło wspaniałego bazaru z dziecinnymi zabawkami, wysiadł z powozu i zakupił co tylko było najpiękniejszego i najdroższego, wstąpił też do cukierni obok i wybrał kilka dużych pudełek ozdobnych z najlepszymi cukierkami.

Jakie miały przeznaczenie te sprawunki, wkrótce się okaże.

Powróciwszy do domu, zastał już swego przyjaciela generała Y.

— No cóż tam? — zapytał niecierpliwie stary żołnierz.

— Nic — tu opowiedział księżę wszystko, co widział przed chwilą.

— Szukaj kobiety! mówię ci wzniosłej, uwielbienia godnej, przed którą byś zniewolonym był

paść na kolana, lecz tego ani wychowanie, ani urodzenie nie daje; to są dary Boże, rozdzielane naturom wybranym wyjątkowo.

Jenerał był bardzo zadowolony z tej definicji księcia i takiego zakończenia sprawy.

— Wczoraj — mówił dalej książę — prosiłem cię na sekundanta, dziś mam innej natury polecenie, które wiem, że nawet bez obietnicy z swej strony, spełnisz jako prawdziwy mój przyjaciel. Będzie to list i paczka: list własnoręcznie oddasz samemu pauu Jacquemin, paczkę jego żonie. Gdy ci się będą pytać o mnie, powiesz, że wyjechałem, sam nie wiesz dokąd, co też i nastąpi za kilka godzin i że nigdy w mem życiu do Paryża nie wrócę.

— Cóż więc zamýślasz zrobić ze sobą? — zapytał smutno jenerał.

— Nie wiem — gdybym się osiedlił kiedy gdziekolwiek, napiszę do ciebie, byś przyjechał do mnie, chciałbym umrzeć na ręku przyjaciela.

Po tych słowach wyszedł do drugiego pokoju, będącego jego gabinetem i usiadłszy przy biurku, napisał list następującej treści:

Panie Jacquemin!

„Wydrukowałeś pan dla zabawienia publiczności paryzkiej artykuł dotyczący księcia Z. Jest to postępek nieczny i zły czyn, za który zasłużyłeś pan na nauczkę, — miałeś krwią zapłacić za twe słowa, niegodne uczciwego człowieka.

Lecz był ktoś, który uniemożliwił zemstę —

rozbroił mnie. Tą osobą jest godna uwielbienia i litości żona pana, spełniająca swe posłannictwo z taką godnością i z takim męstwem znosząca nędzną egzystencję, jaką jej pan zgotowałeś, że podziw wzbudzić musi u każdego myślącego człowieka.

Pani Jacquemin maże winę pana „Puk“!

Dodawać jeszcze goryczy do kielicha męczeńskiego tej niezwyklej w poświęceniu kobiety, byłoby już więcej, niżby mogła znieść ta wątła istota.

Na jej więc cześć odstępuję od pragnienia gorącego pomszczenia krzywdy, jaką mi pan wyrządziłeś.

Chcę tylko panu zrobić pewną uwagę. Skoro pan tak się zajmujesz nieszczęściami drugich, oglądaj się pan choć raz w życiu na to, co pana powinno najwięcej interesować, to jest na rodzinę własną, na życie ciężkie wśród pracy i niedostatku, o jakim nie miałem wyobrażenia, nieszczęśliwej kobiety, którą pojąłeś za żonę, a której nie jesteś godzien.

Mógłbyś pan trochę mniej zjadać tych wytwornych obiadków, dających panu cerę tak różową i zaokrąglenie kształtów, a pomyśleć nad tem, czy też żona pana i dzieci mają co do ust włożyć; — nie pojmuję zaiste, jak można spać spokojnie, mając tak wielkie i święte obowiązki do spełnienia, a wiedząc, że im się zadość nie czyni, owszem, że wyzyskuje się pracę i poświę-

cenie tej, którą pan powinieneś się opiekować, zamiast ją opuszczać, zaniedbywać, skazując na najstraszniejszą samotność w nędzy!

Wierzaj mi pan, że jeśli się nie opamiętasz, jesteś najwyższej pogardy godzien!

Jak tylko pan się sprzykrzysz i staniesz się niepotrzebnym, wyrzucą pana niebawem z tych salonów, w których panu tak rozkosznie chwile płyną, lecz zastanów się, czy wówczas będziesz miał do kogo powrócić, bo siły pani Jacquemin zdają mi się nadzwyczajnie nadwątłone,

Przyjmij pan te słowa prawdy od Nieznajomego“.

Ksiązę zapieczętował list.

Zabawki i cukierki w osobną pakował paczkę pod adresem pani Jacquemin. Z jednego pudełka wyjął cukierki i napełnił złotymi stufrankówkami, układając ściśle, żeby się ich najwięcej zmieściło; myślał przy tem zajęciu o bladej kobiecie, która zobaczywszy złoto zaczerwieni się, a obróci je prawdopodobnie na wygodki i przyjemności tego ukochanego męża i dzieci, ale jeśli ją to uszczęśliwić może choć cokolwiek... — jakże chciałby jej ulżyć, zmienić, gdyby to było w jego mocy, ten opłakany los.

Opieczętawszy paczkę, oddał ją generałowi wraz z listem, ponawiając swą prośbę.

— Bądź spokojny, widzę, że ci na tem zależy; kiedy odjeżdżasz? chcę cię odprowadzić na kolej.

— O piątej — rzekł książe.

†

*

*

Następnych dni ogromny alarm powstał między paniami wielkoświatowemi.

Milutki, nieoceniony, istny cukierek, Jacquemin, zniknął z horyzontu salonów paryskich.

Panie zaniepokojone tym niesłychanym wypadkiem, biegały jedne do drugich, użalając się na to zuchwalstwo ulubieńca i niewdzięcznika.

— Miałam właśnie dawać bał, — mówiła księżna X. — i postanowiłam w urzędzeniu przejść siebie samą, któż mi w tem pomoże? a co najważniejsze, kto to potem opíše w dzienniku — cóż mi z tego, że wydam takie sumy, kiedy świat o tem wiedzieć nie będzie.

— A to mi cię naprawdę żal — litowała się margrabina C. — ale gdzie on się mógł podzieć. Kto teraz opíše nasze toalety — nie warto się będzie porządnie ubierać. Baronowa D., która miała największe prawa do kronikarza, bo go stale karmiła przysmakami, najpierwsza zdołała zasłonę zagadki nieco uchylić.

— Wyobraźcie sobie — mówiła do przyjaciółek — com odkryła. To ten nieszczęśliwy człowiek jest żonaty! — żonaty, czy chcecie w to wierzyć?

— A to kolosalne nieszczęście — twierdziła baronowa D.

— Ale przecież nie znasz tej żony, nie możesz wiedzieć, czy tak dalece pożałowania godzien — mówiła księżna X., usiłując być rozsądną.

— Ale zlituj-że się — szczebiotała baronowa —
wszak to człowiek bez fortuny, jego szczupłe do-
chody mogły wystarczyć dla niego samego, lecz
utrzymywać żonę, ach to coś okropnego! Taka
jejmość musi mieć tysiące wymagań, toalet, ume-
blowania, łoży, a pewno robi mu też i sceny za-
zdrości, wskutek których zerwał z nami. Ani mi
to w głowie nie było, aż tu dowiaduję się naj-
niespodziewaniej, że ten mały Jacquemin ma tam
jakąś żonę.

— Biedny człowiek!

NIE ŁADNA.

I.

...A gdyby on mnie kochał naprawdę? Ależ to niemożliwe... nie jestem ładną; tacy młodzi ludzie a do tego artyści, jak on, kochają wyłącznie piękno, które im rzuca się w oczy a następnie przemawia do duszy i szturmem zdobywa serca – a ja?...

Tu podeszła do lustra i zrobiła przegląd swej osoby, bardzo ściśle, wcale nie stronniczo, trzeźwo, bezwzględnie.

– No, brzydka nie jestem... oczy mnie ratują i brew ciemna – a reszta wszystko jakieś mdłe. Cera blada, rysy niekształtne, czoło za niskie, usta trochę za szerokie, wzrost średni...

Garbata nie jestem to prawda, ale ładna nie... o nie, szepnęła ze smutkiem.

Jeśli się o kobiecie mówi „nie ładna“, to trzeba bardzo silnie to orzeczenie odróżnić od słowa „brzydka“.

Nie ładna ma niekiedy wdzięku trochę, tej

kobiecości odrobinę, za którą mężczyźni przepadają; uśmiech łagodny, spojrzenie rozumne, czem nieraz odbierze pięknej wielbiciela. Brzydka zaś, upośledzona od natury, słodkiego słowa „kocham“ przez życie całe nie posłyszysz. Pożałowania godna taka istota, wydziedziczona ze szczęścia. Choć często dużą fortuną zdobywa to co się zowie ogniskiem domowym, ależ zimne te płomienie, podniecone wyjątkowo złotem... a jeśli na domiar złego brzydka jest ubogą — więc i sztucznego uczucia nie zazna nigdy.

Nie mojem zadaniem rozbierać tu tę niedolę...

*
*
*

Roman Nielicki był tym aglomeratem najsprzeczniejszych uczuć, które się składają na wytworzenie tego, co nazywają artystą. Pilnowany ściśle przez ojca, ukończył gimnazjum i kilka lat filozofii, o doktoracie jednak ani nie myślał, przeszkadzała mu do tego silnie, myśl popędzenia do Monachium, gdzie z największym entuzjazmem rzucił się w objęcia sztuki. Miał talent ale bardzo mało wytrwałości, więc po paru latach powrócił i malował dla siebie małe rodzajowe obrazki — i portrety swoich krewnych. Na wystawę nic nigdy nie dał, bo się bał krytyki.

Roman miał niezwykle piękny głos, tak, że w dzieciństwie jego, przyjaciele ojca często mówili: „oddaj go do konserwatorium, zdobędzie miliony

jak Mierzwiński — tenor to nieoceniony dar od Boga“.

Pan Nielicki nie chcąc darów Bożych marnować, nie żałował na wydatki, dotyczące rozwijania talentów syna i starał się, aby jednak nie zaniedbywał muzyki. Grał dobrze, nawet i do kompozycyi okazywał zdolności, mając lat dziesięć, wygrywał jakieś dumki i kołysanki własnego układu, które ojca w zachwyty wprawiały.

Majątku dużego nie było, jedna wieś w dzierżawie przynosiła mierny dochód, ale pan Nielicki piastował wysoki urząd i stanowisko nader korzystne, więc na te synowskie fantazyje artystyczne starczyło. Ale myśląc o przyszłości syna, byłby chciał, aby za pomocą tych talentów zdobył sobie byt niezależny — lecz jak to wyżej powiedziano — były to fantazyje i młody człowiek nie przywiązał się stale i wytrwale do żadnej pracy. Ojciec zawsze tłumaczył go przed sobą i przed drugimi, tym argumentem: „darmo, słowikami nie orać“.

Roman też korzystał z tej słabości rodzica, bujał po świecie, podróżował i tracił pieniądze bez skrupułów.

Włochy miały go zrobić sławnym śpiewakiem, więc kilka lat przepędził w kraju, gdzie pomańcze dojrzewają.

Powróciwszy, brał udział w koncertach na cele dobroczynne i w salonach budził entuzjazm. Oklaski i pochwały ciasnego kółka wystarczały mu zupełnie. Chociaż talent jego zasługiwał rzeczywiście na

szersze uznanie, Roman wybierał to, co mu łatwo i bez żadnego wysilenia przychodziło.

— To ci chleba nie da — mówił ojciec — takie sukcesy to nic.

— Prawdziwy artysta nie szuka chleba, ale piękna w sztuce — odpowiadał syn.

Wyjątkowo najwięcej wpływu nad tą niesforną naturą miała kuzynka jego Ksawera Dorzycka, krótko zwana Werą. Ona też doprowadziła do tego, że czasem popracował trochę, a choć mu nadzwyczaj lekko szła ta praca, jednak i tej unikał ile możliwości.

Mając do kompozycji specjalny dar, dorobił nareszcie muzykę do kilku wierszy Asnyka i Tetmajera — były to nadzwyczaj melodyjne pieśni, więc rozchwytano je niebawem.

Dedykował te pierwsze swoje prace kuzynce, chcąc jej zrobić surpryzę i prawdziwą przyjemność, nie jej nie zapowiedział naprzód, tylko gdy już księgarnie wystawiły za oknami jego pieśni, wpadł jak bomba pewnego dnia do swej ciotki Dorzyckiej i biorąc Werę za rękę wołał:

— Chodź ze mną na chwilę do miasta, coś ci pokażę ciekawego, ale to bardzo pilne — chodź prędko.

— Ależ czekaj, przecie muszę wziąć kapelusz, płaszczyk, nie bądź-że dzieckiem — upominała Wera.

— No, to się spiesz, bo ja później nie będę miał czasu, gdyż jak wiesz, akompaniuję tej

śpiewaczce na koncercie, więc muszę iść na próbę.

Ksawera nic nie wiedziała o co idzie — myślała, że to znowu jakieś waryactwo całkiem świeże, lecz poszła tak silnie naglona.

Podał jej ramię na ulicy i tak pędził, że aż na kilka zawodów prosiła, aby chodu zwolnił. Nareszcie zaprowadził ją przed okno księgarni, gdzie kilka zeszytów jego pieśni było wystawionych w bardzo ozdobnem wydaniu.

Dedykacja wśród listków bluszczowych i różnego kwiecica była tendencyjnie uwidocznioną.

— No masz, masz, czego tak chciałaś — rzekł Roman.

Wera była pełną podziwu. Zarumieniła się z radości i podała rękę kompozytorowi, dziękując za dedykację, a więcej jeszcze za ten pierwszy krok do pracy, do której go tak nieustannie zachęcała.

Gdy młodzi od księgarni do księgarni biegali, admirowali wystawy, stary pan Nielicki choć zwykle chodził piechotą do swej krewnej, obecnie wziął dorożkę, tak mu było pilno pochwalić się synem.

Pani Dorzycka serdecznie się ucieszyła dobrą wiadomością i dzieliła radość ojca.

— A no, widzisz kochany kuzynie — rzekła — ten nasz poczciwy Roman ustatkuje się nareszcie i jeszcze będzie kiedyś sławnym.

— Ale niech nie będzie już koniecznie sławnym,

tylko niech sobie zdobędzie przy uczciwej pracy stanowisko, tego od niego żądam. Dobrze, póki ja tam jeszcze nogami płacę po świecie, to nie ma niedostatku, owszem jest dostatek, ale się dużo wydaje, nic złożyć się nie da — a z tej tam wioszczyzny, jak mu ona tylko zostanie, gdzieby on, przyzwyczajony dużo wydawać, mógł się utrzymać. Teraz się kończy właśnie dzierżawa i mam mnóstwo kompetentów, dają już 15 złr. z morgi.

— A wiele kuzyn teraz bierze?

— Dwanaście — ale to trzyma córka dawnego właściciela, ta Godziembówna, autorka, co, to może siostra czytała jej dzieła, to mi jej żal odbierać, ale będę próbował. Kto wie, czy ona niema co innego napiętego. Posyłam Romana w tych dniach do Wybranówki, choć co prawda, on się tyle zna na interesach, co kura na pieprzu.

Po długiej pogadance rozstali się państwo starsi, nie mogąc się doczekać młodych.

Pani Dorzycka nie była bliską krewną pana Nielickiego, byli sobie tylko cioteczno-cioteczni, ale że ścisła przyjaźń ich łączyła, więc i stosunki się zawiązały serdeczne.

Państwo Dorzyccy posiadali piękną i rozległą wieś, dobrze zagospodarowaną, ale gdy mąż umarł, wdowa nie mogąc sobie dać rady z interesami, administracją majątku, z oficyalistami, robotnikami, poniosła w ciągu dwóch lat znaczne straty, a chcąc uratować resztę, dla siebie i córki, sprzedała wieś

dość korzystnie, a po spłaceniu wszystkich długów zostało jej 60 tysięcy zł. Przeniosła się do miasta, kapitał zamieniła na pewne procentujące się papiery i tak zabezpieczona żyła bez kłopotów wraz z córką, obliczając ściśle, aby nie wydać więcej, jak była po temu możność.

Ksawera skończyła edukację, lecz chciwa wiedzy nie przestała się uczyć. Zapisła się na kursa dla kobiet, uczęszczała pilnie na wykłady, notowała prelekcye i coraz bardziej wzbogacała umysł szerszemi wiadomościami. Nadzwyczaj inteligentna korzystała wiele i choć nie ładna, mogła się podobać — lecz nie myślała o tem nigdy, przeciwnie, była pewną, że nieświeżość jej powierzchowność, nie zjedna jej nigdy żadnych sukcesów, o których zwykle marzą młode panny. Wyższy umysł dał jej tę władzę, że hołdów nie łaknęła, a gdy jej kto okazywał cokolwiek przyjaźni, jak na przykład kuzynek Roman, to najzupełniej wystarczało tej nie wymagającej wiele panience.

Gdy pewnego dnia wpadł młody Nielicki do pani Dorzyckiej i zastał Werę jakąś nieswoją, a sam jak zwykle będąc w najlepszym humorze, u innych powodów do smutku nie pojmował, odezwał się bez namysłu:

— Jak ja nie lubię, gdy ty jesteś smutną Wero, co ci jest?... Panny jak zaczną rok dwudziesty, a nie mają konkurenta, to zaraz są kwaśne. Słuchaj, Wero, nie turbuj się, jeśli cię nikt nie zechce, to ja się z tobą ożenię i kwita.

— Żebyś ty kiedy, choć raz co rozsądnego powiedział — rzekła całkiem spokojnie Wera.

— Ależ to jest bardzo rozsądne, prawda ciociu — rzekł do wchodzącej pani Dorzyckiej.

— Proszę cię bądź cicho — rzekła ostro Wera.

— No widzisz, nawet już teraz zaczynam się cię trochę bać i słucham jak student.

— Ach jakbym ja chciała dla ciebie — a nawet po części i dla siebie, żebyś ty jak motyl z swej larwy, z tej skorupy studenckiej się wyłonił — a doprawdy już byłby czas.

— Widzisz, że się mną bądź co bądź interesujesz, co ci szkodzi moja naiwność, przecie nie możesz żądać, żebym mając lat 26, był już starcem.

— Ależ nie rozumiesz mnie — tłumaczyła Wera — ja tylko chcę, żebyś nie był dzieckiem.

— I całą tę polemikę, wywołało parę słów naiwnych, które swoją drogą podobały ci się.

— Otóż to — odpowiedziała Wera, śmiejąc się — na co się przydały moje perory rozsądne.

— Które ja uważam za nierozsądne — upierał się przy swoim zdaniu Roman. I nie myślę się poprawiać, z czego ty swoją drogą jesteś zadowolona, przynajmniej oczy twoje pocziwe, które nigdy nie kłamią, to mi mówią.

— O co wy się tak sprzeczacie? — spytała matka, nic nie rozumiejąc.

— Ja powiedziałbym, ale mi nie wolno — rzekł Roman.

— Bo widzi mama, on jest jak wszyscy artyści'

ma trochę bzika, a czasem mnie to niecierpliwi. Ot powiedz lepiej, co było wczoraj u mecenasów?

— A cóż by było — masę młodzieży jak zawsze, przyszła hrabianka Tacia z pierwszego piętra z nauczycielką, no i ta śliczna Witgenowa, sama bez męża na szczęście — okropnie się umizgałem, bo śliczna była jak anioł. W tem małżeństwie jest taki mankament, że ona za piękna a on za głupi, więc trzeba ostrożnie postępować, a ja tego nie umiem. Ja trochę grałem, bo byłem w werwie — mecenasówny Fela i Alina flirtowały — no i na tem koniec. Ja dlatego tam chodzę często, bo oni mają takiego Bösendorfera, że to się świat kończy, taki instrument jeden między tysiącem się uda. Teraz, jak mówią, już są lepsze inne fabryki, no ale chyba wypadkiem zdarzy się taki unikat jak u mecenasów. A szkoda dla nich tego mechanizmu.

— Cóż ty znowu mówisz — przerwała pani Dorzycka — przecie u najlepszych metrów się uczyły.

— Winszuję cioci — ja te panny nawet dość lubię, bawię się niemi jak lalkami, flirtuję, umizgam się, ale jak one zaczynają śpiewać i grać, tobym z nich pasy darł i inne tortury im zadawał.

— Otóż widzi mama — odezwała się Wera — jakie Roman ma nieparlamentarne wyrażenia.

— Moja Wero, bo ty tego nie możesz pojąć, co to jest dla artysty, gdy słyszy taki śpiew jak Feli, która kaleczy tego biednego Chopina — albo

Alina jak gra Beethovena — to się tam ci wielcy mistrze przewracają w swych grobach.

— Ale przesadzasz — przeczyła pani Dorzycka — przecie nawet za granicą brały lekcye.

— Nie ma na świecie takiego metra — mówił Roman chodząc szybko po pokoju — któryby to, co jest jądrem muzyki, nauczył. Chopina trzeba trzeba mieć w duszy. Albo tego boskiego Verdi'ego, Donizetti'ego, Halevy'ego, takich mistrzów trzeba odczuć, zrozumieć, wżyć się w nich, stać się ich rzeczą, ich instrumentem. A tu taka pierwsza lepsza pensyonarka zasiada i zaczyna z czuciem grać i śpiewać.

Tu siadł do fortepianu Roman i zaczął w sposób najkomiczniejszy naśladować mecenasówny, gdy grają z czuciem, zatrzymując się dla oddania wielkiego uczucia o pół tonu dłużej nad każdą nutą niż potrzeba.

Potem zaczął śpiewać tremolando, oddechając co chwila z wysileniem nad wyraz męczącym.

Nawet zwykle poważna Wera i matka jej śmiały się do łez z tego naśladownictwa.

— I to ma być granie i śpiewanie z czuciem?

Ja najczęściej przy takich produkcyach, biorę za kapelusz i uciekam jakby mnie kto gonił. Dlaczego ja tobie, Wero, nie zaprzeczam i nie bronię ci grać tych twoich walców, owszem nawet lubię słuchać, bo masz znakomite zacięcie i nie fałszujesz — no i nie porywasz się na nieswoje rzeczy.

Wera chcąc przerwać ten temat — jeszcze raz zapytała:

— No, ale wczoraj jak było?

— Zaproponowałem nieśmiertelnego labeta i całe towarzystwo ogromnie się ożywiło. Ale tam zawsze w takim razie, co najmniej trzeba przegrać dziesiątkę, bo panny przeważnie szachrują, podają sobie karty pod stołem i dopiero wtenczas dobrze się bawią.

— Co też ty mówisz — przeczyła Wera — gdzieżby kto szachrował, grając o pieniądze.

— Panny mają wyjątkowe pojęcie o honorze — dowodził Roman — szachrowanie w karty jest u nich dowcipem. Potem zjedliśmy doskonałą kolację, na którą zjawił się pan mecenas. Pani domu jak zawsze nadzwyczaj gościnna, wyglądała jak starsza siostra swoich córek.

— A Seweryn był?

— No, jakże chcesz, jest koncypientem w biurze mecenasa, więc musi się stawić na gwałtowne wezwanie panien, choć to może szefowi jego się nie podoba, że traci dużo czasu, ale na to niema rady. Pani mecenasowa także na niego łaskawa bardzo, bo taki doktor praw, ogromnie zdolny, przystojny, sympatyczny, jest partyą, jak to świat nazywa.

— Cóż dziś ze sobą robisz — zapytała pani Dorzycka — akompaniujesz podobno na koncercie?

— Nie, śpiewaczka zachorowała a właściwie to nie jej koncert, obiecała tylko uczestniczyć,

więc wolno jej zachorować, skoro jej się śpiewać nie chce. Skorzystałem z tego i zaprosiłem kilku kolegów na kolacyjkę do siebie, gdyż ojciec idzie także na jakąś ucztę, gdzie mają żegnać ustępującego urzędnika, będą mówki i dobre wina, a ojciec kochany to lubi. Ale muszę już iść, bo nasza gospodyni Warzechowska jeszcze nic nie wie o moich gościach, trzeba się jej przymilić, żeby dała dobrą kolację.

I pożegnawszy panie, wybiegł Roman.

W kilka minut potem ukazała się w pokoiku Wery, młoda, zręczna, bardzo ładna panienska — uosobienie szyku, ubrana według ostatniej mody. Była to starsza córeczka mecenasostwa Omnickich, dziewiętnastoletnia Fela.

— Przychodzę się kłócić z tobą Wero — i zrobić ci wymówkę od mamy i od Aliny — dlaczego nie przyszłaś do nas wczoraj wieczorem. Dobrze bawiliśmy się, ale brakowało nam ciebie. Ty jesteś takim pieprzykiem towarzyskim, bez którego nie można się obejść — jak mówił pan Roman.

— Właśnie ztąd odszedł przed chwilą, nic jednak mi o tem nie mówił, żebym była tym pieprzykiem — rzekła Wera — owszem opowiadał, że jak zawsze, było u was bardzo wesoło — unosił się nad urodą pani Witgenowej, do której podobno umizgał się ogromnie, korzystając z nieobecności męża.

— Otóż właśnie chciałam ci powiedzieć, że ta Witgenowa robi się niemożliwa z tem flirtowaniem. — Zabiera nam wszystkich panów. — Tak ją wczoraj otaczali i komplementowali, że że my zupełnie byłyśmy osamotnione. A przecie i Tacia Snowska jest kompletnie piękna, jak sztych angielski. Zagadywała do pana Romana i prosiła na wieczór muzyczny, który ma się odbyć na cześć tej sławnej śpiewaczki, która ma tu przybyć w tych czasach, a pan Roman bardzo uprzejmie przyjął zaproszenie, ale potem z Tacią ani słówka nie rozmawiał. Dopiero później przy tym labecie, ożywiło się wszystko. Witgenowa wygrała kilka dziesiątek i kazała się panom odprowadzić do domu. Właśnie prosiłam mamę, żeby ją nie zapraszała na nasze tygodniowe przyjęcia, bo nam wszystkich panów zabiera i jest nieznośna. Ja nie jestem zazdrosna. Dlaczego ja naprzykład o ciebie nie zazdroszczę nigdy, ani o inne panny i panie, ale ta jest wprost narzucającą się. Żebyś ty wiedziała, jak ten Roman wczoraj grał i śpiewał swoje pieśni, zakochać się można w nim na śmierć, ale cóż, kiedy jego trudno poznać, co on myśli?...

— On przedewszystkiem, o stosunkach światowym i towarzyskich nic nie myśli — rzekła Wera. — Jego dusza pędzi w te krainy ideału, na wyżyny dla nas niedostępne, a w rzeczach codziennego życia jest on w najwyższym stopniu niezręcznym, jak wszyscy artyści.

— Więc on się nigdy nie zakocha, jak inni młodzi ludzie? — rzekła smętnie Fela.

— Ja niewiem — ale o ile go znam, to mógłby się tylko zakochać w jakiejś wielkiej śpiewaczce, lub artystce.

Wera szczerze w to wierzyła.

Fela się ogromnie zamyśliła i postanowiła oddać się muzyce, doprowadzić śpiew do perfekcyi, i odrazu zaczęła tę praktykę, ze szkoda wszystkich lokatorów, w całej kamienicy.

Nawet studentowi mieszkającemu na czwartym piętrze, przeszkadzały do nauki *solfegia* panny Feli.

II.

Dom pana Nielickiego, urządony dość zbytkownie, przedstawiał się poważnie, bez wszelkich świecideł. Kilka pięknych obrazów zdobiło salon, zbiór rycin w ozdobnych tekach i kilka przedmiotów drogocennych można też było napotkać w obszernem mieszkaniu, lecz tak zwanych fra szek: makat tandetnych, kilimków, fotografii w wachlarzach i parawaników, którymi przepelnione są nowomodne mieszkania, tego nie było. Widać, że tu kobiecej ręki nie stało, i nie miał kto zagracić wszystkich kątów.

Służba składała się z dwóch lokai w liberyi, z których jeden nieustannie biegał po rozmaitych biurach i bankach z różnemi urzędowymi papierami, drugi był na usługach domu i niewolno mu było krokiem się ruszać, wyjąwszy poleceń, dotyczących potrzeb osobistych obydwu panów.

W kuchni i garderobie była samowolną gospodynią stara ich sługa Warzechowska, której się mówiło pani, gdyż utrzymywała, że jest szlacheckiego rodu. Tego bardzo trudno było jej zaprzeczyć, więc chociaż lokaje między sobą prze-

bąkiwali „taka mi tam pani“, to jednak nie wolno im było mówić do niej „wy“. W kuchni miała do pomocy kucharkę, wcale dobrą, która jak automat słuchała swej przełożonej.

Dziś, skoro wieczorem miało być przyjęcie u Romana, więc poszedł do kuchni, wyprosić dobrą kolację dla swych kolegów.

— Kochana pani Warzechowska — rzekł wchodząc — niech tam pani da jaką porządną kolację i dużo, bo będę miał gości z dobrymi apetytami.

— A dużo tam tego będzie? — zapytała gospodyni.

— Ot tak ze sześciu a ja siódmy — a może i trochę więcej.

— Rany Boskie, a cóż ja im dam? Czy to będzie tak coś z arystokracji, czy też tacy zwyczajni?

— To zupełnie wszystko jedno — wszyscy mają jednakowe żołądki.

— Tu się zaczęła śmiać Warzechowska z tych słów panicza i rzekła:

— Żebym wiedziała że to ważniejsi goście, to bym dała na drugie pyszną pieczeń cielecą z sałatą — a jeśli nic nadzwyczajnego, to dam doskonałą kielbasę z kapustą i zrazy z kaszą.

— To dobrze. Niech Warzechowska da co ma pod ręką, byle było dobrze zrobione i dużo. Kuchareczka pomoże.

— O! ona nie jest żadna astronomka, ona

się na tych rzeczach nie rozumie — co jej się każe, to musi zrobić, i tyle.

Roman kazał nakryć w swoich pokojach, bo wszyscy będą swobodniejsi u niego — w jadalnym pokoju byłoby za dużo dymu, wreszcie ojciec mógł powrócić wcześniej, niżby się jego goście rozeszli. Jan lokaj poszedł po wino i piwo a koło siódmej zaczęli się goście schodzić.

Najpierwszy był Seweryn Denert, przyjaciel Romana od lat wielu, który był wzorem pod względem prowadzenia się, akuracności i poczucia obowiązku. Sierota od wczesnej młodości, nikt mu nigdy w niczem nie dogadzał, nikt go nie pieścił. Twarde życie wyrobiło w nim, że nie miał pojęcia o żadnych fantazyach, fanaberych i grzechach młodości. Zawsze pierwszy w szkołach gimnazjalnych, najpilniejszy w uniwersytecie, nie poczytywał sobie nawet tych przymiotów za zasługę. Tak być musiało i kwita. Był z tego materiału, z którego w przyszłości ludzie wychodzą na dostojników w kraju. Są to ludzie wyżsi ponad pospolitość, nie błyszczą, ale świecą jak pochodnia roztropności i mądrości. Niejednego wychowała w ten sposób Jagiellońska Alma mater na chlubę kraju.

Do tego wyższego szczebla w hierarchii społecznej daleko jeszcze było naszemu młodzieńcowi; miał on dopiero lat 29. Zdobył sobie stanowisko już teraz jako doktor praw i dependent w kancelaryi jednego z najpierwszych adwo-

katów, znanego z uczciwości i zdolności. Brał Seweryn wysokie honorarya i z woli mecenasa prowadził niektóre interesy na swoją rękę. Za lat kilka miał otworzyć kancelaryę. Świetna karjera czekała go w niedalekiej przyszłości. Rozprawa naukowa zjednała mu wysokie uznanie profesorów i habilitował się na jednym z uniwersytetów krajowych, nie szukając obcych bogów.

Roman Nielicki kochał Seweryna i we wszystkim zasięgał jego rady. Nie szedł, co prawda, za tymi rozsądnymi wskazówkami przyjaciela, bo miał naturę, chociaż uczciwą i niezepsutą, ale do najwyższego stopnia wrażliwą i żywą. Ulegał tym zmiennym prądom, pochłaniającym każdego artystę, nie przewidując następstw a raczej nie myśląc o nich nigdy.

Gdy ojciec zadał mu niekiedy nader uciążliwe pensum, aby go wyręczył w jakim interesie, to pomoc Seweryna stawała się koniecznością. Oł, i teraz, gdy tylko wszedł, zaraz Roman go napadł temi słowy:

— Wyobraź sobie, że mi ojciec każe jechać w tych dniach do Wybranówki w interesie dzierżawy, która się kończy. Mam pogadać z tą Godziembówną, sprawę załatwić, jeśli by była skłonna oddać dzierżawę, wypuścić Wisłockiemu, który daje 15 złr. z morgi. No, i mój drogi! — ja to wszystko mam zrobić, nie mając pojęcia o interesach! Jedź ze mną bój się Boga!

— Ależ ma się rozumieć że pojadę, — odrzekł

Seweryn — nawet rad będę trochę się przewietrzyć; nawał spraw mam w głowie, a ani chwili wytchnienia, a tu taki czas cudowny! Odetchnąć świeżem wiejskiem powietrzem to przyjemność prawdziwa! — A kiedyż się dzierzawa kończy?

— No za rok. — Ale teraz według kontraktu mają robić te odsiewy w Wybranowce; rzecz delikatna z tą Godziembówną; przecie ojciec nie chce ją rugować, tylko jej napomknąć coś tak delikatnie o tem, że ojcu dają 15 złr. z morgi. Do tego ojciec każe mi się rozpatrywać w całym interesie — no i w gospodarstwie. Wiesz same takie nudziarstwa — ja bym tego bez ciebie nie zrobił.

— Pogadam z mecenasem, kiedy będę mógł wyjechać na parę dni — rzekł Seweryn — bo tego w jednym dniu nie załatwimy.

— Ma się rozumieć — rzekł Roman — choć ta Wybranówka przy samej kolei prawie; ze stacyi można iść piechotą — tak blisko. Ogromnie się cieszę, że pojedziesz ze mną, bo to samemu tak napaść na kobietę i do tego na autorkę... ja nawet nie wiem jak to z taką gadać.

— Cóż ty myślisz, że kobieta pisząca, to jest jakiś postrach, czy co? — Zabawny jesteś.

— To nie, — tłumaczył się Roman, ale już ja mam respekt przed takimi paniami.

Tę rozmowę przerwało wejście kilku naraz młodych ludzi, wesoło usposobionych a hałaśliwie się zapowiadających.

Śpiewak z opery wchodząc śpiewał: „Rachelo kiedy pan...”

Jan lokaj brząkał kieliszkami, które przyniósł na tacy i zaraz nalewał koniak, a kto chciał, pomarańczówkę, potem nakrywał do stołu.

— Ja nie piję — mówił śpiewak — bo mam chrypkę.

— Ale pij pan — mówił młody doktor, kolega Romana z gimnazyum — na moją odpowiedzialność, koniak znakomicie działa na gardło; ot widzi pan, jak ja cały kieliszek wypróżnił. Jak się zestarzeję, to będę ludziom broniał różnych dobrych rzeczy i będę udawał, że coś rozumiem z medycyny, ale póki jestem młody nie chcę tu maniować nikogo.

— Otóż to rozumiem — rzekł Roman — jeszcze daleko do tego, żebyś był stary, a więc wszyscy razem nie będziemy nic udawać i wychylimy jeszcze po drugim przed kolacją.

Młody literat pił, i wyjąwszy notatkę z kieszeni, coś zapisywał.

— Co ty robisz? czyś zwaryował, — będziesz jeszcze tu gryzmolił.

— Bo ja widzisz piszę nowelkę, i będę wszystko notował, co wy tu będziecie pleść, bo właśnie takie zebranie młodych mam opisywać.

Jakiś młody malarz wyrwał mu notatki i zaczął rysować pilnie całą kompanię w karykaturze.

— No, wiecie, że to zanadto po waryacku,

żeby też każdy z was zdradzał jeszcze tu swoje wykoszlawienia mózgowo — przekpiwał Seweryn.

— Patrzcie — wołał literat nr. 2 — jedzie do nas kielbasa z kapustą! *Eviva l'arte!* ja zasiadam, jem i nie rezonuję.

Wszyscy obsiedli stół dookoła.

— Seweryn, powiedzno nam co o twoich mecenasównych — ależ to ładne bestyjki, a oczkami kłują jak strzałami.

— Nic nie mam do opowiadania; panny zwyczajne jak zwykle panny na świecie: białe, różowe, wesołe — nic więcej.

— E, gdzie tam nic — a posagi?

— No, cóż ty myślisz, to kapitalna rzecz.

— Jak dla kogo — mówił Seweryn.

Jan nalewał szybko wypróżniające się kieliszki, Roman pilnował tej czynności lokaja.

Pani Warzechowska w miejsce zrazów, przysłała olbrzymią pieczeń cielęcą z sałatą, chociaż według niej, miał to być przysmak, tylko dla „astokratów“, ale chciała dogodzić paniczowi, do którego była bardzo przywiązana.

— Roman, wiesz ty co gadają w mieście, że Seweryn i ty, to przyszli małżonkowie panien mecenasównych — mówił literat.

— A niechże mnie Pan Bóg broni — rzekł Roman, podniecony cokolwiek winem.

Wstał i posunął tak stołem, że o mało nie powywracał wszystkiego.

— A to znowu koncept. Dziękuję za taką żonę, żebym miał pełno flirtu w domu.

— Alebyś miał piękną żonę. Ja — mówił dalej Stanisław X. rzeźbiarz — u mnie grunt piękność! Ciągłe bym żonę wzorował w marmurze.

— Idyota jesteś — prawil literat — myślisz że to dałoby jej szczęście?

— Ja znowu, jak Boga kocham — dowodził inny — za nic na świecie nie chciałbym mieć bardzo pięknej żony, bo bym się wściekł z zazdrości, jakby kto na nią patrzył.

— Pleciesz niewiedzieć co, masz najlepszy dowód na Witgenie, że ma piękną żonę a do Bujwida jakoś się nie zgłasza.

— Bo żona wmówiła w niego, że się w nim kocha, i on w to wierzy, fujara!

— Słuchajno Romanie — wtrącił kronikarz z dziennika *Przebieg*, więc trochę plotkarz — mówią ludzie, — lecz czego ludzie nie mówią — że ty masz dziwne usposobienie — podobno lubisz swoją kuzynkę pannę Ksawerę, ale bój się Boga nie żeń się z nią!

— Czemu mu odradzasz? — spytał poeta.

— No, bo nieładna — ktoś się z nieładną żeni.

— Ale jaka dobra i mądra — rzekł zaperzony Roman — ja byłbym już tysiąc razy po uszy w błocie, żeby nie ta myśl, że mógłbym stracić u niej dobrą opinię. Jej poczciwe oczy wyratowały mnie nieraz jakby z bagna... Najlepiej gdy ślepy nie mówi o kolorach.

Pod stołem, trącił rzeźbiarz kronikarza nogą i zrobiła się chwilowa cisza, po której śpiewak odezwał się do Romana:

— To już zapewne wiesz, że Singerówna teraz nie przyjeżdża, ma febrę, ogromnie ma się rozumieć, pielęgnuje się.

— W czym będzie występować?

— We Favoricie, w partyi tytułowej *comme de raison*, i w Aidzie, to jej ulubiony popis, a co dalej będzie, nie wiem jeszcze.

— Gdy ona zacznie tę partyę swoją w Aidzie — tu zaczął śpiewak półgłosem nucić — wiesz? To ledwie człowieka dyabli nie wezmą — mówił Roman. — Ach ten boski Verdi! mój ideał! Może będziecie dawać Rigoletto?

— Nie — wątpię, bo to nie dla niej popis, prędzej w roli Desdemony wystąpi. Będzie frazować, deklamować, szaleć — bo trzeba ci wiedzieć, że ona ma okrutny temperament i przejmuje się rolą. Wiesz, ta „pieśń o wierzbie“ Desdemony — tu zaczął nucić...

Roman kończył dalej.

— Ale skądże weźmiecie Otella?

— A co mnie do tego, niech sobie robią co chcą, ja w Otellu nie śpiewam.

Pełne salaterki kompotów mięszanych i półmisek ciast, odwróciły uwagę gości w innym kierunku.

— Cóż ty myślisz Romanie, że my mamy po kilka żołądków? — odezwał się któryś z biesiadników.

Mimo to kompoty znalazły jeszcze cokolwiek miejsca i humory przy pomocy wina przybrały rozmiary niezwykle.

— *Evviva l'arte!*—krzyczał młody poeta wznosząc kieliszek w górę.

— Za moje i wasze ideały — wznosił toast Seweryn — pókiśmy bracia młodzi miejmy serca gorące dla sprawy narodowej. Niech względy osobiste idą na drugi plan, niech żyje i tkwi solidarność w sercach szlachetnych i wytrwałość w pracy organicznej — za nasze ideały!

Wszyscy spełnili kieliszki.

Młody malarz podniecony winem, nie mógł się wstrzymać od komicznego powiedzenia zwracając się do Seweryna.

— Nie wiem jaki jest twój ideał; mój jest w kwiecistej spodnicy, gorsecie czerwonym i koralach na szyi.

— No, bo tobie modelki i kolory zasłoniły świat.

Malarz na zarzut ten, w miejsce odpowiedzi, zaintonował całą siłą swego młodego głosu: „Grzmią pod Stoczkiem armaty“ — wszyscy się przyłączyli do tego śpiewu, nawet Roman. Tenor zatykał tymczasem uszy.

Jednego gościa było teraz mniej, spał on na kanapie snem sprawiedliwych. Śpiew i krzyk obudził go jednak, zerwał się na równe nogi i jakimś płaczącym głosem mówił:

— Ja, jak Boga kocham, za ojczyznę życie od-

dają... co mi po wszystkim panie... ojczyzna to grunt!...

Przytem się zachwiał i napowrót na kanapę upadł.

— Janie — zawołał Roman — dawaj prędko czarnej kawy dla tego dobrego patryoty.

Dawno już ojciec Romana powrócił do domu, a u syna jeszcze się bawili młodzi jego goście. Pan Nielicki bardzo lubił, gdy syn jego swych kolegów zapraszał do siebie, rad był też z tego dzisiejszego zebrania.

Młody patryota zanim miał sposobność życie oddać za ojczyznę, wypiłszy parę filiżanek kawy, mówił:

— Taką zabawę to rozumiem, ale w domu, nie w restauracyi, bo to karczma bądź co bądź i nie można rozsądnie pomówić, żeby zaraz niepowołani się nie wmięszali.

— Aleś ty Władku mało mówił, bo cię zaraz zmorzyło — śmiał się Seweryn.

— E, bo ja wypiję dwa kieliszki, to już po mnie.

— No, ale jak ty możesz wiersze pisać, mając taką słabą głowę.

— A lichy wie; widać, że to jedno drugiemu nie przeszkadza. Ja znam takiego, co jak sobie dobrze podchmieli, to dopiero bierze się do pisania.

— A jak się taki nazywa, nie wiesz?

— Owszem wiem: nadczłowiek.

— A cóż to za bestya taka? to niby jak ta

zagadka, której nikt dotąd nie odgadł: ni pies ni wydra — mówił śmiejąc się Roman.

— Chyba, że tak sobie tylko można wytłómaczyć taki wytwór, — rzekł Seweryn — bo ja rozumię anioła, człowieka, małpę — ale nadczłowieka...

— Słuchaj! — dowodził literat — trzeba zgłębiać *a fond* każdą rzecz. Co rozumiesz przez to, jeśli ktoś mówi o drugim: to jest człowiek z nadludzkim poświęceniem; on to i przeprowadził z nadludzką wytrwałością.

— To ja o takim — przerwał Seweryn — powiem: to jest porządny człowiek. Tak mnie uczy etyka, ale nie, że on jest nadczłowiekiem.

— Daj pokój etyce, jeśli nadprzyrodzone rzeczy chcesz badać — prawil literat.

— Dobrze. Jeśli z tej strony zajeżdżasz, to ja, gdy spotkam nadczłowieka, to będę w czuprynie jego szukał rożków, choćby niewielkich, a będę z podejrzeniem spoglądał na buty, czy w nich niema kopytek zamiast nóg.

— Jest racya! — potakiwał Roman — taki to z tej sfery być musi: opuszcza swoją ojczyznę, dziwolągi wyprawia.

Kronikarz ubolewał, że nadczłowieka nie spotkał dotąd i kroniki nie może wzbogacić opisem interesującym.

— A może i spotkałem — mówił — ale nie wiedziałem, że to jest jego wysokość nadczłowiek.

— Słuchajno mój kochany — mówił Roman

do kronikarza — nie osmaruj nas tam zaraz jutro w *Przebiegu*, bo to nie mając czasem tematu, zmaczasz pióro i zaczniesz: „W pewnym prywatnym domu i t. d...

— Ale daj mi pokój — to nie ja, ale Kornel w notatkach swoich was uwięził, a potem w nowelce puści w świat.

Młodzież rzuciła się na literata, chcąc mu odebrać przemocą notatki, ale ten im uciekł i rychło znalazł się na ulicy. Niebawem podążyło za nim całe towarzystwo wraz z Romanem, który chciał się przejść, zanim Jan uporządkuje i przewietrzy pokoje.

III.

Już było koło drugiej popołudniu, gdy nasi znajomi Roman i Seweryn zdążyli pieszo ku Wybranówce. Zaraz za stacją weszli w las, a że dzień był gorący, rozkoszowali się przeto mieszczuchy świeżością i zapachem żywicznym sosen i jodeł. Ptactwo głośny rozchwor prowadziło w swoim rozkosznem państwie, szczególnie szpaki prym trzymały. Obaj młodzi pod urokiem tej atmosfery usiedli na powalonym drzewie i wypoczywali od kurzu i hałasu miejskiego.

— Dlaczego to — mówił Roman — człowiek zwany królem stworzenia, to trudno pojąć. Rodzi się to niedołęzne, podlegające najrozmaitszym chorobom, walczy o wszystko, o byt, o dach nad głową, o jadło — nawet o tę nędzną surducinę, którą musi nosić na plecach i żyje w najcięższej niewoli krępujących go stosunków.

Ptaka wolny, przepysznie upierzony, swobodny; jak mu się ten kraj nie podoba, szuka innych, cieplejszych; na pożywienie nie pracuje, ma wszystko do wyboru pod dzióbem, kochania po

uszy i nikt mu tego niema za złe, słowem, jest on prawdziwy pan a nie człowiek.

— Tak — odpowiedział Seweryn, — ale żebyśmy, ludzie, mieli ten ptasi rozum, a nawet orli, a nie mieli nieśmiertelnej duszy, to by nie było tej boskiej muzyki, w której tak się miłujesz, nie byłoby Tycianów, Rafaelów, Michałów Aniołów, Matejków, Siemiradzkich, Petrarków, Mickiewiczów. Żeby nie dusza, to nie byłoby tych wynalazków, zapomocą których słowa o tysiące mil się przenoszą i my tysiące mil przebiegamy z szybkością niepojętą. Nie byłoby nareszcie tej wystawy paryskiej, która w zdumienie wprowadza, co rozum ludzki wyprodukować może. Niechże orzeł, lew, małpa, choćby najdrobniejszy wynalazek, choćby najlichsze dzieło stworzy. To się stać nie może, bo tylko władze duszy zapomocą nauki bez końca i bez końca potęgujące się, tworzą arcydzieła, to sprawia, że jesteśmy panami wszelkiego stworzenia i panami świata.

— Przekonałeś mnie kochany Sewerynie i poznałem, że jestem krótkowidzem — rzekł Roman. — Twoje poglądy są szerokie, a tak proste i racjonalne, że każdy to już myślał pewnie, tylko nie umiał sobie z tego zdać sprawy, co nie przeszkadza, że w tej chwili jestem całkiem pod urokiem lasu i natury; ty wiesz, jaki ja jestem wrażliwy.

— Nie byłbyś artystą, gdybyś nie podlegał tym wpływom.

Tu Seweryn spojrział na zegarek.

— Tizecia — rzekł — trzeba nam pospieszyć, bo nie wypada nad samym wieczorem nachodzić ludzi całkiem nieznanym.

— To prawda, ale i tak dziś interesów nie załatwimy, więc na te nudziarstwa zawsze dość czasu — mówił Roman.

Wychodząc z lasu, który jakby cokolwiek na wyżynie się rozpościerał, schodziło się w dolinę dość rozległą, na której pola uwydatniały się jakby na szachownicy, podzielone jak na ręce symetrycznie, gospodarstwo to prawdopodobnie było łatwe na tej równinie, konie i woły robocze tak się niszcą i siły zużywają rychło na pagórkowatych gruntach, tu bez wysiłku mogły pracować.

Ulica topolowa długa prowadziła do starego dworu otoczonego ogrodem. Budynki gospodarskie nie były co prawda świetne, ale nie przedstawiały ruiny.

Ogromna lipa z bocianiem gniazdem stała opodal gumna, folwark był ogrodzony płotem nie walącym się, brama była obecnie otwarta.

Wzdłuż całego domu mieszkalnego weranda, ozdoba wszystkich starych domów; przedstawiała się gościnnie, okolona dzikiem winem. Było to jak zwykle na wsi; mieszkanie letnie, w którym gromadzili się wszyscy domowi, oraz goście, jeśli raczyli się zjawić.

Obecnie weranda ta była prawie pustą, sie-

dział tylko za stołem siwiutki starzec, ale krzepki, w czapeczce włóczkowej na głowie i fajką na krótkim cybuchu w ręku. Widząc zbliżających się dwóch młodych ludzi, powstał, by ich powitać.

Roman zdejmując kapelusz, zaprezentował się:

— Nielicki. — Seweryn Denert mój przyjaciel.

— Michał Godziemba — rzekł starzec — czapeczkę kładąc na stole.

— Ale proszę pana dobrodzieja z nami takich ceremonii nie robić, i nakryć głowę — prosił Roman.

— Bardzo dziękuję, proszę siadać; moja bratanica zaraz przyjdzie, bo poślę po nią w pole. Panowie pewnie w interesie dzierzawy. Jakże się ma szanowny ojciec? — rzekł starzec, zwracając się do Romana.

— Serdecznie dziękuję, zdrów Bogu dzięki. Miał nawet sam tu przyjechać, ale właśnie bardzo ważne sprawy zatrzymały ojca w mieście i mną się wyręczać musiał ze szkodą dla interesu, bo ja nie jestem biegły w tych rzeczach. Mój przyjaciel mnie zastąpi.

— O! coś tu dużo jest zastępców: pan dobrodziej zastępuje ojca, a przyjaciel pana, a tu sprawa bardzo nieskomplikowana. Dzierżawa się kończy, więc albo wypadnie przedłużyć na tych samych warunkach, albo komu innemu wypuścić. Ale zaraz panów objaśni sama interesowana osoba.

W tej chwili zjawił się stary, przygarbiony w długiej kapocie sługa, który dostał polecenie wyprawienia po panią Walka na koniu z uwiadomieniem o gościach.

Tymczasem Seweryn przeglądał ogromną księgę, stary jakiś herbarz, nad którym ślęczał pan Godziemba w chwili gdy nadeszli, więc teraz usiłował tłómaczyć Sewerynowi, że to długi proceder, nad którym pracuje od lat wielu, żeby wyszukać dowodów pokrewieństwa jego rodziny z królem Michałem Korybutem Wiśniowieckim.

— Już nawet cały rodowód mam wykazany i drzewo genealogiczne byłoby gotowe, ale cóż? brakuje mi pewnej prababki. Otóż tej poszukuję w starych herbarzach i resztę oczów tracę na tej robocie.

Seweryn sobie pomyślał, że to czysty maniak ten szlachcic, ale jeśli mu to zajmuje umysł i daje zajęcie, to tem niewinnem dziwactwem nikomu nic nie szkodzi.

— Otóż ja tu gawędzę — rzekł starzec — a panowie nie palą. Papierosów nie mam, ale może panowie pozwolą, to mogę służyć fajkami.

— Dziękuję uprzejmie — odezwał się Seweryn — jeśli wolno, zapalimy papierosy, które mamy przy sobie.

— Otóż widzicie panowie — mówił pan Godziemba — gdy nie widać było dłużej pani domu — to cały rok jest taki. Ogromnie pracuje ta dziewczyna — ta niby moja bratanica.

W zimie pisze swoje powieści; pewno panowie znają niektóre.

— Ja znam wszystkie, które dotąd wyszły. Któżby nie czytał Waleryi Godziembówny — odezwał się Seweryn.

— No tak; ona jest w tem genialna i prawdę mówiąc, żeby nie te dochody literackie, tobyśmy końców nie związali, a całą wiosnę i lato po polu lata na koniu jak ekonom jaki, a często się trafi, że obiad trzeba jej posłać w pole. Mówię panom, to niez mordowana istota; żeby to tak był chłopak, panie dobrodzieju, to nie byłoby coś nadzwyczajnego — ale panna...

— To tem więcej zasługuje na uznanie.

— No tak, — dowodził starzec — ale cóż?... kobieta nigdy nie może być doskonałą. Ot, ja tak zwyczajnie mówię, jak stary kawaler, prawdę prosto z mosta. Kobieta, a szczególnie panna, nigdy niema tej powagi co mężczyzna, nic się jej nie boją; żeby ja, — panie dobrodzieju — wszystkiego żelazną ręką nie trzymał w garści, to niech ręka Boska broni, coby się tu działo.

To mówiąc, wskazał pan Godziemba na swą dłoń trzęsącą się od starości, czerwono-siną, z grubemi żyłami na wierzchu.

Seweryn, patrząc na tę rękę niedołężną, która według mniemania staruszka miała być postrachem dla służby i robotników w Wybranówce, uśmiechnął się nieznacznie.

W tej chwili na niedużym kasztanku, ale

bardzo kształtnym i silnym, pochylona nieco naprzód, wyteżonym kłusem, zajechała przed ganek panna Walerya Godziembówna. Bez niczyjej pomocy zręcznie zeskoczyła z konia, gładząc go po głowie i oddając chłopakowi stajennemu.

— Przepraszam pana, — rzekła — podając rękę Romanowi, którego przypomniała sobie, iż już kiedyś przed laty widziała, następnie przedstawionemu Sewerynowi — za moje opóźnienie, mam dużo ludzi w polu a dozorców mało, mimo to, gdyby panowie byli znać dali, że przybędą, byłabym czekała w domu.

— Właśnie, chcąc jaknajmniej przekodzić, nie daliśmy znać — rzekł Roman.

— Stryjaszek Michał mnie zastąpił w przyjęciu gości — mówiła panna Walerya.

Stryjaszek spełniwszy swe zadanie, był bardzo zadowolony, że mógł się oddalić, zabrawszy ze sobą swój herbarz.

Walerya Godziembówna szatynka, szczupła, kształtna, z krótko postrzyżonymi włosami, trochę falującymi się naturalnie, mimo regularnych rysów piękną nie była, może dlatego, że nią być nie chciała. Ubrana całkiem czarno, żakiet kaszmirowy i także spódnica, niedługa, niekrótka, to było zwykłe jej ubranie, którego do konia nie zmieniała. Wąziutki tylko śnieżnej białości kołnierzyk ukazywał się z poza wysokiego kołnierza żakietu.

Po przywitaniu z panami, rzuciła mięki filcowy

kapelusz i poprawiła cokolwiek zburzoną czuprynę, całkiem bezmyślnie. Zapytawszy o zdrowie ojca, rzekła spokojnie, zwracając się do Romana:

— Prawdopodobnie pan sam zechce teraz gospodarować w Wybranówce, czemu się nie dziwię, mając swoją własną wieś, młodość i zdrowie — to aż ciągnie do gospodarstwa i roli.

Roman nie wiedział na razie co odpowiedzieć, wyręczył go Seweryn:

— Ależ proszę pani! gdzieby taki z zawodu grajek do szpiku kości jak Roman, zgodził się na na mieszkanie na wsi i chodzenie za pługiem.

— Rzeczywiście, że ja jestem kompletny niedołęga w kwestyach agrarnych wogóle a w pracy około roli w szczególe.

— Tu idzie, proszę pani, o to nie jemu, ale ojcu jego — odezwał się Seweryn — że gdyby pani miała może inne projekta... to jest na razie bardzo korzystnie przedstawiający się dzierżawca na Wybranówkę.

— Tak. Słyszałam o tem — odparła Waleria — że ofiarują panu Nielickiemu 15 złr. z morgi, czego ja dać nie mogę i jestem gotowa ustąpić, ma się rozumieć *sans rancune*. To nie podpada wątpliwości, że mi nie będzie miło opuszczać Wybranówkę, gdzie się urodziłam i gdzie moi rodzice i dziadkowie gospodarowali, ale jest właśnie do wzięcia zaraz obok folwark niezły, więc nie miałabym przykrości przenoszenia się w inne strony.

— Widzi pan — rzekła instynktownie, zwracając się z temi słowy do Seweryna — interes przedstawia się w ten sposób: Tu wyjęła z kieszeni zakietu notatnik wraz z ołówkiem i skreśliła rzecz z taką biegłością, znajomością i zrozumieniem przedmiotu, że zadziwiła obydwóch panów:

Zasiewy, robocizna, podział gruntów, częściowe co roku drenowanie, potrzebne niezbędnie z powodu niskiego położenia całego obszaru, utrzymanie inwentarza, administracja, robotnik bardzo drogi w tej okolicy, utrzymanie domu, możliwe dochody, w końcu zestawienie.

— Ma się rozumieć, że to jest pobieżnie zrobione — mówiła panna Godziembówna — ale panowie zechcą przepatrzyć rejestra, które ja sama bardzo ściśle prowadzę. Więc z tego łatwo skombinować, że ja z morgi więcej nad 12 zł. dać nie mogę.

— Ależ oczywiście — odezwał się nareszcie Roman — o tem ani mowy niema.

— Zresztą panowie się rozpatrzą, zobaczą całe gospodarstwo, jutro obejdziemy wszystkie pola, bo dziś już zapóźno. To się tak pobieżnie nie da zrobić; zabierze kilka dni czasu. Muszą się panowie poświęcić i ponudzić trochę na wsi.

Gdy to domawiała, wpadli jak huragan na werandę dwaj chłopcy, jeden dwunastoletni, drugi lat 13 mieć mogący, w jednakowych szarych bluzkach przepasanych, paskami. Zobaczywszy

obcych panów, przerwali jakąś ogromnie ożywioną rozmowę.

Panna Godziembówna przedstawiła ich:

— Moi syno... — Tu roześmiała się szczerze z pomyłki. — Moi siostrzeńcy!... bardzo porządni chłopcy; dostali promocję, przez co są u ciotki w wielkich łaskach.

Seweryn i Roman z wielką przyjemnością spoglądali na sympatycznych chłopców.

— Bolek przyniesie tytoniu i tutek, i zrobi prędko papierosów, tymczasem może moja papierośnica wystarczy.

Oddała kluczyk Bolkowi, który jak kula pojechał po tytoni i powróciwszy, zabrał się ochoczo do roboty. Tymczasem Zygmunt zawiązał rozmowę z gośćmi bardzo ożywioną.

— Ja muszę się koniecznie dobrze uczyć — mówił, — bo jak nie przywiozę dobrej klasy, to się ciocia przez całe wakacje nie da pocałować, jak to było zeszłego roku.

— Ja to uważam za głupstwo takie kucie — dowodził Bolek, ale ciotka chce koniecznie, więc muszę się uczyć.

— A więc nie z przekonania, tylko z miłości do cioci uczycie się — pochwycił Seweryn — to bardzo pięknie z waszej strony.

— I pożytecznie — dodała panna Walerya.

— A gdzie Franuś? bo oni mi zawsze na wakacje przywożą studencika kolegę — objaśniała dalej.

— Franuś szuka piłki, którą zgubił; pewno zaraz przyjdzie.

— No, to kiedy jesteście choć na chwilę w domu, to powiedzcie Łukaszowi, żeby zaraz podawał podwieczorek.

Zygmunt pobiegł chętnie z tym rozkazem, bo po kilkogodzinnym spacerze miał dobry apetyt. Teraz, Bolek zobaczywszy zdaleka toczący się na kółkach fotelik, popychany przez wiejską dziewczynę, w którym siedziała blada, niemłoda kobieta, pobiegł i przytrzymał fotelik na nierównej ścieżce.

— To siostra mojej matki, którą mi oddała w opiekę, umierając. Bardzo kochana ciotka i bardzo nieszczęśliwa.

Gdy wózek zatoczył się na werandę, panna Godziembówna przedstawiła gości:

— Może cioteczka z nami posiedzi trochę, — rzekła — tak ciepło dzisiaj.

— Nie, moje dziecko, zmęczyłam się spacerem, pojedę wypocząć do mego pokoju.

Łukasz zaprosił na podwieczorek. Walerya szła naprzód, chłopcy już byli w jadalni. Idąc ku drzwiom wchodowym, Roman szepnął Sewerynowi:

— Ani się waż ją stąd rugować! — rozumiesz? Niech tu zostanie do śmierci w Wybranówce, kiedy jej miła.

— Ja tak myślę — odparł Seweryn.

Przy herbacie z rozlicznymi przystawkami mięsnymi i ciastami, nie było mowy o interesach; potoczna prowadziła się gawędka o bieżących wypadkach.

Franuś ubrany jak jego koledzy, wszedł, kłaniając się niezgrabnie przy drzwiach. Chłopcy zajęli się nim, nakładając mu na talerz, przyczem zajadając zrobili projekt, by zaraz po podwieczorku iść z wędkami na łowienie ryb. Towarzystwo tymczasem przeszło z jadalnego pokoju do saloniku, który w zimowej porze był równocześnie oranżeryą, obecnie zaś schodki, na których się ustawia wazon, nie były jeszcze usunięte. Okna bardzo duże, weneckie, zajmowały niemal całą ścianę od południa. Zresztą meble były dość skromne, z wyjątkiem fortepianu okazałego.

— Widzę bardzo ponętnie się przedstawiający fortepian, co dowodzi, że pani muzykę uprawia — rzekł Roman.

— Ja dawniej grałam, nieźle podobno, ale od lat wielu nie otwierałam fortepianu — odpowiedziała panna Walerya; — nie mam czasu, a pan wie, że muzyka wymaga kilkogodzinnej pracy dziennie, jeśli się chce dobrze grać, więc zupełnie zarzuciłam ten kult.

Tymczasem Roman otworzył fortepian i wziął kilka akordów:

— Ależ to dobry całkiem instrument — rzekł — tylko szalenie rozstrojony. Jeśli pani pozwoli, to ja się do niego zabiorę.

Podniósł płytę.

— A! jest i klucz i wszystkie przybory, łytko skórki trzeba w niektórych miejscach nakleić.

— Proszę pana się nie trudzić; tu mamy ważniejsze rzeczy do spełnienia. Możemy jeszcze kilka godzin spędzić, oglądając gospodarstwo.

— Pani będzie tak łaskawą Sewerynowi udzielić tych wskazówek, on się na tem zna, a ja zupełnie nie mam zamiłowania w oglądaniu krówek, cielątek, źrebiątek — i mówiąc to, zaczął nie-miłosiernie brzęczeć po strunach, kręcąc kluczem.

— Tylko czy salonik ten nie sąsiaduje z pokojem chorej — rzekł Roman — bo nie chciałbym, broń Boże, robić przykrości.

— O! niech pan co do tego całkiem będzie spokojny! Ciotka Celestyna zajmuje narożny pokój, po drugiej stronie domu, dogodny dla niej, bo z osobnem wejściem.

— Więc służę pani, — rzekł Seweryn. — Tego zapamiętałego grajka zostawmy przy jego czynności; jest on w swim żywiole.

— Ależ, to szczególne zamiłowanie — mówiła panna Walerya, wychodząc wraz z Sewerynem.

IV.

Stryjaszek Michał był bardzo dalekim krewnym panny Godziembówny, a nawet wogóle stopień pokrewieństwa był niejasny.

Nosił to samo nazwisko i był niedołącznym starcem, nawpół ociemniałym, co mu dawało prawo do opieki nad nim tak zwanej bratanicy, której na śmiało mógł być dziadkiem, lecz kilka pokoleń on przeżył i znany był niezmiennie pod nazwą: „Stryjaszka Michała“. Lubili go powszechnie i bliscy i dalsi i ubolewano nad zmianą losu, gdyż w innych warunkach się urodził, bo jeśli nie wśród dostatków, to bodaj dobrobytu.

Jego rodzice i stryjowie chodzili dzierżawami, jak to mówią — i nieźle się mieli, i on sam próbował tego chleba, ale kilka lat nieurodzajów, pograżyło biednego człowieka w niedostatek, graniczący z nędzą.

Dano znać o tem pannie Waleyi Godziembównie, która bez namysłu pojechała i przywiozła staruszka do domu, podając mu za pretekst, że będzie jej dopomagał w gospodarstwie.

Łatwowierny starzec uwierzył w to święcie, że jest niezbędnie potrzebnym domniemanej bra-

tanicy, a panna Walerya chcąc rzecz jeszcze prawdopodobnie podobniejszą uczynić, co wieczór po naradzie z karbownikiem, który całe gospodarstwo prowadził jeszcze za życia rodziców, odsyłała go po dyspozycyę do stryjaszka Michała.

Karbownik wiedział, że to tylko pozór, ale że lubił bardzo starego pana, więc chętnie szedł na pogadankę i na kieliszek dobrej wódki, sam w zamian częstując tabaką.

Innej natury stosunek łączył pannę Waleryę z ciotką Celestyną. Była to kobieta wyższego umysłu, bardzo wykształcona, która choć kaleka od dziesięciu lat, a może właśnie dlatego, duchowo dojrzała w sposób zdumiewający i władzą tą od Boga jej daną, potrafiła zrozpaczoną Waleryę po stracie matki i siostry doprowadzić do równowagi.

Wielkie to było zadanie, lecz cel osiągnięty zbliżył i ścisłem przywiązaniem złączył te dwie istoty.

Pani Celestyna nadewszystko lubiła czytać, miała doskonały wzrok i pochłaniała książki. Pobierała małą pensyjkę jako wdowa po urzędniku i całą obracała na prenumeratę rozmaitych pism beletrystycznych, które chciwie czytała.

Historya nie wspomina, z jakich funduszków czerpał swe dochody stryjaszek Michał, ale podpatrzono, że każdego pierwszego w miesiącu jakaś koperta zaklejona znajdowała się na biurku w pokoju stryjaszka, pod jego adresem, którą otwierając, szeptał do siebie staruszek: Biorę z lekkim

sercem i bez skrupułów, bo żebym nie wiem gdzie tak pracował jak tu, tobym przecie pobierał pensję.

Kilka godzin upłynęło, zanim towarzystwo całe w Wybranówce odnalazło się w komplecie w sali jadalnej.

Biedny stary Łukasz, jak muezzin z wyżyn minaretu, ogłaszał na wszystkie strony, że kolacja gotowa, lecz choć była już ósma, nikt się nie zjawił jeszcze.

Najpierwsi przybyli chłopcy, którzy zamiast ryb, przynieśli dużo raków w chustkach od nosa i rozsypali je po gazonie przed domem, śmiejąc się zapamiętale z ich niezgrabnych i niezręcznych poruszeń.

Franuś przyniósł w czapce jeża, co sprawiło wielką wesołość i przemocą z pokoju wywołało stryjaszka Michała, aby przypatrzył się tym, według ich pojęcia dziwom.

Roman, który właśnie ukończył swe zadanie, przyszedł pobawić się z chłopcami, wzbudzając ich podziw i administrację wyrzucaniem tak silnie piłki, że prawie jej nie było widać chwilowo w przestrzeni, a nadto obietnicą przysyłania im z miasta croqueta i football, wywołał wielką wdzięczność chłopców, których pouczał, jak się w to gra i musiał przy tej sposobności odpowiadać na tysiące pytań.

— Franuś, czy ty rozumiesz, jak to idzie? — pytał Zygmunt.

— Niby tak coś miarkuję — odpowiedział student.

Wśród tego nadeszli ze spaceru, a właściwie przeglądu gospodarstwa, Walerya i Seweryn. Chłopcy obstąpili ciotkę, pokazując jeża i raki:

— Czy wierzysz, że to my nałapaliśmy taką masę raków? — pytał Bolek.

— No, wierzę, skoro się chwalicie.

— Ależ nie! — tłumaczył Zygmunt — tylko jakiś jakiś chłopak łapał i kupiliśmy od niego; nauczyliśmy się i już teraz sami potrafimy łapać.

Niebawem całe towarzystwo zebrało się w sali jadalnej.

Ciotka Celestyna w swoim foteliku na kółkach już siedziała przy stole i zapraszała panów, aby pili przed kolacją wódkę, którą przyniósł na tacy Łukasz; nawet chłopcy dostali po kropelce, bo bardzo o ten przysmak przymilali się babci.

Przy kolacyi rozmowa była ożywiona. Seweryn, który zajmował honorowe miejsce obok pani Celestyny, starał się zająć ją odpowiednią do jej ukształcenia i zamiłowania w literaturze rozmową.

Roman siedząc przy pannie Waleryi, co chwila wybuchał śmiechem, na dowcipne jej urąganie z powodu jego udodobania w strojeniu fortepianów, co przelożył nad spacer iście sielankowy na wilegiaturze w lipcowy wieczór.

— Jest to widocznie fantazyja artysty zabawienia się chwilowo w organistę.

— Niech to pani raczy nazwać stosownie do jej zapatrywania; przyjmuje wyrok.

To mówiąc, wstał jak niegrzeczne dziecko od kolacy i wszedłszy do salonu oświetlonego lampą, oraz dwoma świecami przy fortepianie, zaczął nieproszony przygrywać smętne kompozycje Mendelssohna i Szuberta z precyzyą i finezyą sobie właściwą.

Pani Celestyna, która przepadała za muzyką, kazała zatoczyć swój fotelik w bliskości fortepianu i cała utonęła w rzewności tych tonów. Wszyscy zgromadzili się w saloniku. Nawet stryjasek Michał zapomniał o swej nieodstępnej fajeczce, a chłopcy siedzieli cicho, jakby czarem muzyki zakłęci, Seweryn zaś i panna Walerya obrali dla siebie jakąś kanapkę w głębi pokoju; byli też pod wpływem tych dźwięków, tak słodkich i upajających.

Za oknami także nie brakło słuchaczy; można było widzieć pełno główek dziewczątek wiejskich i parobczaków zapatrzonych i zasłuchanych.

Roman był dobrze usposobiony, grał więc długo. Nareszcie wstał; wszyscy dziękowali mu, jak kto umiał.

Pani Celestyna podała mu rękę, a łzy w jej oczach świadczyły o wzruszeniu, jakiego doznała.

— Dziękuję panu za tę chwilę szczęścia — rzekła.

— Ach, pani łaskawa! — mówił Roman, całując rękę podaną — czy to nie za silne słowo.

Jestem gotów na wezwanie pani stawić się zawsze w Wybranówce i zagrać, skoro jej to sprawia przyjemność.

— To bardzo łatwo obiecać taką rzecz niemożliwą; trudniej dotrzymać — przeczyła pani Celestyna.

Seweryn i panna Walerya przysunęli się, słysząc tę tak ryzykowną obietnicę Romana, zaczęli żartować wskutek tego, nareszcie po krótkiej już pogawędce, rozeszło się całe towarzystwo do swoich pokoi.

W gościnnym zastali panowie mały pakunek, przyniesiony ze stacyi kolejowej, zdziwieni obydwaj, że miasto spodziewanych nudów, spędzili kilka godzin na wsi bardzo przyjemnie.

— Wiesz, że ta autorka jest nadzwyczaj przystępna i dowcipna — dowodził Roman. — Przy kolacyi przekpiwała ze mnie, ale w tak dobrym tonie i z tak wytwornem wychowaniem, że ubawiłem się wybornie. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie kobietę, piszącą powieści. Myślałem, że z taką potrzeba koniecznie coś mądrego mówić, a ty wiesz, że ja tego nie umiem. Tymczasem ona mnie odrazu ośmieliła; podobała mi się.

— No i przekonałeś się, że nie taki dyabeł straszny, jak go malują — rzekł Seweryn.

— A na tobie jakie wrażenie zrobiła? — zapytał Roman.

Seweryn nie zaraz odpowiedział.

— Patrzyłem na nią, jak na coś niezwykłego. Nigdy w życiu takiej kobiety nie widziałem; mam uczucie, jakbym przez teleskop obserwował gwiazdy i patrzył na jedną z najjaśniejszych, nie rozumiejąc jej biegu, ni przeznaczenia... Czy ta istota, która stworzyła wokoło siebie takie przytulisko i szpital, nie myśli nigdy ani chwili o sobie? Nie rozmiem dobrze tej panny Godziembówny, tak, jak owej gwiazdy... Gdyśmy się znaleźli sami na przechadzce, zaraz nakierowała jakoś zręcznie rozmowę w ten sposób, że powiedziała: „Mam 28 lat a zdaje mi się, starszą jestem o wiele“. Gdzież panny ze świata, w którym my żyjemy, takie rzeczy mówią!

— To prawda... ale nie mam czasu zastanawiać się nad tem więcej... bo mnie sen morzy; dobranoc ci; to nie przeszkadza, że możesz sam nie spać wcale... i śledzić bieg swojej gwiazdy. To byłoby komiczne, żebyś się za...kochał...

Nazajutrz o godzinie 8. rano, Seweryn przechadzał się po ogrodzie; był pełen zdziwienia, gdy około dziewiątej spostrzegł pędzącą klusem na kasztanku pannę Waleryę. Objechała wszystkie pola, rozrządziła robotą, zapisała ilość robotników. Chłopcy już byli dawno po śniadaniu, poszli do lasu.

Roman zjawił się zaspany na śniadanie, zastawione na werandzie. Walerya podawała herbatę, gawędziła z panami, kazała zaprzędz do wózka i proponowała objazd pól i lasu.

Roman unosił się nad wpływem powietrza na wsi.

— Nigdy w życiu tak nie spałem, jak tej nocy. Spać przy otwartych oknach, to prawdziwa rozkosz dla płuc.

— Już pan obiecał cioci Celestynie przyjechać do Wybranówki i dawać koncerta. Ja zapraszam, gdy pan będzie cierpiał na bezsenność.

Rozmowę przerwał stryjaszek Michał, który mówiąc „dzień dobry“, odezwał się jakimś kwaśnym tonem do panny Waleryi:

— Nic mi też nie powiedziałaś, że posyłasz do miasta moja Walerciu; ależ ja nie mam tytoniu!

— Przepraszam stryjaszka, ale ja nic nie wiedziałam o tem, że stryjaszek niema tytoniu.

— No widzisz! — i taką mi przykrość zrobiłaś.

— Może stryjaszek papierosa zapali?

— Przecie ty wiesz, że ja papierosów nie znoszę.

— No, to jak kasztanek wypocznie, bo go bardzo dziś zmęczyłam, a my powrócimy, to Walek pojedzie dla stryjaszka po tytoń, a tymczasem zostawiam moją papierośnicę. — Dobrze tak będzie? — spytała łagodnie panna Godziembówna.

— No, cóż mam robić? — rzekł mający się za ofiarę staruszek.

Seweryn obserwował w ciągu tej rozmowy ze stryjaszkiem ową gwiazdę, dla profanów nie dostrzeżoną bez teleskopu.

Po obiedzie Roman ofiarował się pojechać na kasztanku do miasta po tytoń dla stryjaska, jeśliby panna Walerya nie miała nic przeciw temu.

— I owszem, bardzo mi to nawet dogadza, bo skoro Walek zostaje w domu, to pojedziemy do lasu z panem Sewerynem, czego mimo planu nie uczyniliśmy przed obiadem, gdyż zabrakło nam czasu. Ale proszę tylko — rzekła żartując Walerya — przed ojcem nie skarżyć panie Romanie, że pan, syn dziedzica z Wybranówki, jednego dnia był organistą a drugiego posłańcem.

— Widać, że do tych posług jestem jakby stworzony, skoro pobyt w Wybranówce zaliczam do najprzyjemniejszych.

— Jesteś pan tym sposobem prawdziwym artystą; prozę życia odczuwa pan na swój sposób. Dusza artysty jest czarodziejką, która przemienia słomę w dyamenty — jak powiedział Balzac.

— Niezawsze się dzieje ta metamorfoza — odrzekł Roman, — to zależy od wpływu i otoczenia.

— *Per aspera ad astra* — dorzucił od siebie Seweryn.

V.

Roman powróciwszy z wyprawy na Wybranówkę, zajął się natychmiast wyprawieniem dla chłopców obiecanych podarunków: *croqueta* i *footballa* a Seweryn wstąpił do księgarni i kupił, jakie były nowe książki dla pani Celestyny i parę funtów tytoniu dla stryjaska Michała i dołączył te rzeczy do sprawunków Romana.

Widać z tego, że sympatyczne wrażenie zrobili mieszkańcy Wybranówki na młodych panach, skoro po wyjeździe myśleli o nich i chcieli zrobić im przyjemność tym dowodem pamięci.

Roman zastał w domu wcale niespodziewaną i nieoczekiwaną wiadomość. Gdy zdał sprawę z zakończenia z panną Godziembówną interesu, którym ojciec zadowolnił się zupełnie, uznając słuszność powodów, usłyszał z ust ojca następującą nowinę:

— Ksawera ma konkurenta. Zapewne sobie przypominasz młodego Salinieckiego, którego przed kilku laty widywaliśmy niekiedy u Dorzyckiej, gdy mieszkała na wsi. Był on wtenczas jeszcze na małym stanowisku przy starostwie w sąsiednim mieście powiatowem, a Ksawera miała

dopiero siedemnasty rok, ale teraz jest już komisarzem, a niebawem będzie starostą, więc to partya dla Ksawery nie do odrzucenia. Już wówczas, gdy go spotkaliśmy, jak mówił, kochał się, ale nie miał odwagi mówić o tem, nie mając odpowiedniej pozycyi, obecnie atoli za mojem pośrednictwem prosił o pozwolenie bywania w domu w celu starania się o rękę panny. Nie mogłem mu naturalnie tej przysługi odmówić, tem bardziej, że znam rodziców i całą tę rodzinę.

Roman się ogromnie zamyślił i rzekł.

— No i pewno ojciec będzie doradzał przyjąć tego pana, a ciotka musi być w siódmym niebie.

— Ani jedno, ani drugie. Ja się w swaty nigdy nie wdawałem i nie wdaję, choćby to szło o mego rodzzonego syna, a Dorzycka jest nadto rozsądną, aby przed niewodem miała ryby łowić.. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby w duchu życzyła sobie Salinieckiego za zięcia, ale tu Ksawera będzie wyłącznie decydować, a trudno na razie przewidzieć, czy jej się spodoba lub nie ten młody człowiek.

— No więc cóż? czy on tam wciąż siedzi, czy co? — przerwał mu niecierpliwie Roman.

— To również bardzo dziwne pytanie. Jest on tu od paru dni, jeśli odbierze pomyślną odpowiedź, będzie prawdopodobnie przyjeżdżał od czasu do czasu. Taki urzędnik nie może zaniedbywać biura, urlopy może dostawać, to prawda,

ale taka rzecz musi się bardzo prędko zdecydować przez wzgląd na niemożliwość długich konkurów. A może chcesz mu zrobić wizytę? Mieszka w hotelu Europejskim, właśnie jadę rzucić mu kartę, bo jeszcze go nie rewizytowałem.

— Cóż znowu? ani mi się śni i uważam za wcale niestosowne, aby ojciec, taki poważny człowiekiem oddawał wizytę takiemu facetowi.

— Widać, że nie znasz prawideł światowych. Zresztą to już nie jest taki młodzik, ma około trzydziestu lat, w sam raz dla Wery — rzekł pan Nielicki, uśmiechając się nieznacznie pod wąsem z rozdrażnienia syna.

— A róbcie sobie co chcecie — rzekł niecierpliwie Roman — idąc do swego pokoju.

Ponieważ przyzwyczajenie, jak wiadomo, staje się drugą naturą, więc nasz artysta prawie bezwiednie przebrał się, aby pójść, jak zwykle odwiedzić ciotkę i kuzynkę. Wyjątek był atoli pewien w postępowaniu, gdyby się kto baczniej przypatrywał młodzieńcowi. Podlegał on powszechnemu zwyczajowi artystów, że nie dbał zbyt mocno o swoją toaletę i wogóle o swój wygląd.

Dziś cesał starannie swą obfitą buntującą się ciemno blond czupryną i swe jasne ładne bursztynowe wąsy. Te oczy szafirowe w oprawie czarnych rzęs i brwi, łatwo porywały czułe serca pańien i kobiet wogóle. Ale że Roman miał zawsze głowę zaprzątniętą jakimś *recitativem* lub planem do obrazu, więc nie rozumiał często zalotnych

uśmiechów i westchnień do niego skierowanych. Wielki artyzm budził w nim niekiedy płomienie, graniczące z szaleństwem — ale jak zawsze mówił — poczciwe oczy kuzynki Wery zatrzymywały go nad samą otchłanią i wychodził najczęściej, jak dotąd — zwycięsko z tej walki pośród mieczów, które niejednego pozbawiły życia lub dobrej sławy.

Więc jak było powiedzianem wyżej, Roman z przyzwyczajenia popędził do ciotki Dorzyckiej. Biła właśnie dwunasta. Wszedł jak zwykle bez żadnych ceremonii.

Służący powiedział mu w przedpokoju, że w salonie jest jakiś gość, że panie dopiero co przyszły z miasta i że zaraz zapewne się ukażą.

Roman zastał w salonie młodego człowieka, stojącego z kapeluszem w ręku przed jakimś obrazem, ubranego bez najmniejszego zarzutu, olśniewający krawat z brylantową szpilką dopełniał miary szyku. Przystojny, rumiany brunet, mógł się podobać każdej pannie, mającej chęć wyjścia za mąż.

Podszedł ku wchodzącemu Romanowi i przypominając się, podał mu rękę.

Pan Saliniecki był typem szczęśliwego człowieka, któremu żaden balast nie leżał nigdy na drodze do życia.

Rodzice od najpierwszej młodości usuwali wszelkie mogące dotknąć syna sprawy. Nigdy nie wiedział co to niedostatek, uczył się, bo miał zdol-

ności i zdrowie żelazne, wszystko mu szło łatwo i on też nadzwyczaj był zgodnego usposobienia, chociaż był najstarszym w rodzeństwie i miał prawo kiedyś osiąść na gospodarstwie po rodzicach — ale ponieważ brat młodszy nie miał zdolności i uczyć się nie chciał, ustąpił młodszemu swych praw i został urzędnikiem, nie robiąc ojcu nigdy żadnych przeszkód w jego zamiarach. Był też bardzo kochanym w swej rodzinie i nawzajem wszystkim okazywał przywiązanie bardzo szczere.

Obecnie postanowił się ożenić, gdyż rodzice sobie tego życzyli — no i on sam uważał za stosowne założyć gniazdo rodzinne.

Ksawerę znał od dziecka, zdawał mu się ten związek ze wszech miar dogodnym, nie przewidywał przeszkód i był całkiem spokojny, a w razie niepowodzenia ani myślał się wieszać z rozpaczy — ot był materyałem, na wyjątkowo szczęśliwego człowieka.

Roman najzupełniej nie wiedział co z nim mówić. Wyręczał go wtem pan Saliniecki, który jak umiał starał się rozprószyć widocznie zły humor kuzynka swej przyszłej, jak sądził, żony.

Patrząc na tę postać bez najmniejszego zarzutu, a nie znając ani trochę kobiecego serca, Roman był najpewniejszym, że takiej niema na świecie panny, któraby za takiego poważyła się nie wyjść, młody, bardzo przystojny, ze stanowiskiem — takiego panny nie wypuszczają z rąk. Choć wma-

wiał w siebie, że mu to wszystko jedno — bo co mu do panien — a jednak?..

To rozważywszy bardzo szybko, przestraszył się na myśl, że mogą wejść panie i biorąc za pretekst coś najprawdopodobniejszego, wypadł z salonu — prawie nie żegnając się z panem Salinieckim, który z swoim statecznym sposobem myślenia mógł go łatwo wziąć za kogoś niepo czytelnego.

Lecz gdy weszła pani Dorzycka z córką, nie było o tem mowy — i wizyta odbyła się z konwencyonalnym charakterem takich wizyt oficjalnych, naprężonych, bezbarwnych i w najwyższym stopniu nużących.

Pan Saliniecki spodziewał się spotkać panie wieczorem u państwa mecenasów Obmnickich, bo był to ich dzień przyjęć. Był on w stosunku dobrej znajomości z tym domem, gdyż interesy jego ojca, od dawna były powierzone temu najzdolniejszemu w mieście adwokatowi, z Sewerynem zaś kolegowali w gimnazyum i na uniwersytecie.

Panien prawie nie znał, gdyż obracał się w kółkach małego miasta powiatowego, gdzie urzędował, a wolne chwile, jakie udało mu się zdobyć, przepędzał na wsi z rodzicami i rodzeństwem.

Koło drugiej godziny po południu, za ledwie przełknął obiad wraz z ojcem, Roman znowu za-

dzwonił do mieszkania pani Dorzyckiej i wszedł już całkiem swobodny i rzekł.

— No, chwała Bogu, nie zastałem gości, mogę pogadać, opowiedzieć o naszej wycieczce do Wybranówki. Seweryn jeździł ze mną, wiesz o tem Wero?...

— Wiem — domyślam się, że ty tej ciężkiej pracy sam nie udźwigniesz — odpowiedziała, śmiejąc się Ksawera.

— O ja wiem, że nikt mnie tak nie zna Wero, jak ty i bardzo się cieszę — rzekł młody artysta — odsłaniając na sztalugach prawie ukończony portret pani Dorzyckiej.

Roman miał u ciotki wszystkie przybory do malowania, pędzle, palety i całe pudła farb, to wszystko mieściło się we framudze środkowego okna w saloniku, gdzie było odpowiednie światło.

— Nie masz się znowu z czego tak bardzo cieszyć — rzekła Wera — że cię znam dobrze. to prawda, że znam twoje dobre strony, ale w równej mierze i twoje błędy.

Pani Dorzycka przerwała tę rozmowę słowami:

— Mój Romanie kochany — zdejm już raz proszę cię, ten mój portret ze sztalugi, wszak jest zupełnie wykończony. Patrz jak ta koronka na włosach świetnie wypadła — trochę mnie zrobiłeś młodszą, ale mimo to wszyscy mówią, że jestem bardzo podobna.

— To wszystko uszłoby, ale ten podbródek

mnie nie cieszy — rzekł Roman, poprawiając pędzlem. — Nie ma on charakteru...

— Ale nie wiedzieć co mówisz... podbródek zwyczajnie jak u starszej kobiety dobrej tuszy — mówiła ogromnie rozśmieszona pani Dorzycka.

— Przepraszam kochaną cioteczkę, ale się na tem nie zna; są różne podbródki — tłumaczył Roman. — Wydęte, obwisłe, pofałdowane, a cioci podbródek jest dobrotliwy, najtrudniejszy do od-dania, niechno cioteczka chwileczkę posiedzi.

— No, dobrze! ale przyrzeknij mi, że to już po raz ostatni, bo wierzą, że pozowanie do portretu, to rzecz niezabawna.

— Będę się starał cioteczkę rozerwać memi opowiadaniem o Wybranówce i jej mieszkańcach. Wero, rozetrzyj mi, proszę cię, trochę tej farby na palecie — ot tak, bardzo dobrze — i jał opowiadać najdokładniej wszystkie epizody z tej dwudniowej wizyty u panny Godziembówny, która mu się wydała bardzo sympatyczną, równie jak pani Celestyna, chora ale interesująca. Opowiadał także o stryjaszku Michale, o ładnych chłopcach, o strojeniu fortepianu i o koncercie.

— Na koniec zachowałem nader ciekawe przypuszczenie, że Seweryn ni mniej, ni więcej, zakochał się w pannie Waleryi. Mówię ci Wero, takiego Seweryna ja nigdy nie widziałem. Twierdzi, że odkrył nową gwiazdę na swoim niebie i jest — kaput. Ja swoją drogą widzę niezwykle przymioty panny Godziembówny, ale żeby na odludnej wy-

spie przebywał wyłącznie z nią, tobym się w niej nie zakochał. Nie potrafiłbym się nawet zadużyć w takiej autorce, bo ciągle przeszkadzałyby mi ta myśl, że ona cichaczem wzorki zbiera i wsadzi mnie żywcem do jakiej noweli. Upadam do nóg, dziękuję za te piszące kobiety.

Wera żartowała z tego przesądu i uprzedzenia do autorek i okazała wielką chęć poznania panny Godziembówny.

— No to jedź kiedy z nami, bo ja obiecałem powrócić do Wybranówki, aby zagrać tej biednej chorej, a że Seweryn będzie tam latał, to o tem nie wątpię.

— Więc to aż tak dalece zaszło? Ale zastanów się, że Wera z dwoma młodymi ludźmi robić wycieczek nie może, przeto i mamę musicie wziąć ze sobą.

— Widzi mama, jakie on ma pomysły ten nasz artysta — rzekła Wera — u niego niema nic niepodobnego.

Pani Dorzycka uciekła z posiedzenia w sam czas, gdy Roman uporał się z podbródkiem i portret był całkiem wykończony, czekał tylko na ramy.

Ułożono się o godzinę spotkania u państwa mecenasów, gdzie robiono wielkie przygotowania na przyjęcie wieczorne, gdyż zapowiedziało się niezwykle dużo osób, wszyscy przyjęli zaproszenie z powodu zaciekawienia, że panna Ksawera Dorzycka ukaże się z konkurentem.

— Całkiem nie ładna — mówiła jedna mama

do drugiej — i trafiła się jej taka partya „jak nic“. Ten Saliniecki może zostać starostą, czy on nie ma oczów, że nie widzi, że nasze córki piękniejsze od panny Wery.

— Mężczyźni są wszyscy waryaci — zdecydowała rozżarta do najwyższego stopnia mama nr. drugi.

Salony państwa mecenasów koło ósmej zapełniły się wytwornymi mniej więcej gośćmi, ponieważ to nie był bal, ale zwykłe tygodniowe przyjęcie, więc wcześniej zapowiedziano herbatę; kolacja miała być podana koło jedenastej.

Mecenasówny w różowych sukienkach podług ostatniej mody wykończonych, przedstawiały się rzeczywiście nadzwyczaj korzystnie. Hrabianka Tacia nie przysła z swoją nauczycielką, gdyż na większych zebraniach nie bywała — za to pani Witgenowa na złość wszystkim pannom, tego wieczora licznie zebranych, była najpiękniejsza w jakiejś fantastycznej szacie.

Wera miała białą kaszmirową suknię, której stanik był przybrany fiołkami. Była to nie rażąca toaleta, a bardzo dobrze ubierająca dystyngowaną panienkę.

Zaraz po herbacie Wera prędko uprzedziła innych przy fortepianie, zaczynając grać walca. Roman najnie spodziewaniej akompaniował w basie. Fela postanowiła rozerwać tę kombinację, ale nie mogąc zwyciężyć uporu Romana, a nadto zaproszona do tańca, musiała wirować wraz z in-

nemi parami. Jakieś fatum zapanowało co do dancerów. Seweryn nie dopisał, był podobno nie zdrów; Roman uparł się grać, a pan Saliniecki wcale walca nie tańczył.

Fela po kilku tańcach przyszła porozmawiać z Werą.

— Jak na złość, p. Roman nie chce tańczyć, p. Seweryn zgrymasił, bo nie wierzę w jakieś choroby, a panny wszystkie tego wieczora powystrajane jak na bal, i ładniejsze niż kiedykolwiek. Wiesz Wero, że nawet ty lepiej wyglądasz, niż zwykle, co to jest, gdy panna ma konkurenta:

Roman się zaczerwienił tą pochwałą, obrażając Werę i rzekł wstając:

— Wera, jak zawsze, przyćmiewa swą dystynkcyą zwyczajny szereg panien.

Fela się spostrzegła, że coś niestosownego powiedziała, poczęła tłumaczyć się, całując Werę.

W tej chwili nadszedł poszukiwany na gwałt przez panią mecenasową muzyk, mający uwolnić Romana, uznanego za najlepszego dansera między młodzieżą.

Pan Saliniecki, który wirowych tańców nie lubił, zaangażował Werę do kadryla i sunęły pary. Roman tańczył z panią Witgenową.

Wszystkie starsze panie skupiły się około pani mecenasowej i komentowały rzecz tak ich bardzo interesującą, jak kojarzący się maryasz.

Odgadywać się starano jakim sposobem, a może intrygą Wera złapała tego konkurenta.

— Takie nieładne panny — mówiła matka trzech córek — to są najczęściej kokietki i tem się ratują.

— No, Wera i kokieterya! — przeczyła niemłoda jakaś dama, nie mająca już córek na wydaniu. — To trzeba chyba nie mieć Boga w sercu, aby takie rzeczy mówić. Panny tak bez pretensyi, jak panna Ksawera, jeszcze w życiu mojem nie widziałam.

Pani Dorzycka zajęta bardzo jakąś ożywioną rozmową ze starszym panem Nielickim, konwersacyi pań, obmawiających jej jedynaczkę, na szczęście nie słyszała.

Udało nam się podsłuchać niektóre ustępy z poufalej narady tej sędziwej pary, która tak bardzo interesowała się losem Ksawery.

— No i cóż kuzyn na to mówi, że Wera ani słyszeć nie chce o zezwoleniu na bywanie pana Salinieckiego w domu moim w celu starania się o jej rękę. Prosi mnie usilnie, abym mu stanowczo odpowiedziała i nie łudziła go jakąś bezpodstawną nadzieją. Proszę ją, żeby się nie spieszyła z tą rekuzą, żeby go lepiej poznała, ale nie, płacze biedne dziecko, bo przeczuwa, że ja sobie tego związku życzę. — No i nic dziwnego mój bracie — to jest partya nie do odrzucenia, ale nic nie pomaga moja perswazyja.

— Nie podaje Ksawera żadnych powodów? Przecież musi mówić, jaka jest przyczyna tej odmowy?

— Ani słowa więcej nie mówi, tylko, że go

nie kocha i kochaćby nigdy nie mogła i więcej nic, a ja nie mogę zmuszać tego drogiego mi dziecka. Chociaż jestem matką, widzę jasno całą prawdę, Wera nie ma i takiego majątku, żeby ktoś się na to łąkomił, no i nie ładna...

— Ależ ona więcej warta, niż to wszystko. To zacna, rozumna, kochana dziewczyna — przerwał pan Nielicki. — Niech siostra jej zostawi zupełną swobodę, to jest moja rada.

— Ja to samo myślę, co kuzyn, ma on jutro być u nas z pożegnaniem około południa, ale pierwiej będzie u brata, jak mi mówił, aby się coś stanowczego o decyzji mojej i Wery dowiedzieć. Nie można zwodzić uczciwego człowieka i ludzi go. Tak mi to przykro, że słów na to nie mam, każda z tych panien, co tu są, miałyby się za szczęśliwą, gdyby taki los ją spotkał, a ta moja Wera odrzuca dobrowolnie szczęście.

— Szczęście jest rzeczą względną. Co dla jednego jest pomyślnością, dla drugiego wydaje się torturą, a szczególnie rzecz ta występuje w związkach małżeńskich, które się zawierają na całe życie.

— Niech się dzieje wola Boża i proszę brata mnie zastąpić w tej roli rekurowania temu biednemu Salinieckiemu.

— O ile się znam na ludziach, to on się prędko pocieszy. Nie jest on z rodzaju desperatów; będzie mu niezawodnie chwilowo przykro, ale pocieszy się niebawem i ożeni z którą tylko będzie chciał.

VI.

W godzinę po odjeździe pana Salinieckiego z miasta, zjawił się u pani Dorzyckiej Roman. Popatrzył kilka razy uważnie na Werę, która była smutna i oczy miała zaczerwienione.

Ogromnie nie lubił widzieć kuzynkę smutną — więc siadł do fortepianu i zamiast rozmawiać grał jakieś nowe kompozycje Bramsa, które bardzo zajęły Werę, gdyż jeszcze ich nie słyszała.

Wśród tego weszły cichutko na paluszkach obydwie mecenasówny.

Fela skinęła ręką Romanowi, żeby nie przerywał gry — i wszystkie trzy panienki zniknęły w drzwiach pokoju Wery.

— Moja Wero — mówiła Fela — już całe miasto obiegła ta wiadomość, że dałaś kosza temu biednemu Salinieckiemu — czyż to być może? Bój się Boga, cóż sobie ty myślisz odrzucać taką partyę? Byłabyś niebawem starościna!

— Ja ogromnie się nie kwalifikuję na taką dygnitarkę — rzekła Wera.

— Jak mamę kocham — przerwała Alina — że ja poszłabym za niego.

— No, to niema nic straconego — odpowiedziała Wera — pan Saliniecki jest do wzięcia.

Na to wszedł Roman.

— Prawda, panie Romanie, — mówiła Fela — że to jest ze strony Wery prawie szaleństwem, żeby rekuzować takiego Salinieckiego, partya, którą każda panna przeciętnie rozsądna przyjęła.

— Ja się na takich rzeczach nie rozumiem — odparł Roman.

— Jak to, więc pana sprawy sercowe nie zajmują wcale.

— Owszem, ale rzecz w tem świetle przedstawiona przez panią wcale zaliczyć się nie da do sprawy sercowej, raczej konwenansu — tłumaczył się młody człowiek.

— No, ale przeważnie takie małżeństwa zawierają się. Ja z pod tych praw rozsądku, co prawda wyłączam się i jedynie za głosem serca bym poszła. I tak wierzę w potęgę uczucia, że ani chwili nie wątpię, że serce musi zdobyć serce.

Roman był najpewniejszym, że Fela mówiąc to, myślała o Sewerynie, więc całkiem spokojnie, rzekł jakby przekonany:

— To prawda, ma pani rację, serce musi zdobyć serce — i zamyślił się.

— Wiecie państwo, — mówiła Fela — że później, gdy się zaczęło u nas w salonie przeredzać, po waszem odejściu przyszedł jeszcze pan Seweryn, bo chciał się widzieć z panem Salinieckim, co bardzo niegrzecznie zaraz na wstępie oznajmił,

ale my tak wszyscy pana Seweryna lubimy, że mu przebaczymy te jego kaprysy i rzeczywiście musi być niezdrów, bo źle wygląda. Chcąc zabawić resztę towarzystwa muzykowaaliśmy obiedwie z Aliną, która notabene bardzo ładnie grała, a ja zaśpiewałam wielką arję z „Żydówki“, czy chcesz posłyszeć Wero? chętnie powtórzę, jestem dziś przy głosie — i weszła do saloniku.

— Gdzie jest ciocia? — spytał Roman — chciałbym się przywitać i pożegnać zarazem, bo za kwadrans obiecałem ojcu... Tak, mamy gdzieś iść razem.

— Mama urządza drzemkę w swoim pokoju — mówiła Wera — uśmiechając się nieznacznie.

— Tak? zobaczę, zaraz powrócę...

Ale mimo tej obietnicy, pędził po schodach, zeskakując po kilka naraz, czego jednak nikt słyszeć nie mógł wśród rozbrzmiewającego silnie głosu panny Feli, która oddechając co chwila, z czuciem wyrażała skargi biednej Racheli.

Gdy skończyła, tak była sama wzruszoną, że miała łzy w oczach i rzekła do Wery:

— Moja droga, powiedz mi, co to jest, że ten artysta, taki do szpiku kości muzykalny, jest przytem taki nerwowy. Ile razy ja śpiewam, pan Roman jest tak wzruszony, że formalnie nie może słuchać. Mnie to doprawdy rozrzewnia, ale przecie chciałabym, aby mnie kiedy posłuchał. Wszyscy mówią i ja sama to czuję, że zrobiłam ogro-

mne postępy w tych czasach. Dużo co prawda pracowałam, mój nauczyciel mi mówi, że mu robię zaszczyt.

— No, to jest nic, co ci mówi ten pan, bo on przecie biorąc piątkę za lekcję, nie chce się zrażać, ale pan Seweryn i pan Saliniecki byli tobą zachwyceni — dowodziła Alina. — Nie mieli słów pochwały dla ciebie.

W tem miała rację.

Seweryn zupełnie nie był muzykalny i jak to przeważnie ci, co nie mają pojęcia o muzyce, a są nerwowi, gotowi są na dźwięki katarynki być czuлыми. Powiem więcej, częstokroć panienki z miernym głosem za pomocą rzewnie zaśpiewanej piosenki, zdobywają niewybredne serca męskie. Że Roman do tej kategorii należeć nie mógł to sobie łatwo można wytłomaczyć, natomiast Seweryn przychodził nieraz do mecenasówien, aby się nasycić muzyką. I nie jest wykluczonem, że w dniu przyjęcia, chociaż nie był na zabawie, lecz mając serce i myśl przepelnione Godziembówną, usiłował śpiewem panny Feli ukłótywać wezbrane uczucia a w tym celu zjawił się o spóźnionej porze.

Gdy Wera nie odpowiedziała Felicji na jej uwagi co do fantastycznego usposobienia Romana, mówiła dalej ta marząca panienka:

— Uważałaś Wero, że pan Roman, gdy wspomniałam, że serce tylko się sercem zdobywa, był

zupełnie mego zdania i tak mnie tem sobie pozyskał, że chyba na zawsze.

— Moja Felo — rzekła cokolwiek zniecierpliwiona Wera — nie radzę ci opierać się tak stanowczo na tem, co mówi Roman. On bardzo często całkiem o czem innem myśli a wypowie to, czegoby nie chciał powiedzieć. Jednem słowem jest artystą, a każdego z nich miarą zwykłego człowieka nie można mierzyć. Świat najczęściej artystów nie rozumie i zapoznaje ich i co mogłoby być pożytkiem idzie na marne.

Mecenasówny nie dobrze pojmowały te orzeczenia Wery co do Romana. Miały mu poprostu za złe, że jako młodzieniec stworzony do tego, aby kochać i być kochanym, zamykał się w sobie i nie umiał, lub nie chciał postępować otwarcie. Miały jednak nadzieję, że wreszcie kiedyś lody te przełamią się i prawda wyjdzie na wierzch, a wtenczas... — resztę niech dośpiewają czule serduszka panieńskie...

Minęło kilka dni spokojnych w kółku naszych znajomych, aż pewnego dnia wszystkie dzienniki zapowiedziały dawno oczekiwaną śpiewaczkę Singerównę. Była ona, jak niektórzy twierdzili, wdową po sławnym włoskim śpiewaku, że jednak świat objechała cały i zasłynęła pod nazwiskiem swem panieńskim, przeto nikt nie wiedział nawet czy też zapomnieli wszyscy o jej nazwisku jako mężatki.

Niebawem plakaty ogłosiły przybycie słyn-

nej śpiewaczki, a następnego dnia afisze teatralne zapowiadały „Aidę“ — w głównej roli zabłysnąć miała owa gwiazda dawno spodziewana.

Roman wpadł na chwilę do Wery i przyniósł paniom bilet do łoży parterowej; prosił, żeby nie skrewiły — nie miał ani chwili czasu.

— No, no, wiem że już ci się w głowie pali, nie będziemy widywać teraz pana Romana — żartowała pani Dorzycka.

— Nie, są tylko widzi kochana ciocia różne powody. Najpierw Singerównę już znam dawniej, bo ona śpiewa po polsku i już tu parę razy występowała, a w ciągu dwóch lat, które przebyłem we Włoszech, nie było dnia abyśmy się nie widzieli. Tu zaś jestem jej nieustannie potrzebny do różnych zleceń. Ma oprócz występów w teatrze, dawać koncert i już mnie zamówiła do akompaniowania sobie. Powiada, że nikt ją tak nie rozumie w śpiewie solowym jak ja. Musiałem się obiecać, a po nad to wszystko — jest to sopran, sopran holenderski — rzekł żartobliwie. Zguba na moją duszę...

Gdy to domawiał, trzymał za klamkę.

— Do widzenia, Wero, będę u ciebie w łoży — rzekł. — Ty jesteś dla mnie jakby ochroną przeciwko pijaństwu.

— O nie jestem ja tak wszechmocną jak ci się zdaje — przeczyła Wera.

— Owszem — rzucił Roman już za drzwiami. Teatr był zapełniony po brzegi. Tryumf śpie-

waczki był kompletny. Oklaski, deszcz kwiatowy, bukiety i wieńce — wszystko mieszało się razem.

Roman był ustawicznie za kulisami. Na chwilę wszedł był do łoży pani Dorzyckiej, gdzie przebywał też i jego ojciec, ale nikogo nie widział; uścisnął tylko rękę Wery i wyszedł szybko.

— Zupełnie jak waryat — rzekł p. Nielicki.

Następne występy, koncert i przyjęcia w domach wyższego towarzystwa — szły jedne za drugimi. Wera z matką nie dopisały czasem na jakie zaproszenie — a wówczas Roman wpadał na chwilę z wymówkami, utrzymywał, że widok tych pań jest mu niezbędny, co atoli pani Dorzycka uważała za czcze frazesy.

Tak minęło dni dziesięć. Śpiewaczka pełna chwały odjechała, natarczywie wzywana do Budapesztu.

Wera czuła się znużoną tem wykolejeniem się z codziennego spokojnego trybu życia.

Była rada, że już to się skończyło, lecz koło trzeciej po południu zamiast zwykłej wizyty Romana wszedł pan Nielicki ojciec, myśląc, że tu zastanie syna, dowiedział się jednak, że jego jedynak od dni paru wcale się nie pokazał u pań Dorzyckich.

— Nie ma wątpliwości — rzekł — że pojechał z tą śpiewaczką, ale dla czego się ze mną nie pożegnał, czego mi nie powiedział kiedy wróci. Przecie ja nie jestem tyranem ojcem; wiem że młodzi takie szaleństwa popielniają, lecz przecie

trzeba zachować jakieś decorum i nie postępować jakby miał niespełna rozumu.

— Ale nie turbuj się kuzynie — uspakajała pani Dorzycka — wróci za parę dni i przyjdzie do równowagi.

Wera nic nie mówiła, ale miała wypieki na twarzy, świadczące, że była również niespokojną, gdyż i z nią Roman się nie pożegnał, widocznie bał się opozycji i skrycie wyjechał.

— To zgubiony chłopiec — rzekł, wychodząc, zafrasowany ojciec.

Gdy tylko wyszedł, przyniesiono z księgarni pod adresem Wery jakieś nuty, na których po rozwinięciu ukazał się jej oczom w bardzo ozdobnem wydaniu tytuł: Wera-walce.

Widać, że ostatnimi czasy pracował Roman nad tą kompozycją i nie mówił o tem, chcąc tem większą sprawić niespodziankę. To wszystko się stało nim przyjechała śpiewaczka — myślała Wera — i choć nie bardzo wesoło usposobiona, siadła do fortepianu i przegrała te walce, które były odbiciem duszy kompozytora. To słodkie, to rzewne, to dzikie, to jakby szalone dźwięki — mięszały się naprzemian. a całość była nadzwyczaj harmonijna i zdradzała duży talent.

Pani Dorzycka zwabiona nieznaną jej muzyką, długo słuchała, a gdy Wera skończyła, rzekła:

— Poczciwy, myślał o tobie, zobaczysz, że on się wyszumi, wybryka, jak ten dziki tabun i bę-

dzie z niego niepospolity człowiek. Jakże ty myślisz, Wero?

— Tyle wiem mateczko, że nic nie wiem — rzekła małomówna, lecz wiele myśląca dziewczyna.

Minął jeden tydzień i drugi, a Romana nie tylko nie widać, ale i nie pisał do nikogo ani jednego słowa.

Pan Nielicki codziennie zachodził do pań Dorzyckich ze skargą na syna. Mocno zdziwiony, widział wielką zmianę w usposobieniu i w wyglądzie Wery.

Matka jej zaniepokojona, wezwała starego przyjaciela doktora, który nie uspokoił jej wcale, mówiąc, że to rozdrażnienie nerwowe i dziwił się nad siłą woli pacjentki, że mimo gorączki mogła chodzić. Radził położyć się a nie lubiąc nadużywać lekarstw, nic nie zapisał, natomiast obiecał na drugi dzień powrócić.

Noc przyniosła pogorszenie i wywołała stan zupełnej nieprzytomności. Zatrwożyło to do reszty zrozpaczoną matkę. Pan Nielicki co dzień przychodził, doktor choć nie widział nic groźnego, zapisał lekarstwo i wypowiedział nadzieję, że za parę dni nastąpi przesilenie. Rzeczywiście trzeciego dnia gorączka ustąpiła, lecz osłabienie się zwiększyło. Wera nie mogła o swojej mocy się podnieść a powróciwszy do przytomności, zapytała o Romana pana Nielickiego, który siedział przy jej łóżku.

— Jeszcze nie powrócił — odpowiedział ojciec.

— To nic, pewno już tymi dniami przyjedzie — rzekła chora całkiem spokojnie — niech się wuj nie turbuje. Dawno odjechał? już zapomniałam.

— Już trzeci tydzień się zaczął — odparł pan Nielicki.

Wera co dzień, pod opieką doktora i matki przychodziła do siebie, a w ciągu tygodnia, choć nie wolno jej było wstawać z łóżka, siły powróciły widocznie.

Właśnie trzy tygodnie minęły od odjazdu Romana. Leżała blada jeszcze bardzo, a główka jej na poduszkach wysoko podniesionych spoczywała w fali rozplecionych włosów, załamane wychudzone ręce trzymała na kołdrze i patrzyła w drzwi, posłała bowiem swoją służącą do pana Nielickiego z zapytaniem, czy nie było listu od Romana.

* * *

Tymczasem w pomieszkaniu pana Nielickiego odegrywa się następująca scena:

Roman około ósmej rano przyjechał fiakrem z pociągu i nie zdjawszy jeszcze paltota pił herbatę. Na to wszedł pan Nielicki w rannem ubraniu.

Roman podszedł do ojca i przywitał się.

— No, jak się masz? — rzekł ojciec — czemu nie pisałeś?

— Bałem się, aby ojciec kochany nie przyjechał do Budapesztu; miałem tam niemiłe zajście z oficerem od huzarów.

— Pojedynek — rzekł pan Nielicki — o tę śpiewaczkę?

— Ale broń Boże. Zaczęli tam pewnego razu za dużo mówić między sobą oficerowie na niewyczerpany temat polskiego gospodarstwa i pękali ze śmiechu, patrząc na mnie. Ja siedziałem spokojnie i czytałem gazetę, ale jeden z nich kilka razy powtórzył „i te polskie świństwa“. Tego mi było za wiele, wstałem i rzuciłem mu w twarz kartę, mówiąc: Jak to pan rozumiesz? Natychmiast wyzwał mnie — a na drugi dzień przysłał mi świadków.

— No i byłeś ranny? — spytał ojciec.

Nic nieznaczące dwa cięcia w rękę — rzekł Roman.

Odsunął rękaw i dwie krwawe pręgi jeszcze były bardzo widoczne.

— Ale ja go płaćnąłem fatalnie. Bardzo jestem kontent, że mu nie wybiłem oka a mało do tego brakowało. Przez czoło i kość pod okiem dałem mu cięcie, będzie miał pamiątkę na całe życie.

Ojciec patrzył z dumą na syna.

— No, pij herbatę — rzekł ojciec — a miałeś pieniędzy dosyć?

— Nie dużo wydałem, ale w hotelu nie zapłaciłem, trzeba będzie odesłać.

— No, mniejsza z tem, ale po co było lecieć za tą śpiewaczką, czy to warto?

— Niech ojciec kochany sobie przypomni, kiedy sam był młodym — odparł Roman.

— Ale Wera była chora bez nadziei — mówił ojciec — dzięki Bogu, już dobrze.

— Co, Wera? chora... — rzekł Roman stłumionym głosem i filiżanka z herbatą wypadła mu z rąk, rozpryskując się w drobne kawałeczki.

Nie pytając dalej o szczegóły, Roman wypadł z mieszkania i jak nieprzytomny biegł ulicą.

Pan Nielicki patrzył oknem i widząc ten pospiech, szepnął sam do siebie:

— A więc ją kocha... Bogu dzięki!

Roman po drodze nie spotkał dorożki, więc piechotą mijał domy, ulice i nie mógł zdążyć tak szybko, jakby chciał.

Wreszcie wpadł do bramy tak dobrze mu znanej i na schodach spotkał pokojówkę Wery.

— Skąd idziesz Marysiu — spytał — może po doktora chodziłaś?

— O nie, panienka już zdrowa. Chodziłam do starszego pana się pytać, czy panicz nie pisał a tu panicz przyjechał. Panienka leży w łóżku jeszcze a starsza pani śpi, bo w nocy nie spała...

Roman już był na górze, zrzucił palto i wszedł do salonu, od którego drzwi były otwarte do pokoju Wery.

Gdy Roman się ukazał tak nagle, Wera drgnęła, lecz on wszedł szybko i mówił bezładnie:

— Co ci jest Wero kochana? Cóż znaczą te rączki załamane, ta rozpacz, przecież nic się nie stało?

— Miałaś pojedynek — rzekła cicho Wera.

— Zkąd wiesz?

— Czyż nie mówiłam ci nieraz, że miewam sny prorocze?

— To i cóż to znaczy, Wero droga? Mało z nas który przejdzie przez życie, żeby nie miał pojedyńku. To prawda, zbłądziłem i stałem być może nad przepaścią, ale mnie, jak zawsze, twoje oczy, kochana, strzegły. Ach! jaki ja jestem niegodziwy! Niegodziwy! — rzekł Roman, przyciskając ręką czoło. — Niegodziwy! — powtórzył raz jeszcze. — Ja czuję, Wero droga, że ty jedna możesz mnie uratować. Bez ciebie ja zginę moralnie, z tobą stanę się człowiekiem — mówił szybko — odrodzę się, będę pożytecznym.

Spojrzał czule na Werę i dostrzegł jej oczy napełnione łzami, które spływały po policzkach.

— Ach! czy ja mogłem marzyć o takim szczęściu, że ty mnie kochasz, Wero!

W tej chwili weszła pani Dorzycka, która prawdopodobnie słyszała ostatnie słowa Romana.

— Ja, ciociu kochana, w tej chwili bardzo uroczyście proszę o rękę Wery, tak mi drogiej, ja bez niej poszedłbym na marne, byłbym niczem, a może popełniłbym co bardzo złego, myśl o niej mnie zawsze ustrzegła.

Pani Dorzycka rozplakała się na dobre, patrząc na tego pięknego, dobrego młodzieńca, takim entuzjazmem przejętego.

— Skoro i Wera bez ciebie żyć nie może, to idźcie razem moje dzieci drogie przez życie i wzajemnie się wspierajcie.

Pan Nielicki, wchodząc do pokoiku Wery, rzekł:

— Spełniło się najgorętsze serca mojego życzenie, teraz mogę umierać spokojny o los Romana. Zbliżył się do łóżka i pocałował czoło przyszej synowy i syna objawszy ramionami, serdecznie uściskał? Spodziewał się, że tam ważne rozstrzygną się rzeczy i decydujące i przeczucie nie zawiodło go. Po odejściu syna pospieszył za nim i nadszedł na tę stanowczą chwilę oświadczyć.

Stary doktor, którego właśnie była godzina odwiedzin, zobaczywszy Romana, rzekł żartobliwie:

— No, to już ja tu nie jestem potrzebny, teraz tu zdrowie niebawem zakwitnie.

Roman pocałował w ramię sędziwego przyjaciela — tak się ucieszył tem jego powiedzeniem — lecz ponieważ Wera prosiła matkę i ojca Nielickiego, żeby o tych projektach do roku nikt nie wiedział, na co też i Roman się zgodził, — więc i doktor nie został wtajemniczonym w tę przed chwilą zawartą umowę.

Czy Wera, stawiając ten warunek, nie chciała go wiązać wyrzeczeniem słowem w chwili uniesienia — trudno orzec stanowczo. Jej poważne zapatrywanie na stosunki życiowe tę myśl poddały rozsądnej dziewczynie i sama postanowiła wytrwać w tym zamiarze.

VII.

Kto wie, czy nie silniejszym jest związek dusz, jak związek serc, temu tylko niezbyt jasno określonego uczuciu podlegają wyższe umysły i temu też dał się opanować Seweryn. Nie broniąc się tej potędze a nawet przeciwnie podlegając jej, korzystał z każdej sposobności, z każdej wolnej chwili, z każdego święta, aby rannym pociągiem popędzić do Wybranówki, a wieczornym powrócić do biura.

Mecenas, nie ponosząc z tego powodu żadnej straty, nie pytał się nigdy Seweryna o przyczynę tych wycieczek.

Daleko więcej tem zajmowały się mecenasówny i ich matka, a nie śmiały się wręcz zapytać, aby nie być posądzonymi o niedelikatność, lub o prostą niewieścią ciekawość. Romana nie próbowano nawet badać, gdyż było łatwym do przewidzenia, że on przyjaciela nie zdradzi.

Na domiar, mecenasówny były aż nadto przekonane o sile swych wdzięków i liczyły Seweryna do liczego grona niewolników najwierniejszych, aby go miały posądzać o jakąś sprawę sercową.

Szukał on prawdopodobnie poza miastem rozrywki umysłowej, w czym się poniekąd nie myliły, ale ta powodem do zazdrości dla tych światowych laleczek być nie mogła — cierpiały wyłącznie na tem, że im niekiedy nie dopisał do tańców i labeta.

Fela doprowadziła swój talent do doskonałości, według jej zdania — i wielu niezbyt wymagających amatorów śpiewu, którzy zachwycali się jej głosem.

Roman był wciąż posądzanym o zbyt dużą wrażliwość, a biedna Wera była wprost torturowaną zwierzeniami panny Felicy.

Z natury szczerą, o charakterze prawym i szczerym, bolała, że nie mogła powiedzieć prawdy swej, tak zwanej przyjaciółce, że była związana swym postanowieniem, którego by za żadną cenę nie złamała, tak ze względu na siebie, jak i na narzeczonego. Gdy jednak pewnego dnia Fela z płaczem mówiła jej o swej miłości do Romana, prawie niecierpliwie rzuciła jej te wyrazy:

— Tego jednego pojąć nie mogę, jak można się kochać bez wzajemności.

— Ale jakże możesz wiedzieć, że on mnie nie kocha? — Chyba ci powiedział?...

— Jeśli się nie jest pewną, to przynajmniej o swym uczuciu mówić się nie powinno.

Wera z własnego doświadczenia czerpała tę radę, gdyż ona sama nawet matce rodzonej

nie zwierzała się nigdy, aż do chwili oświadczyn Romana.

Lecz to nie przekonało Feli — i rzekła:

— Moja droga Wero! Ty jesteś w wyjątkowym położeniu, ale my obydwie z Aliną ciągle otaczane, komplementowane, to nam się może trochę przewrócić w głowach, dlatego trudno by było uwierzyć w to, żeby ktoś przez nas faworyzowany, był na to obojętnym.

— Ja nie mam zupełnie wprawy w tych światowych zawikłanych słosunkach. Nie umiem ci na to wszystko nic więcej odpowiedzieć nad to, od czego zaczęłam, że nie mając najmniejszej pewności, czy się jest kochaną, nie warto marnować uczucia.

— To prawda Wero, ale ty nie masz pojęcia o tem, co stanowi bądź co bądź jedyne szczęście w życiu. Kochać, to większa rozkosz, niż być kochaną; to jest upojenie. Ach! pozwólcie mi pić z tego kielicha.

— Byle tylko w tym kielichu zamiast nektaru, nie znalazło się więcej goryczy niż słodyczy — rzekła roztropnie Wera.

Te i tym podobne uwagi ze strony przyjaciółki rozbijały się o posuniętą do wysokiego stopnia zarozumiałość panny. Nie rozumiała wcale tego, aby piękna, majątna i utalentowana, mogłaby się nie podobać Romanowi. Czegóż on by wreszcie chciał?

Życiowe pomyłki, to chleb powszedni. Karmią się nim popolite umysły a również i ci, których poglądy sięgają wyżyn ponad zwykłą miarę. Otóż i Seweryn łudził się, czy też nie rozumiał dokładnie panny Godziembówny. Zdawało się mu, że jest możliwem połączyć poświęcenie ze szczęściem i starał się to wytłómaczyć listownie Walerji. Nie dowierzał słowom, które nie obmyślane, często przedstawiają rzecz niezręcznie; pisząc, to się tylko wyrazi, co się mianowicie myśli, lecz po kilku dniach odebrał odpowiedź następującej treści:

„Panie Sewerynie!

Czytałam list pana na kilka zawodów; nie dlatego, abym się namyślała co do odpowiedzi, ale chciałam pana dokładnie zrozumieć.

„Przedewszystkiem dziękuję za sympatyę, za którą się odpłacam szczerą wzajemnością. Ale panie Sewerynie! Czy pan się zastanowił dokładnie nad propozycją podaną mi w liście?... Ach! jak by mi pana żal było! Wiązać się na całe życie, z kobietą obarzoną obowiązkami nierozwalnymi z jej osobą, niemłodą, nieładną, niemajątą. Podejmuje się pan wziąć mnie, z moją ochronką, przytuliskiem i szpitalem — to tylko dowodzi, jaki pan dobry do gruntu.

— Ciężar taki, który poniekąd jest dla mnie słodkim, dla pana byłby kulą u nogi galernika, a pan stworzony do szczęścia.

Poświęcenie i szczęście nie chodzi ze sobą w parze. Ja wybrałam pierwsze i o szczęściu ani

nie myślę. Widzę przed sobą dwa drogowskazy na drodze mego życia: jeden ku szczęściu, jasny, kwiecisty, drugi chwastem zarosły, jeśli nie cierniem zasłany i ten obrałam.

Czytając po raz nie wiem który list pana, łzy spływały mi po twarzy, nie za utraconem szczęściem, ale na tę myśl, gdybym na raz powiedziała moim biedakom: że chcę żyć dla siebie... Widzę oczy smutne mej ciotki i starca, którego chyba szpital czekałby i tych moich drogich chłopców, rozpieszczonych przezemnie, którzy nie czują braku rodziców i których mój dom jest ich własnym domem i miłość moja niepodzielna jest ich własnością. Cóżby dla nich zostało, gdybym im to wszystko odebrała? Och! dopiero zaczęłyby się dla nich sieroca dola...

Przecie nie może pan przypuścić, że gdybym dzieliła uczucia pana, chciałabym go obarczać memi zobowiązaniami.

Gdy to piszę, to jeszcze łzy zasłaniają mi papier; tak mi żal tych moich nieszczęsnych przezemnie w przypuszczeniu odtraconych... Dlaczego? Dla własnego rzekomego szczęścia. Ach! jak mi to brzydko brzmi i tak jest niezgodne ze zrosłem ze mną poczuciem obowiązku.

Znając pana do gruntu, wiem, że mnie pan zrozumie i zachowa dla mnie słodkie uczucie przyjaźni, które z mej strony panu ofiarować mogę niezmiennie.

Walerya Godziembówna».

Jak byliby postąpił człowiek zwykłej miary po odebraniu tego listu?

Byliby się starał prawdopodobnie przekonać przedewszystkiem ukochaną kobietę argumentami silniejszymi ponad te, które jej już napisał. Byliby zapewniał ją, że nic nie jest w stanie ich rozłączyć, albo byliby się starał zapomnieć, i wyrugować z serca niepodzielone uczucie i zerwać stosunek beznadziejny...

Lecz Seweryn żadnego z tych wyjść banalnych nie wybrał. Postanowił nie opuścić tej kobiety — i wyrobić w sobie coś pokrewnego temu uczuciu, jakie ona odczuwała dla niego. Dlaczego miałby jej robić tę przykrość rozstania na zawsze? On wiedział dobrze, że jest jej potrzebnym w tem szarem życiu obowiązków, okraszonym wyłącznie staraniem o ukochanych siostrzeńców. Nieraz mu mówiła, że ją strach zbiera, czy temu podoła bez doświadczenia i fachowej pomocy; postanowił tedy zaopiekować się chłopcami i wziąć sobie za cel życia kierunek naukowy i szkolny studentów i czuwać nad ich postępami. Łatwo mu to przyjdzie — sądził — gdyż pozyskał sobie od dawna ich zaufanie i przychylność. Nieraz już zasięgali jego rady, a gdy się spotykał z nimi w Wybranówce, przeglądał ich wypracowania, poprawiał ich zadania.

Jakie było usposobienie Waleryi po napisaniu listu? Nie była pewną, jak tę odpowiedź przyjmie Seweryn. Ścisnęło jej się serce na myśl, że

może już nigdy nie zobaczy tego człowieka, który się jej stał prawie niezbędnym; to też pierwszej niedzieli po zamianie listów koło ósmej zrana, gdy jak zwykle przygotowywała śniadanie na werandzie, częściej aniżeli dawniej wzrok kierowała ku alei topolowej, czy nie ukaże się postać oczekiwana. Nie spodziewała się Seweryna, a jednak miała nadzieję. Oto obraz kobiecego serca; któraż z nas nie przechodziła tych wrażeń? Nareszcie zobaczyła czarny ubiór i popielaty kapelusz, tak jej znany. Wyszła naprzeciw, czego nigdy nie robiła dotąd, tak mu była bezmiernie wdzięczną, że oto jest znowu i że się nic nie zmieniło.

Nie mówili o wymienionych listach, ale za to wiele innych rzeczy komentowali. Seweryn ogromnie zdolny, nawet w sprawach gospodarskich miał sąd zdrowy, i co poradził, zawsze się okazało nadzwyczaj praktycznym i wchodziło w użycie z dobrym skutkiem.

Co do chłopców, wdzięczność Waleryi nie miała granic, zostało postanowionem, że na dalsze kursa będą uczyć pod opieką wyłączną Seweryna. O umieszczenie ich stosownie postara się natychmiast i od wakacyi na seryo zaczną się nauki.

Łącznik ten zbliżył więcej jeszcze do siebie te pokrewne dusze. Ile chwil szczęśliwych przeżyli w tym stosunku, obliczyć się jeszcze nie da. Lata mijały i wkoło nich wszystko się zmieniało —

oni tylko byli zawsze „ci sami“, wytrwali w pracy i coraz doskonalsi w poczuciu obowiązków.

Zadowolenie, jakie daje ta praktyka życiowa, kto wie, czy nie jest tem czemś nieuchwytnem, za którem gonią ludzie, a osiągnąć nie mogą, bo im do tego przeszkadza zaślepienie; gdyby przejrzeni, poznaliby, że już pod ręką mają to, czego szukają.

VIII.

Roman pod wpływem dobroczynnym Wery coraz więcej nabierał zamiłowania do pracy. Zszedł ze sztalugi obrazek, który zrobił mu początek do sławy.

Jakaś scena myśliwska, bardzo zręcznie pomyślana i wykonana, zrobiła na wystawie wrażenie, a krytyki przychylne w dziennikach, zachęciły młodego artystę.

Jakiś znawca, a zarazem myśliwy nabył obraz do swych cennych zbiorów i szczerą ręką zapłacił, co więcej zadowolenia sprawiło starszemu panu Nielickiemu, niż synowi, którego wyłącznie nerw artystyczny był zaspokojony i pobudzony do dalszej działalności.

To też na sztaludze ukazało się nowe płótno w saloniku pani Dorzyckiej. Był to większych rozmiarów obraz. *Con amore* zabrał się do niego Roman, już dawniej obmyślił cały układ i akcesorya i z wielkim zapalem przykładał się, aby wykonanie odpowiadało jego myśli. Jedna tylko postać kobieca była główną treścią obrazu — pozowała doń Wera — ogromnie wyidealizowana, ale

niemniej bardzo podobna, w jasnej sukni, jedną ręką unosiła kotarę, a raczej portyere ciężką aksamitną, z poza której wychylała się młoda kobieta wpatrzona w drzwi pełna wzruszenia. Oczekiwała ukochanego. To cała kompozycja, ale była wypowiedziana tak silnie, że patrząc na tę scenę tak żywo oddaną, widz musiał się przejąć przedmiotem tak sympatycznym i przemawiającym do duszy.

Obraz wypadł świetnie. Młody malarz był przejęty tą chwilą i myśl swoją przelał na to płótno w sposób iście artystyczno-idealny.

Rzecz ta miała być własnością Wery, z którą ta wszakże chciała się podzielić ze szerszą oceną znawców, oraz publicznością, wydającą bądź co bądź to ostatnie słowo orzeczenia, tworzące szczebel do sławy.

Obraz miał tytuł „Oczekiwanie“ i nie był do zbycia. Wykonaniem swoim ściągał całe grupy widzów, a doskonałością światła, bogactwem i wykończeniem akcesoryów wprawiał w podziw — słowem był to sukces niezaprzeczony i tak rozgłośny, że salon wiedeński upomniał się o tę nowość i obraz „Die Erwartung“ został wysłany na czas jednak ograniczony, gdyż Wera niecierpliwiła się o wejście w posiadanie tak dla niej cennej pracy narzeczonego.

Oprócz tego wychodziły coraz to nowe kompozycje muzyczne — tańce, które formalnie porywano — nadto rozmaite nocturny, barkarole, odznaczające się nowością i dużym talentem.

Pan Nielicki często powtarzał przyszłej swojej synowej:

— Wero droga, tobie wyłącznie zawdzięczam tę metamorfozę Romana.

Wera uśmiechała się, słysząc to, a serce jej wezbrane szczęściem nie zaprzeczało tym słowom ojca. Czuła, że słusznie się jej należały, bo przeobrażenie młodego człowieka było jej dziełem.

Minął szybko rok prawie bez zmian. Roman dopominał się o swoje prawa, pierścionki zaręczynowe ukazały się na rękach narzeczonych, a za miesiąc był zapowiedziany ślub. Pani Dorzycka, gdy już skończyła się dla niej pokuta milczenia, w tryumfującym usposobieniu ducha dała folgę swej wymowie.

Pani mecenasowa zaproszona wraz z córkami na zaręczyny, dzieliła, aż zanadto widoczne szczęście matki i dla Wery, okazała wiele uczuć szczerych, ale mówiąc do pani Dorzyckiej nie mogła się wstrzymać od powiedzenia:

— To bardzo pięknie się złożyło, ale na cóż te tajemnice, szczególnie przed nami. Byłabym się rychlej uspokoiła, mając ciągłą obawę, aby pan Roman nie łudził się co do Feli. Jest to bądź co bądź ryzyko oddawać córkę takiemu trzpiotowi. Daj Boże, aby się ustatkował.

— Ach moja droga pani — odrzekła pani Dorzycka z wielkiem zadowoleniem, czując w każdym słowie mecenasowej kolec zazdrości — na

co się też pani tak męczyła obawą, Roman nigdy ani jednej chwili nie myślał o Feli.

Inne panie znajome komentowały, każda na swój sposób „podejrzane“ szczęście Wery, która przed rokiem odrzuciła człowieka, mogącego zostać starostą, a teraz wychodziła tak świetnie za mąż.

— Bo, żeby to choć ładna była — mówiły — ale nie ładna.

Fela na zaręczyny przyjaciółki nie przyszła. Wymówiła się bólem głowy; cierpiała zarozumiała dziewczyna. W miłości własnej obrażona, nie mogła darować Ksawerze tej przewagi nad umysłem i sercem Romana, sama przed sobą jednak przyznawała, że Wera nieraz ją nawet w szorstki sposób ostrzegała. Nie przypuszczała atoli nigdy czegoś tak nieprawdopodobnego, aby młody człowiek mógł przekładać wartość i wyższość moralną nad czysto powierzchownej natury przymioty. To jej nigdy nie powstało w głowie ani chwili — tem przykrzejszy też był zawód.

Czas jednak, jak się okaże następnie, wyróżniał te wszystkie klęski sercowe, w nader pomysłny sposób, ale chwilowo bardzo się czuła upokorzona światowa laleczka.

Młoda para po weselu zamieszkała ślicznie urządzonej apartament na drugim piętrze w tym samym domu, w którym pierwsze zajmował pan Nielicki ojciec — tym sposobem nie czuł się tak bardzo osamotnionym.

Pani Dorzycka, oddawszy córce urządzenie kosztowne swego domu, najęła sobie obok niej dwa pokoje i tak wszyscy razem tworzyli ścisłe kółeczko rodzinne. Były to trzy domy o jednym ognisku, którego kapłanką była roztropna, dobra, rozumna, wyrozumiała, nadewszystko ukochana Wera.

Otoczona miłością męża, ojca i matki, którzy w niej coraz więcej przymiotów odkrywali, rozkwitła jak róża pod promieniem słońca.

Pierwsze lata młodości miała zatrute myślą, że nie jest ładną i podobać się nie może. To uczucie czyniło ją nieśmiałą, na każdym kroku niepewną i ta jej powaga przedwczesna z tego źródła pochodziła.

Posiadanie Romana zmieniło to wszystko. Dało jej pewność siebie, uczyła grunt pod nogami i całą pierśią używała szczęścia.

Czuła, że na małe niepowodzenia w życiu byłaby odporną, bo czyż mogła przypuszczać, że jako żona artysty nie będzie narażoną nigdy na kolce zazdrości, raniące nieraz serce kobiety, kochającej silnie? W tem przewidywaniu postanowiła być cichą i wyrozumiałą w razie danym.

Jakoż zaraz w pierwszym roku małżeństwa była wystawioną na tę próbę. Ta sama śpiewaczka, która ongi doznała świetnego przyjęcia, powróciła po nowe laury i nie zawiodła się, gdyż

w dwójnasób okazywano jej sympatyę i uznanie dla jej wielkiego talentu.

Roman starał się być umiarkowanym przez cześć dla żony, ale Wera nie chciała go pozbawiać tej rozkoszy i sama go zachęcała, aby nie opuszczał ani jednego przedstawienia, a ponieważ żądał, żeby mu towarzyszyła, więc łoża była zamówioną.

Roman wybiegał za kulisy i powracał do łoży, słuchał i patrzył, drżącą ręką ściskając rękę żony. Wera w takich chwilach myślała tylko zawsze: Jakżebym chciała tak mu się podobać, jak ta piękna i sławna kobieta... Czy zazdrość rozrywała jej serce? Nie — była wyrozumiałą i cichą — sztuka była jej rywalką wyłącznie — tłumaczyła sobie słusznie, że Roman, chociaż był jej mężem, to nie przestał być artystą do szpiku kości; tego od niego żądać nie może i nie będzie, aby wyrwał z duszy to, co stanowiło jej piękność całą, dla której właśnie go pokochała, gdyż nie dla zewnętrznych przymiotów pozyskał jej serce.

Tak usposobiona, nie miała powodów do zazdrości, nieraz nawet dawała przyjęcia dla tych gwiazd, które bynajmniej nie zaćmiewały jej jasnego horyzontu. Nie można było powiedzieć, że Roman powracał zawsze do żony z tej krainy uniesień i zachwyty, gdyż nie odstępował on nigdy od Wery — ona to rozumiała dokładnie i była spokojną. Gdy jakiś znakomity skrzypek lub śpiewak zjawił się w mieście, niemniej porywał

Romana, — to było nieuniknione — lecz w żadnym razie ta roztropna kobieta swem postępowaniem taktownem nie zatrzymała mężowi tych chwil, które jak struny z innego świata wplatają się w życie artysty.

IX.

Dom Wery był otwarty dla dawnych znajomych. Seweryn bywał częstym gościem. Wpadał nieraz z chłopcami, Bolkiem i Zygmuntem, których Wera bardzo polubiła i okarmiła przysmakami. Wkrótce po ślubie wraz z Romanem wybrała się do Wybranówki i znajomość z panną Waleryą Godziembówną zamieniła się w ścisłą przyjaźń.

Pani mecenasowa z córkami odwiedzała ją i zapraszała na przyjęcia tygodniowe a nawet Fela przestała bawić się w ofiarę, której rodzice nie pozwolili iść za skłonnością serca. Alina wciąż czekała na oświadczyzny Seweryna. Nieśmiałość tego doskonałego z innych względów młodego człowieka, wprowadzała w zdziwienie całą rodzinę. Za to pan Saliniecki dawał dużo do myślenia, gdyż prawie co tydzień zjawiał się w mieście a raczej w domu pana mecenasa Omnickiego, zachwycał się urodą i śpiewem Feli — i dużo o tem mówił — a gdy pewnego wieczora usłyszał piosnkę „Jam też różyczka i kolce mam“, tak go ścisnęło za serce, że oświadczył się pannie a nazajutrz rodzicom — i został przyjęty.

Wera bardzo się cieszyła z tej kombinacji matrymonialnej, która jej powróciła dawnego przyjaciela i przyjaciółkę i wygładziła wszelkie możliwe urazy. Fela „jak nic“ mogła zostać w krótkim czasie starościną, co uszczęśliwiało nie tylko światową laleczkę, ale więcej jeszcze rodziców.

Wyprawa przeto, stosownie do przewidywanej godności, miała być wspaniała i zabrano się natychmiast do dzieła, tem spieszniej, gdyż wesele miało się odbyć w sześć tygodni po oświadczeniach.

Mijały lata — wszystko się jakoś dopasowało pomyślnie w losach naszych znajomych, żadne katastrofy nie mąciły spokoju.

Zakończmy nasze opowiadanie małym obrazkiem szczęścia rodzinnego.

Była to godzina przedpołudniowa. Młodziutka matka, chcąc uśpić swego dwuletniego synka, trzymała go na kolanach i namawiała do snu słodkimi słowy, lecz rozebrany malec, już tylko w koszulce, nie chciał spać i tupiąc nóżkami, śmiał się rozkosznym śmiechem dwuletniego dziecka i figlując, wyjmował szpilki z włosów matki, choć się broniła przed psotą synka. Gdy wyjął ostatnią szpilkę, tak się cieszył, że chwycił za szyję matkę, całował i tupał nóżkami.

— No, widzisz, co zrobiłeś mamie, ty niedobry synku — rzekła Wera, okryta falą swych wspaniałych włosów.

Mały Adzio, rozbawiony więcej jeszcze, kaskadą śmiechu głośną, zwabił z drugiego pokoju

Romana, który przy biurku był zajęty przepisywaniem nut.

Roman długą chwilę przypatrywał się żonie, zaróżowionej szamotaniem się z malcem, i synowi ślicznemu i dorodnemu.

Prędko posunął sztalugę ku drzwiom, zaczął szybko rysować i rzekł półgłosem do siebie:

— I to ma być ta nie ładna, co mi to mówili przyjaciele: Nie żeń się z nią, bo któż się z nie ładną żeni...

Czy Seweryn i Walerya Godziembówna wzбудzili cokolwiek interesu?

Typowa ta para wytrwale szła wytkniętą za młodu drogą. Bóg im dopomógł, że wychowali i wykształcili na ludzi, młodych chłopców Zygmunta i Bolka i oto po dziesięciu latach pracują oni już na kawałek chleba zaszczytnie, miłością bez granic, płacąc za szlachetny kierunek Waleryi i Sewerynowi.

Po piętnastu latach znajomości i przyjaźni — w dniu swych imienin, odebrała panna Walerya Godziembówna z poczty mały pakiecik, zawierający piękny złoty pierścień na którym gotyckimi literami wyryte były słowa: *Semper fidelis*.

Walerya ze łzami w oczach długo wpatrywała się w ten napis i rzekła:

— To mój ślubny pierścień.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

| | |
|-----------------------------|--------|
| Na błędnej drodze | Str. 7 |
| Szukaj kobiety | 107 |
| Nie ładna | 143 |



I-45.644.

185/91K

I
45644